

**PRZE
KRÓT**

WARSZAWA WYDZIAŁ TOWAROWY

**TA OKŁADKA
LECZY***

nerwice,
depresje
i traumy

w tym miejscu
przytóż rękę

OWA GALERIA RUSZ

* TAK SAMO JAK INNE OSZUKAŃCZE

PSYCHOTERAPIE

>10



9 770033 248908

WWW.PRZEKROJ.PL



Mamy energię do biznesu

Jako firma odpowiedzialna społecznie działamy tak, by nasz wpływ na środowisko naturalne był jak najmniejszy. Dlatego postawiliśmy na ekologię – realizujemy własny program zmniejszania emisji CO₂ do atmosfery. Ceniemy współpracę z ENERGA, gdyż sprzedawana przez nią energia pochodzi z najbardziej ekologicznych źródeł w Polsce.

Czesław Grzesiak
Wiceprezes Zarządu Tesco Polska Sp. z o.o.

TESCO

Oszczędzaj dzięki elastycznej ofercie.

Sprawdź, jaką propozycję przygotowała dla Twojej firmy ENERGA.

www.energa.pl

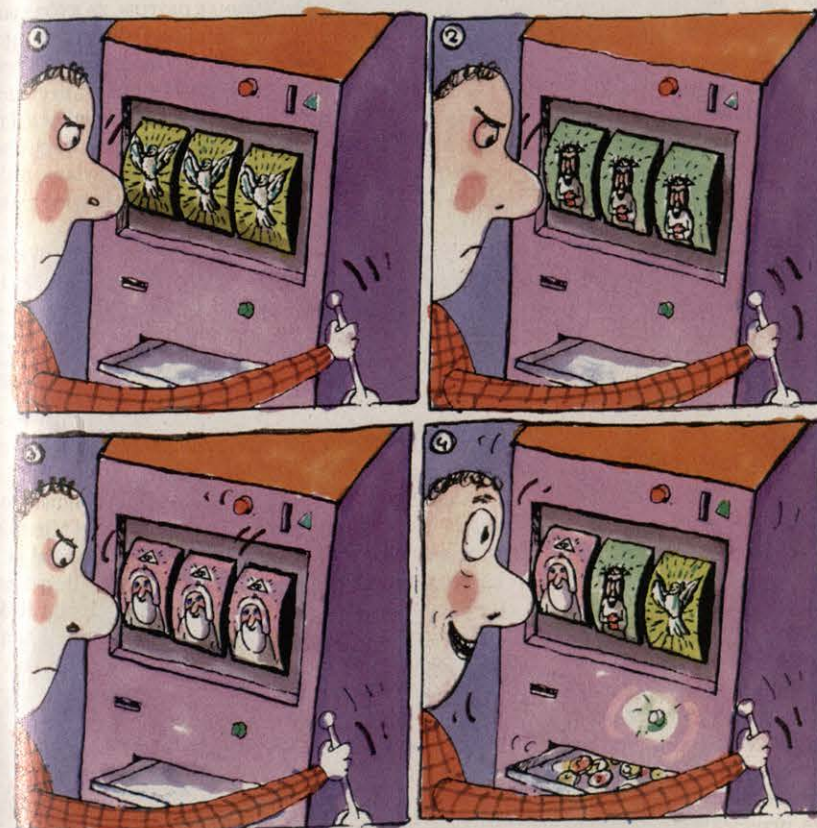
tel. 024 365 10 20; 0801 363 742


Energa

NA
POCZĄTEK

RACZKOWSKI

NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI



W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY...

...o oszczędzaniu światu emisji polskiego CO₂, o co masz pan premier z naszym panem prezydentem polecieli się wykić do Brukseli (nas, biednych, nie stać na taką oszczędność, twierdzą). Bo wierzymy, że robią to powodowani ważnym interesem kraju, ale trudno zamknąć oczy na ich prywatne preferencje. Do Brukseli wybrali się oddzielnie, więc rządowy samolot odbył cztery kursy. Lepszy emitowany gaz niż między politykami kwas?

...o ekspertach Zespołu Pracy Państwowej przygotowujących rozwiązania, które mają uratować rządzoną przez PO Polskę od niechybnej zagłady. Bo nie wiadomo, co to za eksperci

– prezes Kaczyński, dla którego pracują, obawia się ujawnienia ich nazwisk ze względu na grożące im ze strony otoczenia prześladowania w postaci, jak to uczenie ujął, „sankcji rozproszonej”. Z tej okazji audycja, w której wypowiadał się prezes, zmieniła chwilowo nazwę z „Sygnały dnia” na „Sygnały z dna”.

...o posłance Jolancie Szczypińskiej, która jako szefowa polsko-palestyńskiej grupy parlamentarnej podpisała deklarację wzywającą Izrael do wycofania się z bezprawnie okupowanych wzgórz Golan: „Doceniamy wsparcie Syrii dla oporu arabskiego w każdym miejscu. (...) Prosimy państwa

arabskie, muzułmańskie oraz wszystkie kraje miłujące pokój i sprawiedliwość o zwarcie szeregów w dążeniu do zakończenia syjonistycznej okupacji Golanu”. Bo postawa odważnej posłanki budziłaby większy szacunek, gdyby obok niechlujnie prezentowanej rezolucji nie pokazywała na swojej stronie zdjęć, na których puszcza zajączki i tuli się do bardzo męskich mężczyzn (dla niedowiarków: Szczypinska.pl).

...o tym, że partia Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe, bardziej znana jako ZChN, działa już 20 lat. Bo odnosimy nieodparte wrażenie dające się wyrazić bardzo krótko: I starczy.

PRZE KROJ

PRZED WSZYSTKIM

- 4 | Komentarze Rafała Kostrzyńskiego i Igora Ryciaka
- 6 | Kawa bez cukru Bogdana Rymanowskiego
- 8 | Krótko

KRAJ

- 10 | Psychościema – Polskę opanowały psychoterapie, które nie pomagają
- 16 | Zdobyć fundusze – trudna sprawa
- 18 | Makrokierunki mają ożywić szkolnictwo

ŚWIAT

- 22 | Rio robi olimpiadę, ale najpierw musi zrobić porządek z fawelami
- 26 | Papież chce powrotu anglikanów na łono Watykanu

SYLWETKA

- 28 | Najsztub pyta Pawła Piskorskiego, czy chce się zemścić na kolegach z PO
- 32 | Smuda – smuta polskiej piłki 1:0
- 35 | Joe Arpaio – najtwardszy szeryf Ameryki
- 38 | Ellen Page, czyli mała wielka gwiazda, która jeszcze wam pokaże
- 40 | Teczki osobowe i skok w bok Olgi Woźniak

CYWILIZACJA

- 42 | Poszukując wiecznej młodości, można wiele stracić
- 45 | Tłuszcz się przydaje
- 46 | Umrzeć z miłości to nie metafora!
- 48 | Korzystaj i jedź z firmą

KULTURA

- 50 | Premiera: Świetlicki wraca poezją i prozą
- 54 | Książki: Zachwycający Bierut
- 56 | Muzyka: Pochwała Mayalla
- 58 | Film: „Millennium” rządzi
- 60 | Komiks: Zdradzony jubilat Asterix
- 61 | Teatr: Zadara zrzuca dres

LEKTURA

- 62 | Ewa Kuryluk – Wiedeń widziany z Frascati

OTWÓRZ OCZY

- 66 | A mury runą? – w rocznicę obalenia muru berlińskiego

ZAWSZE W „PRZEKROJU”

- 72 | Rozmaitości z krzyżówką, jolką i felietonami
- 75 | Stopklatka
- 3, 6, 72, 74 | Raczkowski: Rysunki

LAST MINUTE

+ Krzysztof Płyta +

Refleksja: zakaz hazardu będzie komuś bardzo nie na jedną rękę



Zbrodnie doskonałe

Wymiar sprawiedliwości nie ma nic wspólnego z Sądem Bożym. Niektórych spraw śmiertelnic nie rozstrzygną

IGOR RYCIĄK

ROZSTRZYGANIE SPORÓW I KARANIE przestępców to podstawowa funkcja państwa. Ma do tego potężny zbiór instrumentów. Od policjantów dzielnic owych tropiących drobnych opryszków po sędziów Sądu Najwyższego, którzy w imieniu Rzeczypospolitej potrafią rozwiązać i zinterpretować największe prawnicze zagwozдки. I dzielnicowego, i sędziego Sądu Najwyższego łączy to, że muszą działać na podstawie prawa i w trybie przez nie przewidzianym. System ten ma swoje zalety, ale też i wady. Ograniczenie wyznaczane przez prawo powoduje, że są sprawy, których wymiar sprawiedliwości nie zdoła rozstrzygnąć. A wśród nich sprawy wielkiej wagi, które koniecznie powinny być osądzone, a nie będą. W ostatnich dniach mieliśmy dwa wyraźne tego przykłady.

Kiszcza przyczynił się do tragedii na Wujku, ale trzeba mu dowiedzieć, że działał umyślnie

Sąd odwoławczy po raz trzeci cofnął do rozpatrzenia w pierwszej instancji sprawę generała Czesława Kiszcza oskarżonego o przyczynienie się do śmierci górników w kopalni Wujek. Wina Kiszcza miała polegać na tym, że 13 grudnia 1981 rozesłał do oddziałów milicji tajny szyfrogram, w którym zezwolił na użycie broni do pacyfikowania strajków. Logicznie rzecz biorąc, sprawa jest oczywista. Jest pewne, że swoim szyfrogramem Kiszcza przyczynił się do tragedii na Wujku. A jednak z tym banalnym problemem nie poradziło sobie sześć kolejnych zawodowych składów sędziowskich. Bo zgodnie z prawem Kiszczaowi trzeba dowiedzieć, że działał umyślnie – wysyłając nieszczęsny szyfrogram, chciał, by w hucie, stoczni czy kopalni zgi-

drzej Lepper przyznał, że wiedział o operacji CBA (kręcił coś o tajemniczym osobniku, który go odwiedził). I ma rację Zbigniew Ziobro, twierdząc, że decyzja prokuratury obraża inteligencję Polaków. Problem w tym, że nie ma żadnych dowodów, że przeciek miał miejsce. A łańcuch poszlak nie zamyka się w wymagany prawem logiczny łańcuch. Co z tego, że Janusz Kaczmarek na pewno spotkał się z Ryszardem Krauzem w hotelu Marriott, skoro nic pewnego nie wiadomo o treści ich rozmowy? Jedną z największych afer w najnowszej historii kraju pozostanie nierozwikłana.

W salach sądów zdarzały się i będą zdarzać pomyłki. Tak samo, jak będą się zdarzać zbrodnie doskonałe. Niestety, musimy się z tym pogodzić. □



Zderzac andronów

Najważniejsze to pięknie się różnić. Miedwiediew i Putin różnią się prześlicznie

RAFAŁ KOSTRZYŃSKI

PREZYDENT ROSJI ZNÓW BŁYSNAŁ DICTUM, ZA KTÓRE DOSTAŁ plusa na Zachodzie: potępił Stalina i wszystkich jego wyznawców. Potępił ostro, wyraźnie. Nie można mieć wątpliwości, że potępił. To już trzeci plus Dmitrija Miedwiediewa w ostatnich tygodniach. Wcześniej roztoczył przed narodem wizję Rosji demokratycznej i wielopartyjnej, a potem pokazał przed kamerami, jak z troską pochyla się nad wątpliwościami opozycji, czy aby wybory regionalne nie zostały beczelnie sfalszowane*.

Premier Władimir Putin nie jest taki dobry. Właściwie to on w ogóle nie jest dobry. Każde dziecko wie, że to beton o dyktatorskich zapędach. Nie lubi demokracji, za to gloryfikuje Związek Radziecki. Nie umie się rozstać z władzą; na Kremlu zainstalował marionetkę, która już za trzy lata zapewni mu powrót na szczyt.

Wygląda na to, że ta marionetka zaczyna żyć własnym rytmem. Że wymyka się Putinowi spod kontroli. Że wkrótce będzie dla niego równorzędnym rywalem.

Ślusznie. Bo to tak ma wyglądać. Obaj panowie po prostu podzielili się zadaniami. Putin powierzył Miedwiediewowi misję kształtowania przyszłości, a sam zajął się ciężką orką w teraźniejszości. Innymi słowy: prezydent jest od kształtowania dobrego wizerunku tego, czego nigdy nie będzie (taki PR niebytu). Ma to mniej więcej taki sam skutek jak wpicie alkoholikowi w podkoszulek znaczka z napisem: „Od jutra nie piję”. Jeden rzut przekrwionego od kaca oka wystarczy, żeby zdać sobie sprawę, że ma się jeszcze mnóstwo czasu.

Dzięki temu w kremlowskich zakamarkach coś się wreszcie dzieje. Wydarzenia nabierają dynamiki, kształtuje się przyszłość.

Zupełnie jak w Zderzaczach Hadronów.

A może jednak coś z tego wyniknie? Może Miedwiediewowi uda się zepchnąć Putina na margines, przejąć władzę i wkroczyć z Rosją na drogę demokracji?

Na pewno. Jeśli Władimir Putin nie zorientuje się, że traci poparcie; jeśli Dmitrij Miedwiediew osłabi go tak bardzo, że nie będzie się bał impeachmentu; jeśli ugrupowanie Jedna Rosja dozna nagle zbiorowego olśnienia i jako Biedna Rosja odda władzę demokratycznej opozycji – i wreszcie jeśli sądy, które dziś są w stanie znaleźć kwit na każdego, zaczną wypuszczać z łagrów niewygodnych Chodorkowskich, a wsadzać morderców Poltowskiej – to dni premiera będą policzone. □

* Ostatecznie prezydent stopień sfalszowania wyborów regionalnych uznał za dopuszczalny

www.kappahl.com



Dżinsy 179,-

DESIGN BY

KappAhl

PRZĘKROJ Założył w roku 1945 w Krakowie Redaktor: Marian Eile
Joanna Woźniak-Czeczot
stale współpracują: Ola Salwa, Kaliber 45
ADRES REDAKCJI: UL. NOWOGRODZKA 47 A, 00-695 WARSZAWA, TEL. 22 525 99 33, FAKS 22 525 99 88, WWW.PRZĘKROJ.PL, E-MAIL: redakcja@przekroj.pl lub imie.nazwisko@przekroj.pl
REDAKTOR NACZELNY: Jacek Kowalczyk ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO: Bartek Chaciński DYREKTOR ARTYSTYCZNY: Anna Myśluk SEKRETARZE REDAKCJI: Magda Gedziorska, Marcin Pleszczyński
SEKRETARIAT: Anna Gryzwacz, tel. 22 525 99 33 KULTURA: kultura@przekroj.pl, Małgorzata Sadowska (szef), Marcin Sendek (zastępca szefa), Katarzyna Janowska, Tadeusz Nyczek, Karolina Pasternak, stale współpracują: Łukasz Drewniak, Sebastian Frąckiewicz, Mariusz Herma, Jacek Sieradzki, Jarosław Szubrycht, Bartek Winczewski, Marcin Andino Velez KRAJ: kraj@przekroj.pl, Krzysztof Szczepaniak, Paweł Wiczeorek (redaktor), Agnieszka Fiedorowicz, Aleksandra Pawlicka, Igor Ryciak, Anna Szulc; stale współpracują: Paweł Moskalowicz, Piotr Najsztub, Bogdan Rymanowski ZAGRANICA: zagranica@przekroj.pl, Rafał Kostrzyński (redaktor), Maciej Janowski, stale współpracują: Irena Cieślińska, Piotr Kossobudzki ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKA: rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pleszczyński, Bogdan Kretzel, Olga Piłsiński, Marek Szczepański; stale współpracują: Kuba Dąbrowski, Tomasz Kniolęk, Marcin Zegarek PROJEKT GRAFICZNY: Marek Knap STRONA INTERNETOWA: Marcin Cichoński KOREKTA: Dorota Dul, Tatiana Horak
REDAKTOR TECHNICZNY: Alan Jawor ARCHIWUM: Dominika Bok OBRÓBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU: Absolut Meas

GREMI GRUPA WYDAWNICTWO PRZĘKROJ SP. Z O.O., UL. NOWOGRODZKA 47 A, 00-695 WARSZAWA, TEL. 22 525 99 33, FAKS 22 525 99 88
PREZES WYDAWNICTWA: Grzegorz Hajdarowicz DYREKTOR WYDAWNICTWA: Barbara Stanisławczyk BIURO REKLAMY „PRZĘKROJ”: reklama@przekroj.pl, Grzegorz Wilczek – dyrektor, tel. 661 302 059, Agnieszka Marzec, tel. 601 550 348, Małgorzata Skrupa, tel. 601 432 821, Grzegorz Makowski, tel. 695 414 905, UL. NOWOGRODZKA 47 A, 00-695 WARSZAWA, TEL. 22 525 99 33, FAKS 22 525 99 88 DYREKTOR DYSTYBUCJI: Piotr Lech DYREKTOR PRODUKCJI: Danuta Kamińska KIEROWNIK PRZYGOTOWAŃ: Paweł Sypigiel DRUK: Quadwinkowski BIURO OBSŁUGI KLIENTA oraz PRENUMERATA – informacje, zamówienia, reklamacje, tel. 22 584 22 22 (pn.–pt., godz. 8–18), faks 22 584 22 32, bck@poczta-polska.pl PRZĘKROJ POCZTĄ PRZEDPŁATY PRZYJMUJĄ WSZYSTKIE URZĘDY POCZTOWE W TERMINIE NA I KWARTAŁ 2010 R. MOŻNA RÓWNIEŻ ZAMÓWIĆ NA WWW.POCZTA-POLSKA.PL/PRENUMERATA PRZĘKROJ SA – RUCH SA prenumerata krajowa – 804 200 600, prenumerata zagraniczna – 22 532 88 16; 22 532 88 23
DO 25 LISTOPADA BR. A WŁAŚCIWE DO KONCA MIESIĄCA. WPLATY NA PRENUMERATĘ BEZ POBIERANIA DODATKOWYCH OPŁAT. PRENUMERATĘ W NADESLANYCH ARTYKULACH I LISTACH

(KAWA BEZ CUKRU)

Los Tuska w rękach Kamińskiego

Na razie w ofensywie jest premier. Być może to jednak były szef CBA trzyma asy w rękawie

Bogdan Rymanowski, TVN

NAPRZECIW SIEBIE STANEŁY DWA ZBROJNE HUFCE. Z jednej strony osamotniony był szef Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Z drugiej wspierany przez rządową machinę premier. Z jednej unikający spotkań z posłami PiS i ludźmi prezydenta Mariusz Kamiński (każdy taki kontakt to punkt dla przeciwnika). Z drugiej Donald Tusk z całą armadą specjalistów od PR, z geniuszem Igiem Ostachowiczem na czele. Trudno w to uwierzyć, ale Kamiński nieprzypadkowo na swoją konferencję prasową wybrał skromną salę Stowarzyszenia Wolnego Słowa. Musiał za nią zapłacić z własnej kieszeni, a jak wiadomo, majątny nie jest. Dysproporcja sił jest widoczna. Ale to tylko pozór.

Przekaz Mariusza Kamińskiego jest prosty: „Nie jestem oszustem, do końca będę bronił swojej wiarygodności przed opinią publiczną i będę bronił prawdy przed sądem”. Przekaz Platformy również: „Kamiński to kłamca. Partnerem dla niego powinien być prokurator, a nie państwo. Nie spodziewaliśmy się, aby powiedział o nas coś miłego”.

Atmosferę wojny na śmierć i życie, w której prawda jest najmniej ważna, potęguje charakter obu zwalczających się partii. To już nie partie, lecz jak mówi Marek Jurek, przedsiębiorstwa wyborcze. Działacze są od wykonywania rozkazów. Nikt nie wymaga od nich samodzielnego myślenia, lecz monotonnego powtarzania „przekazów dnia”. Najpierw w porannych wywiadach radiowych, potem w wieczornych programach telewizyjnych. Słucham tego z coraz większym rozbrawieniem, jakbym był świadkiem teatru groteski.

Obu największym ugrupowaniom już dawno przestało zależeć na realizacji jakiejś idei albo konkretnego celu. Teraz liczy się tylko podważanie wiarygodności wroga. Na palcach jednej ręki można policzyć tych, którzy wyłamują się z tej „propagandowej dyscypliny”. Tych, którzy nie wymienili jeszcze mózgu i honoru na partyjną legitymację. Tych, których stać na dystans do własnych liderów.

Jarosław Haszpek pisał w „Historii partii umiarkowanego postępu (w granicach prawa)”, że każdy polityk musi przejść wielką szkołę życia: przede wszystkim musi się nauczyć oszukiwać ludzi. Miał rację. W polityce nie ma nieskazitelnie czystych. I to powinien być dla nas punkt wyjścia w poszukiwaniu rozwiązania zagadki afery hazardowej.

Jeśli chcą Państwo poznać prawdę, warto przeprowadzić własne, prywatne śledztwo. Najpierw trzeba spełnić kilka warunków. Po pierwsze, warto pozbyć się partyjnych antypatii. Zapomnijmy na moment o „straszonym Kaczorze” i „wilczych oczach” Tuska. Po drugie, nie dajmy się traktować jak bydło, którym można manipulować. Po trzecie, nie pozwólmy narzucić sobie narracji, jaką nam serwują obie partie. Po czwarte, nie zado-

wałajmy się inwektywami i połączkami. Po piąte, nie wiermy politykom. Nawet tym, których lubimy. Sami zadawajmy pytania. Na początek te podstawowe.

Kiedy zostaną ujawnione kluczowe pisma Kamińskiego do Tuska? Najpierw pierwsze z 14 sierpnia, potem drugie z 11 września. Ich treść może przesądzić o tym, który z panów mija się z prawdą. Dlaczego, skoro jak twierdzi Michał Boni, decyzja napisania nowej ustawy hazardowej zapadła 30 lipca, urzędnicy Ministerstwa Finansów jeszcze przez miesiąc zajmowali się ustawą wiceministra Kapicy (tą, z którą walczyli pp. Sobiesiak i Kosek)? I wreszcie, dlaczego córka jednego z nich zrezygnowała nagle (25 sierpnia, gdy nastąpił przeciek o akcji CBA) z zasiadania w kierownictwie Totalizatora Sportowego? Czy sugestia Chlebowskiego, że chodziło tutaj o większy przekręt z widołotami, to ten właściwy trop? Warto domagać się odpowiedzi, nawet jeśli cała sprawa wydaje się nam piekielnie skomplikowana.

A wracając do dysproporcji sił. Sytuacja wygląda inaczej, gdy zastanowimy się nad tym, który z aktorów dramatu ma więcej do stracenia. Stanowisko szefa CBA Mariusz Kamiński już stracił. Za to Donald Tusk jest urzędującym premierem i kandydatem na prezydenta. Kiedy dymisjonował Kamińskiego, słusznie mówił, że w normalnym państwie to premier zwalnia szefa służb, a nie odwrotnie. Sęk w tym, że w przypadku wyścigu do pałacu na Krakowskim Przedmieściu może być odwrotnie. I to Kamiński decyduje, czy Tusk zostanie prezydentem.

WYMYŚLIŁ I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI



W polityce nie ma nieskazitelnie czystych. I to powinien być dla nas punkt wyjścia w poszukiwaniu rozwiązania zagadki afery hazardowej

przekroj.pl

1. Jak uczyć szkołę?

Olga Woźniak

Polska szkoła to archaiczny twór. Uczy o Janku Muzykancie, a nie potrafi nauczyć matematyki. Po co komu szkoła, jeśli jest Internet? Uważasz, że to prawda? Przeczytaj

2. Dr House:

W medycynie jak w kinie
Dla „Przekroju” komentuje doktor Wojciech Feleszko

Dla wszystkich, którzy od września znów (a może dopiero) zaczną śledzić w polskiej telewizji losy doktora House'a, pierwszy odcinek piątego sezonu komentuje doktor nauk medycznych Wojciech Feleszko z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego

3. Guma receptą na koleiny

Agata Jankowska

W Polsce pojawił się producent asfaltu z gumy. Na świecie wykorzystuje się tę technologię do budowy autostrad. U nas będziemy ją testować jeszcze latami

4. Dlaczego „Punk” kupił „Przekrój”

rozmawia Piotr Najsztub

Obalał system, robił biznes, potem postanowił zmienić swoje życie. Teraz Grzegorz Hajdarowicz kupił „Przekrój”. Stwierdziliśmy, że to nie najgorszy pretekst do rozmowy

5. Bella pupa

Piotr Stanisławski

Potężne pośladki mogą być obiektem kpin lub erotycznych marzeń. Wszystko zależy od tego, czy jesteśmy głodni, czy przejedzeni

6. Trudno mieć pleć

Piotr Stanisławski

Jeśli wiesz na pewno, że jesteś kobietą lub mężczyzną, to masz niesamowite szczęście. Ze współczesnej wiedzy wynika, że między kobietą a mężczyzną jest mnóstwo stanów pośrednich i każdy z nas może być tego przykładem

7. Śpiewająca ofiara wojny

rozmawia Piotr Najsztub

Paweł Kukiz z zaciekawieniem wchodzi w świat telewizyjnej publicystyki, choć jest przekonany, że pokutującą wśród Polaków mentalność *homo sovieticus* szybciej zmienia piosenki niż politycy

8. Środa: „Gdy ustawy piszą biskupi...”

rozmawia Aleksandra Pawlicka

Obrona zapłodnionych komórek to intratne polityczne zajęcie – mówi etyk, filozof, była minister do spraw równouprawnienia, profesor Magdalena Środa

9. Dr House stawia

diagnozę Olga Woźniak,
Piotr Stanisławski

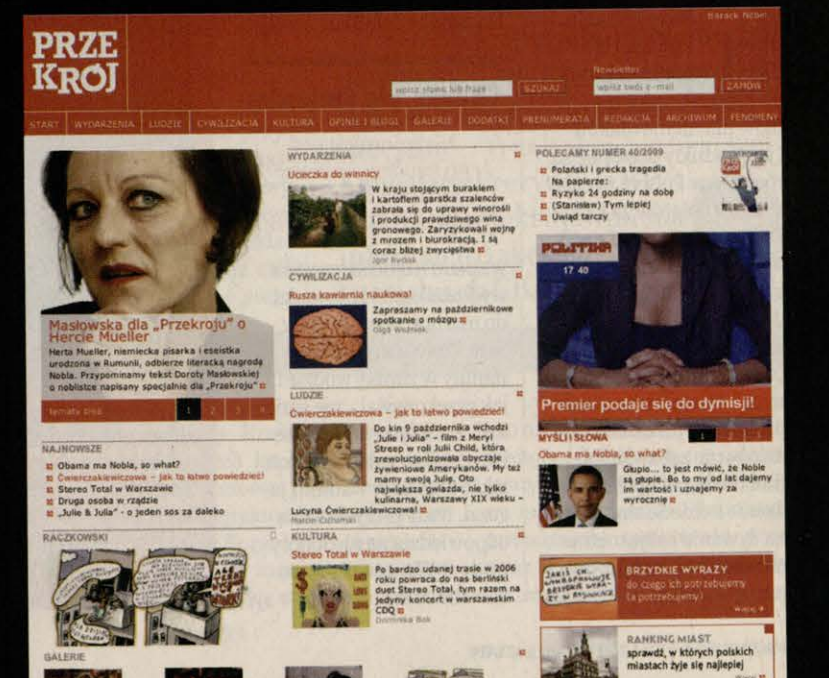
W kilku polskich stacjach oglądamy piąty sezon serialu „Dr House”. Chcesz być na czasie? Zajrzyj do medycznego archiwum House'a. Zweryfikuj diagnozy genialnego lekarza

10. 10 rzeczy, których nie wiesz o Katarze

Paweł Moskaiewicz

Tym pisaniem wielką literą, bo rzecz nie dotyczy pociągania nosem, lecz odległego emiratu nad Zatoką Perską, który ostatnio przebojem wszedł do polskiej polityki

* We wrześniu 2009



KRÓTKO

Przekrój.pl

**Koniec z monopolem
łacińskich znaków
w nazwach domen**

OD POŁOWY 2010 ROKU w nazwach domen będziemy mogli posługiwać się znakami do tej pory niedopuszczalnymi, bo wykraczającymi poza alfabet łaciński. Pozwoli to pisać na przykład cyrylicą zarówno na tworzenie zupełnie nowych domen, jak i zapisywanie we własnym alfabecie już istniejących. Zmianę zatwierdza właśnie obradująca w Seulu organizacja ICANN (Internet Corporation for Assigned Names nad Numbers). W tytule przykład naszej domeny zapisanej z polskim znakiem ó. — *cich*

Einstein nie uczy

**Nasze filmy niczego
twojego dziecka nie nauczą
— przyznała Walt Disney
Company**

NALEŻĄCA do niej firma Baby Einstein, która w USA kontroluje

90 procent rynku mediów dla niemowlaków (jej produkty dostępne są również w Polsce), wypłaci 15,99 dolarów za każde DVD zakupione w latach 2004–2007. Czuje organizacje konsumenckie dowiodły, że wbrew obietnicom filmy nie miały „właściwości edukacyjnych”. Firma nieuczciwie próbowała przekonać rodziców, że zabawka lub film może zastąpić siedzenie z dzieckiem na dywanie i objaśnianie mu zawiłych meandrow rzeczywistości. — *mac*



Wielebny nie śmieci

**Na rzeszowskim cmentarzu
w dzielnicy Przyszówka
ksiądz zlikwidował śmieć**

W ZAMIAN OSOBY, KTÓRE w ostatnie święto przyszyły odwiedzić groby bliskich, naknęły się na wielką niebieską tablicę z napisem „Śmieci zabieramy do swoich śmietników”. Proboszcz, któremu podlega nekropolia, zerwał umowę z firmą wywożącą wypalone znicze i zwiędłe kwiaty. Ta zabrała kontenery. — To nie może śmieci — ucina ksiądz. Efekt był do przewidzenia. Na działce tuż obok cmentarza powstało dzikie składowisko odpadów. Urząd miasta zwrócił się do kapłana o zmianę decyzji. Na razie bez skutku. — *iggy*

Chávez nie śmierdzi

**Nie śpiewajcie pod
prysznicą — wezwał
rodaków prezydent
Wenezueli Hugo Chávez**

WEDŁUG NIEGO ŚPIEWANIE wydłuża kąpiel i prowadzi do marnotrawstwa wody. Sam Chávez myje się trzy minuty w zimnej wodzie i, jak przekonywał, „nie śmierdzi”. Za antysocjalistyczne i niedopuszczalne uznał on także kąpiele w wannie i jacuzzi. Rady prezydenta są odpowiedzią na niedobory wody w Wenezueli spowodowane suszą. — *syl*

KRYMINAL ANNA SZULC

Pościg za anonimem

**Dwie prokuratury i biegły informatyk od kilku miesięcy
bezsukcesznie tropią „italiano”, anonimowego internauta,
który obraził w sieci policjanta z Chrzanowa**

W CIEPŁY LIPCOWY DZIEŃ MŁODSZY INSPEKTOR Tomasz Zajac, w dodatku komendant, nerwowo klikał myszką, aż wreszcie znalazł to, czego szukał, na forum portalu chrzanowskiego tygodnika „Przełom”. To było straszliwe oskarżenie. Niejaki „italiano” śmiało napisał, że chrzanowskie radiowozy zamieniają się w taksówki dla Z. i jego znajomych.

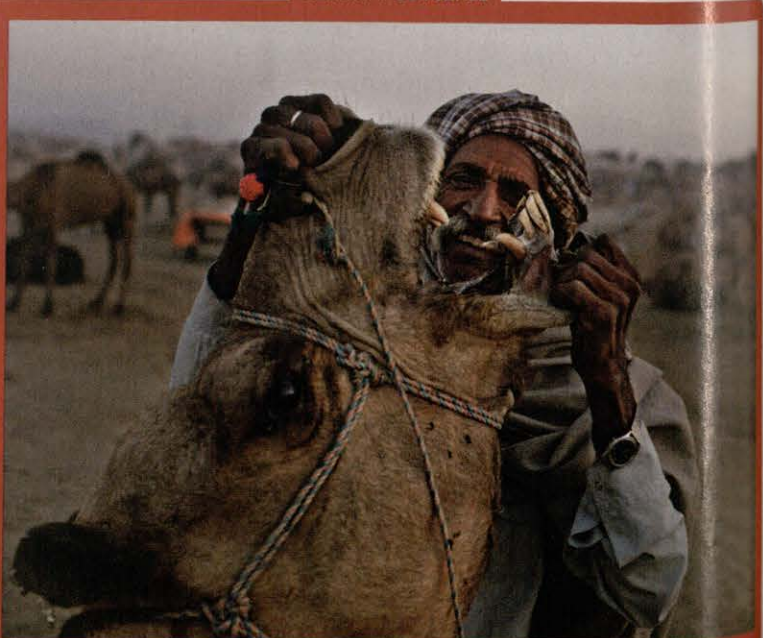
Komendant zawiadomił Prokuraturę Rejonową w Chrzanowie, a ta natychmiast wszczęła postępowanie. Uznała bowiem, że chodzi o ważny interes społeczny. Ostatecznie sprawę przeniesiono do prokuratury w Miechowie. Bo ta z Chrzanowa doszła do wniosku, że ktoś mógłby oskarżyć ją o kumoterstwo.

— A my, niestety, musieliśmy przejąć sprawę, jesteśmy związani decyzją naszych poprzedników — wyjaśnia „Prze-

kroju” Tomasz Moskwa, szef miechowskich śledczych. Kolejni już prokuratorzy zabrali się do pracy. Buszowanie w sieci nie przyniosło jednak rezultatów. Sprytny „italiano” dobrze zaszył się w odmetach cyberprzestrzeni. Pod koniec października prokuratura poprosiła więc o posiłki, czyli o wsparcie biegłego informatyka. Ale nawet profesjonalści mają problemy z odnalezieniem złoźcy.

Tylko były minister sprawiedliwości Zbigniew Cwiakalski przypominał, że z pomówieniem obywatel może zaważyć przez prywatne oskarżenie lub pozew cywilny. Minister nie jest w stanie wytropić interesu społecznego w tym, że urząd powołany do ścigania poważnych przestępstw za pieniądze podatników ściga niejakiego „italiano”.

KLIMAT I OBYCZAJE



Wielbłąd a efekt cieplarniany

Targ wielbłądów w indyjskim Puszkarze, jeden z największych na świecie, od stuleci przyciągał tłumy. Pięć dni listopadowej pełni księżyca to oprócz targu czas pielgrzymki do świątyni boga Brahmy, zakończonej ablucją w jeziorze Puszkara. W tym roku do miasta w prowincji Radżastan zjechało (wraz z właścicielami) dziewięć tysięcy wielbłądów — jednak zarówno targ, jak i rytualna kąpiel są utrudnione. Jezioro bowiem wyschło. Służby miejskie, przygotowując się do targu, próbowały je pogłębić i w efekcie zmieniły zbiornik w zbiór różnej wielkości kałuż. I tylko wielbłądy z braku wody nie robią problemu. — *joa*

POLACY W NASA

MALYSZ, KUBICA, RADWAŃSKA TO DYŻURNI POCIESZACZE Polaków — przekonują, że mimo wszystko liczą się z nami na świecie. Jednak sukcesy sportowe to rzecz ulotna, dlatego proponujemy system pocieszania oparty na międzynarodowych sukcesach polskich firm.

Na pierwszy ogień idzie LGBS — gliwicka firma informatyczna, która przygotowuje system FileHold. To rozwiązanie służące do zarządzania dokumentami elektronicznymi i ich archiwizowania. Coraz więcej firm organizacja ogranicza obieg papieru, przetrzymując się na komputerowe pliki, które nie gubią się, nie zalegają w stosach na biurku i nie pożerają lasów.

Opracowany w Polsce FileHold działa między innymi w NASA (agencja rządu USA odpowiedzialna za program lotów kosmicznych), Defense Information Systems Agency (agencja amerykańska odpowiedzialna za przepływ informacji w armii i rządzie) czy



Gliwicka LGBS archiwizuje dane największych światowych firm

Panasonicu oraz 110 innych instytucjach i firmach z 17 krajów. Dlaczego FileHold? Rozwiązanie to można uruchomić bez udziału osób zewnętrznych, co w firmach o wysokim standardzie bezpieczeństwa jest sprawą kluczową. LGBS pracuje nad swoim systemem od 2005 roku, więc nie ma tu mowy o sukcesach jednego sezonu. To nie sport. — *pstan*

Jak komunikują się politycy — standardy polskie i światowe

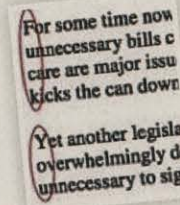
POLITYCZNA NOWOMOWA PO POLSKU...

JAROSŁAW I LECH KACZYŃSCY, Janusz Korwin-Mikke, Lech Wałęsa, ojciec Tadeusz Rydzyk oraz Andrzej Lepper widzą prym w rankingu twórców politycznych neologizmów i powiedzonek ostatniego 20-lecia. Polityczne bon moty zbiera „Słownik polszczyzny politycznej...”, który trafił właśnie do księgarni. Gruba kreska i gruba trzymająca władzę, plusy dodatnie i plusy ujemne, katoland i tubekistan — słownik spisuje historię Polski po 1989 w 400 hasłach. Wiadomo, że Aleksander Kwaśniewski był właścicielem bolającej gołębki, ale że w 1993 roku startował do Sejmu z hasłem „Każda Polka głosuje na Olka” już



już pewnie mało osób pamięta. Albo że hasłem przeciwników rządu AWS było „Buzek na wózek”. Za to, kto jest autorem hasła „Balcerowicz musi odejść” wiedzą wszyscy (Andrzej Lepper). Podobnie jak i najsłynniejszego, według językoznawców, bon motu transformacji: „Prawdziwego mężczyznę poznaje się nie po tym, jak zaczyna, ale jak kończy” (Leszek Miller).

W słowniku prócz powiedzonek jest także plejada nowotworów językowych powstałych od nazwiska: józiolenie (Miller o rozmowach Olegiego z Gudzonowem), kaczym (Senyszyn o władzy braci Kaczyńskich), falandyzacja (dziennikarka Ewa Milewicz o naginaniu prawa przez Lecha Falandysza) i oczywiście kuroniówka, tak powszechna w użyciu, że jej etymologii twórcy słownika nie byli w stanie ustalić. — *apa*



...I PO AMERYKAŃSKU

FUCK YOU — NAPISAŁ gubernator Kalifornii Arnold Schwarzenegger w liście do członków legislatury stanowej. List był odpowiedzią odmowną na prośbę podpisania jednej z proponowanych ustaw finansowych, a słowa „fuck you” właściwie wcale w nim nie padły. To tylko pierwsze litery kolejnych wierszy listu zupełnie przypadkiem tak się ułożyły. O tym, że to przypadek, zapewnia przynajmniej sekretarz prasowy gubernatora, choć niedawne ostre konflikty z legislaturą sprawiają, że nie całkiem mu wierzymy. — *pstan*

Obywatelu, nie truj pomidorem!

**Szwedzki rząd instruuje obywateli, żeby zamiast
pomidorów jedli marchew, zamiast ryżu — kaszę
jęczmienną, a zamiast ryb — kurczaka**

NARODOWA WYTYCZNA W KWESTII ŻYWIENIA KREŚLI dietę, która łączy zdrowie z ekologią. Dokument jest owocem kilkuletnich badań mierzących wpływ produkcji żywności na środowisko. Naukowcy ustalili, że 25 procent emisji CO₂ do atmosfery związana jest z jedzeniem. Gdyby Szwedzi zastosowali się do zaleceń rządu, emisja spadłaby od 20 do 50 procent.

Badacze przeanalizowali produkty, biorąc pod uwagę emisję wygenerowaną przez nawozy, paliwa do maszyn rolniczych, proces pakowania i transport. Najmniej ekologiczna jest wołowina (1,7 kilograma CO₂ na jednego hamburgera, a tylko 0,4 kilograma na kanapkę z kurczakiem). Ryby, choć zdrowe, nie są ekologiczne ze względu na kurczenie się europejskich łowisk, a pomidory w warunkach szwedzkich wymagają ogrzewanych szklarni. Część producentów już dziś umieszcza informacje o emisji na etykietach. W niedalekiej przyszłości poziom emisji zostanie wzięty pod uwagę przy wydawaniu certyfikatów żywności ekologicznej. Przeciwnicy inicyjatywy Szwecji, która jest światowym liderem w ratowaniu klimatu, zaprotestowali już między innymi norwescy rybacy i malezyjscy producenci oleju palmowego. — *mac*



Nawet kupując warzywa, klienci szwedzcy dowiedzą się, jaką szkodę wyrządzają środowisku

Czy operacje specjalne powinny być ujawniane? Nie, dlatego że operacje specjalne mają to do siebie, że są specjalne — **Władysław Stasiak**, szef Kancelarii Prezydenta RP, pytany o projekt ujawnienia informacji o akcjach specjalnych CBA



Na Syberii doją bez strat

**Krowy źle reagują
na przestawianie zegarków**

PONAD 70 PAŃSTW ZMIEŃIŁO CZAS na zimowy. Również Rosja — choć niecała. We wsi Solgon na Sy-

berii, w Kraju Krasnojarskim, od trzech lat obowiązuje tylko czas zimowy. Jego zmiany zakazał dyrektor lokalnej hodowli krów Boris Mielnichenko. Zauważył, że wraz ze zmianą czasu zmieniają się pory dojenia krów,

a to niekorzystnie wpływa na ich wydajność. Gdy czas zmieniano, straty wynosiły aż do półtorej tony mleka dziennie. Siedmiuset mieszkańców przestawia więc teraz zegarki tylko wtedy, kiedy opuszcza wieś. — *aj*



PSYCHIKA TEKST ANNA SZULC, ILUSTRACJE GALERIA RUSZ

POLA PSYCHOŚCIEMY

ŻONA ZACZĘŁA ROZMAWIAĆ Z PRZODKAMI, OJCIEC ODRZUCIŁ BALAST MORALNOŚCI, A CÓRKA KRĘCI PALCAMI LENIWE ÓSEMKI? ZAPEWNE **STALI SIĘ OFIARAMI JEDNEJ Z KILKU POPULARNYCH W POLSCE PSEUDOTERAPII**. STOSUJĄ JE POWAŻNI PSYCHOLOGOWIE I PSYCHIATRY, A WSPIERA PAŃSTWO ORAZ UCZELNIE

ce „Zakazana psychologia” jako pierwszy w Polsce odważył się tak bardzo wprost skrytykować innych fachowców z branży za uprawianie psychoterapii, które nie mają podstaw naukowych. I zamiast pomóc człowiekowi wyjść z problemów, najczęściej jego problemy potęgują.

Tezy wysrane z palca

Trzy lata temu Witkowski, kiedyś wykładowca na Uniwersytecie Wrocławskim i w Szkole Wyższej Psychologii Społecznej, autor artykułów publikowanych w renomowanych czasopismach, jak „British Journal of Social Psychology”, nieoczekiwanie napisał do miesięcznika „Charaktery” artykuł poświęcony psychologii i psychoterapiom. Pod przybranym nazwiskiem Renata Aulagnier zaprezentował tam nową rewolucyjną terapię. Miesięcznik, który ma radę naukową złożoną z psychologów z tytułami naukowymi (ośmiu profesorów doktorów habilitowanych, jeden doktor), bez większych ceregieli opublikował tekst, w żaden sposób nie weryfikując tez autora. Tymczasem tezy te autor wysłał z palca. W pewnym uproszczeniu można by je sprowadzić do tego, że nowa wspinała metoda terapeutyczna pozwala wyleczyć pacjenta za pomocą komputera i nieskomplikowanych zaleceń, takich jak wizyta na stadionie piłkarskim lub słuchanie oper Wagnera.

– Chciałem udowodnić i udowodniłem, że w Polsce można rozpropagować każdą bzdurę – wyjaśnia prowokator. – A naukowcy nie chcą lub nie potrafią zrobić niczego, by ją zweryfikować.

Swoją książką Witkowski po raz kolejny chce przyłożyć kolegom po fachu. „Zakazana psychologia” przedstawia bowiem tezę: psycholodzy, również ci z tytułami, biorą udział w wielkim terapeutycznym oszustwie lub dają na nie swoje milczące przyzwolenie. Czy rzeczywiście? Postanowiliśmy zweryfikować oskarżenia Witkowskiego. Bo kto wie, może znowu wysłał je ze swojego lub czyjś palca? Wzięliśmy pod lupę trzy terapie, które święcą dziś triumfy w gabinetach polskich psychologów.

Terapia numer jeden: rodzinne ustawienia systemowe Berta Hellingera – dla tych, którzy nie rozumieją, z jakich powodów ciągle mają kłopoty.

Terapia numer dwa: Neurolingwistyczne Programowanie (NLP), określane czasem jako terapia neurolingwistyczna – dedykowane tym, którzy marzą, by jak za dotknięciem różdżki pożegnać się z depresją, lękiem i fobią, a w zamian zyskać pieniądze, sławę i szczęście.

W końcu terapia numer trzy: kinezoologia edukacyjna – dla tych, którzy mają

dzieci, najlepiej chore. I którzy dotąd nie mieli pojęcia, czego można dokonać, odwijając dzieciom uszy. W dodatku robiąc to za publiczne pieniądze.

I Zulusi, i Polacy

Metodę ustawień rodzinnych Berta Hellingera proponuje dziś w Polsce mniej więcej co trzeci gabinet psychologiczny. Na wykłady poświęcone tej terapii studentów psychologii zapraszają między innymi uniwersytety: Łódzki, Śląski, Warszawski i Wrocławski, UKW w Bydgoszczy i UMCS w Lublinie. Za chwilę o ustawieniach hellingerowskich przeczytamy w kolejnym już tomie „Psychoterapii”, podręczniku akademickim pod redakcją profesor Lidii Grzesiuk z Wydziału Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego. Powód zajęcia się ustawieniami? Profesor Grzesiuk wyjaśnia „Przekrojowi”, że nie mogła pominąć terapii, która zyskała taki rozgłos. Choć sama nie poleciłaby jej pacjentom.

Co jednak ciekawe, w zespole, który wraz z Lidią Grzesiuk współtworzył „Psychoterapię”, odnajdziemy nazwisko doktor Mirosławy Huflejt-Lukasik z Katedry Psychopatologii i Psychoterapii UW. Huflejt-Lukasik jest koordynatorką tegorocznego kursu specjalistycznego dla studentów psychologii, na którym mają zostać wyłożone „najważniejsze teorie wyjaśniające mechanizmy zaburzeń psychicznych”. W tym również terapia systemowa Berta Hellingera.

Kim jest człowiek, którego teoria uważana jest dziś w Polsce przez psychologów za jedną z wartych propagowania?

Bert Hellinger to były niemiecki zakonnik, który spędził 16 lat wśród Zulusów, co żadnej ujmę mu nie przynosi. Potem, już w nowym tysiącleciu, kilkakrotnie odwiedził Polskę.

Być może dzięki jego szczególnej sympatii do kraju nad Wisłą, a może jeszcze z innych powodów, polscy psycholodzy rozwiązują obecnie problemy swoich pacjentów w prosty i niewymagający wiele czasu sposób: wywołując duchy. Choć tego tak nie nazywają.

Lepsze tory

O tym, że jest „uwikłana” w losy swoich przodków, Katarzyna S., studentka polonistyki z Warszawy, dowiedziała się pewnego wieczoru w czerwcu tego roku, gdy psycholog (znany z telewizji) ustawił na scenie (w ramach rodzinnej terapii systemowej Berta Hellingera) reprezentantów rodziny S. Za ustawienie psycholog wziął od studentki 500 złotych; pozostałe osoby biorące udział w seansie zapłaciły po 200 złotych, mimo że ustawienie nie dotyczyło ich rodzin.

WIADOMOŚĆ Z MINIONEGO MIESIĄCA: DWIE osoby zmarły, a dziesięć innych zatruto się podczas seansu terapii grupowej prowadzonej przez psychologa w Berlinie. Prawdopodobnie terapeuta podał pacjentom niezidentyfikowaną substancję, po której większość miała się skomunikować z duchami, które (jakoby) zatrwały im jaźń. Co zatrulo jaźń psychoterapeuty, że skazał ludzi na śmierć?

– Lukratywny i całkowicie bezkarny psychobiznes – uważa psycholog społeczny z Wrocławia doktor Tomasz Witkowski. W wydanej we wrześniu tego roku książ-



→ W terapeutach znanych z telewizji, którzy od niedawna wyznają modną i przynoszącą spore zyski metodę Hellingera, studentka mogła przebierać jak w uległach. Mogła na przykład zamówić sobie seans w renomowanym Instytucie Ericksonowskim albo w gabinecie lekarskim popularnej psychiatry Jolanty Berezowskiej. Albo w jednej z wielu innych poradni, których pracownicy szczytą się przynależnością do Polskiego Towarzystwa Psychologicznego, a nawet jego międzynarodowych odpowiedników. Szczycą się również tym, że potrafią – w ramach terapii – przestawić na scenie kilka obcych sobie osób, a czasem (w ramach terapii indywidualnej) poprzestawiać na stole kilka figurek, dzięki czemu są w stanie przestawić również nasze życie, oczywiście na lepsze tory.

Rzeczywistość przerosła naukę

Podczas ustawienia rodzinnego studentki Kasi S. wszystko poszło jak zwykle. Obcy jej dotąd ludzie w ciągu zaledwie kilku sekund wcielili się w jej mamę i tatę, a potem nawet prababkę i dziadka. Ludzie ci kiwali się na boki, krzyczeli, a następnie kładli się na podłogę i łkali.

Dzięki tym obcym i może trochę dzięki subtelnej interpretacji terapeuty (któremu wyjaśnienie tego, co się dzieje na scenie, zajęło siedem i pół minuty) Katarzyna dowiedziała się, że jej dwukrotna już próba popełnienia samobójstwa ma wiele wspólnego z zagmatwanymi losami jej protoplastów. Po prostu system jej rodziny został zaburzony przez wydarzenia sprzed kilkunastu lat. Katarzyna – o czym dowiedziała się głosem terapeuty (bo to on interpretuje wydarzenia na scenie) – miała kiedyś brata, który zmarł w tajemniczych okolicznościach (zapytani później o to rodzice zdecydowanie zaprzeczają). Katarzyna nie miała też pojęcia, że jej prababka cierpiała na schizofrenię, bywała niebezpieczna, w związku z czym jej syn (to znaczy dziadek S. o imieniu Tadeusz) o mało nie został matkobójcą. To również wynikało z ustawienia, a właściwie z jego interpretacji autorstwa terapeuty.

– Tego wszystkiego dowiedziałam się dzięki „wiedzącemu polu” – wyjaśnia Katarzyna. Czyli? Czyli – jak oświecił ją terapeuta – dzięki zjawisku, przez które ci, którzy reprezentują na scenie naszą rodzinę (choć jej nie znają), uzyskują dostęp do wiedzy osób z przeszłości. Tych, których miejsca na scenie zajęli. Czyli na przykład naszych nieżyjących dziadków czy zmarłego przedwcześnie brata. Co więcej, reprezentanci odbierają uczucia ustawianej rodziny i ujawniają, często z krzykiem i złością, zatajane od lat relacje rodzinne.

Jak wyjaśnia nam z pełną powagą psycholog Andrzej Nehrebecki (certyfikowany psychoterapeuta i superwizor Polskie-



Pomyślałam, że to jednak nie cudotwórca. I że tak jak się nieoczekiwanie w Polsce pojawił, tak szybko zniknie

go Towarzystwa Psychoterapii Integratywnej, certyfikowany psychoterapeuta Sekcji Naukowej Psychoterapii Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego oraz European Association for Psychotherapy, członek Society for the Exploration of Psychotherapy Integration i Society for Psychotherapy Research, wreszcie dyrektor Polskiego Instytutu Psychoterapii Integratywnej), w ustawieniach hellingerowskich spotykamy się ze swoimi przodkami z... niewyjaśnionych do końca powodów. Ale dla Nehrebeckiego nie ma to większego znaczenia, bo jego zdaniem rzeczywistość przerosła naukę.

Conan na scenie

O tym, jak pracuje Bert Hellinger, na własne oczy przekonałam się trzy lata temu. Przypadkiem znalazłam się na show z udziałem mistrza w krakowskim Centrum Sztuki i Techniki Japońskiej „Manggha”. Dowiedziałam się, że jest psycho-

terapeutą, choć żadnej uczelni nie skończył. Że porzucił życie wśród Żulusów, a potem zrzucił habit, bo postanowił leczyć dusze mieszkańców bardziej cywilizowanych światów. Wtedy wydawało mi się, że to kolejny cudotwórca, jak zapomniany już wówczas Kaspirowski.

Na scenie, na której zasiadł Hellinger oraz jego tłumacz, pojawiali się kolejni uczestnicy seansu. Moją uwagę przykuło zwłaszcza małżeństwo z dwójką adoptowanych dzieci. Przybrany ojciec przyznał publicznie, że nie potrafi kochać dzieci tak, jakby chciał, i że szuka drogi do miłości. Kilka minut później dowiedział się, że powinien odnaleźć drogę do najbliższego bidula. – Oddajcie dzieci z powrotem do sierocińca – zaapelował Bert Hellinger. Wtedy pomyślałam, że to jednak nie cudotwórca. To nie Kaspirowski, ale raczej Conan Niszczyciel. Miałam nadzieję, że tak jak się nieoczekiwanie w Polsce pojawił, tak szybko zniknie. Później dowiedziałam się, że Hellinger nie uznaje adopcji, za to uważa, że ofiara molestowania seksualnego musi pojednać się ze swoim oprawcą. Na przykład córka powinna pogodzić się z ojcem, który ją gwałcił, bo ojciec „ma większe prawa w systemie ro-

dzinnym”. Trzeba mu się poddać, bo tylko w ten sposób można uzdrowić system.

W 2004 roku na wykłady z udziałem Berta Hellingera zaprosiła swoich studentów Szkoła Wyższa Psychologii Społecznej. Sala pękała w szwach.

W kwietniu tego roku doktor Michał Parzuchowski, psycholog z tejże SWPS, przeprowadził na łamach „Charakterów” śmiertelnie poważny wywiad z Markiem Wilkirem, specjalistą terapii uzależnień, który od lat popularyzuje w Polsce metodę Hellingera. Oto fragment wywiadu:

„Michał Parzuchowski: – Nadal nie jest dla mnie jasne, dlaczego na przykład dramatyczna śmierć pierwszego męża babci pacjenta może mieć związek z jego małżeńskimi problemami...”

Marek Wilkirski: – Zaczynamy od początku, a więc od tego, jak ten zmarły był potraktowany przez babcię i rodzinę pacjenta. Niewątpliwie należy mu się miejsce w systemie – gdyby nie jego śmierć, nie byłoby pacjenta na świecie. Pojawił się wcześniej od dziadka pacjenta, a więc ma od niego wyższą rangę i należy mu się odpowiedni szacunek. Jego »rachunki« powinny być wyrównane. Ale często bywa inaczej. Wyobraźmy sobie, że to małżeństwo było mezaliansem, babcia pochodziła z wyższej klasy. Rodzina babci pogardzała jej mężem, a nawet życzyła mu śmierci. Po śmierci stał się on tematem tabu, odmówiono mu prawa do przynależności. Dziadek pacjenta nigdy nie czuł się naprawdę kochany, gdyż w sercu babki ciągle ważniejszy był pierwszy mąż”.

Nieistotne narzędzia

Pytam doktora Parzuchowskiego, czy wierzy w to, co proponują w terapii Hellingera i jego wyznawcy?

– To sfera magii, zatem sfera, do której poważny badacz nie może mieć zaufania – odpowiada psycholog. Pytam, czy w takim razie naukowcy mają prawo promować magię w swoich terapiach?

– Oczywiście, jest niepokojące, że szarlataneria wchodzi w rejony zarezerwowane dotąd dla nauki – uważa Parzuchowski. – Wciąż jest to jednak sprawa marginalna.

Zdaniem psychologa, dopóki zjawiska takie jak Hellinger nie wypierają sprawdzonych psychoterapii, nie powinniśmy demonizować ich znaczenia dla współczesnej psychologii.

– To terapeuta jest istotny, a mniej narzędzia, dzięki którym pomaga nam wrócić do zdrowia – wyjaśnia Anna Bersz, przewodnicząca sekcji psychoterapii w Polskim Towarzystwie Psychologicznym. Przyznając jednocześnie, że PTP

do tej pory nie miało czasu bliżej przyjrzeć się ustawieniom rodzinnym.

Kto w takim razie im się przyjrzał? Oczywiście poza Tomaszem Witkowskim, który w „Zakazanej psychologii” nie zostawia na Hellingerze suchej nitki.

Niemcy nie owijają w bawełnę

Większość naukowców, których próbuje namówić na rozmowę o ustawieniach rodzinnych, odmawia, twierdząc, że na Hellingerze po prostu się nie znają. Że nie wpadłoby im nawet na myśl, by tę metodę przebadać. Bo hellingerowcy są hermetyczną kastą, która od lat odrzuca wszelkie próby zrationalizowania ich terapii.

– Przede wszystkim jednak do tej metody nie da się zastosować klasycznych narzędzi naukowych – wyjaśnia profesor Dariusz Doliński, jeden z najbardziej cenionych w świecie polskich psychologów, członek Komitetu Nauk Psychologicznych PAN oraz dziekan zamiejscowego wydziału SWPS we Wrocławiu. Doliński jest jednym z nielicznych, którzy nie uważają już ustawień Hellingera za zjawisko marginalne, a o ich twórcy mówią wprost: to szarlatan.

– Myślę, że te seanse, tworzone najpewniej na bazie psychodramy i być może zbiorowej hipnozy, cieszą się takim wzięciem, bo ludzie w nich uczestniczący bardzo chcą pewne rzeczy ujrzyć i przeżyć – wyjaśnia psycholog. – Sądzę też, że wszystkim, którzy biorą udział w tym szaleństwie, udziela się euforia i zapal charakterystyczne dla większości nowych modnych terapii.

Według profesora Dolińskiego z tego też powodu ustawienia mogą, przynajmniej na początku, przynieść pożądane przez ich uczestników efekty. Mogą po prostu na nich „działać”, podobnie jak potrafi działać terapia placebo. Nie wątpię więc, że są ludzie, którzy pozytywnie zareagowali na tę terapię, ale to nie wystarczy, by uznać metodę za godną propagowania.

Wielkie show Hellingera zostały w Niemczech zakazane, gdy jedna osoba po spektaklu w Lipsku popełniła samobójstwo

Rodzinnymi ustawieniami systemowymi zainteresowało się również Wielkopolskie Towarzystwo Terapii Systemowej z siedzibą w Poznaniu. Ustawiając konstelacje rodzinne, Hellinger odwołuje się bowiem do systemu rodzinnego i to właśnie słowo „system” pozornie łączy terapię systemową z metodą Hellingera.

Towarzystwo z Wielkopolski współpracuje z adekwatnym stowarzyszeniem

z Niemiec. Metodę Berta Hellingera ocenia podobnie jak jego niemiecki odpowiednik. Na stronie organizacji z Poznania znajdziemy więc stanowisko zachodnich terapeutów, którzy kategorycznie odcinają się od Hellingera: „Dystansujemy się od tego sposobu ustawień rodziny, w której odżegnuje się od wszelkiej osobistej odpowiedzialności za możliwe następstwa, unika się wszelkiego nadzoru nad jakością postępowania z klientami. W dodatku poddaje się ludzi pewnego rodzaju oddziaływaniu »uzdrawiania«, gdzie rozbudzane są nierealne nadzieje przy szerzeniu ekstremalnie upraszczającej współzależności (na przykład, że rak piersi jest nieuniknionym następstwem braku poszanowania dla własnej matki)”.

Niemcy nie owijają w bawełnę. Dla nich Hellinger i jego ustawienia to terapia niebezpieczna. Sami przekonali się o tym kilka lat temu, gdy po wielkim hellingerowskim spektaklu w Lipsku jedna z osób „ustawianych” przez samego mistrza popełniła spektakularne samobójstwo. Wielkie show Hellingera zostały wówczas u naszych zachodnich sąsiadów zakazane.

– A w Polsce Hellinger i jego ustawienia są coraz częściej oferowane pacjentom niezorientowanym w ich możliwych skutkach – martwi się Ewa Stankowska, psycholog i członek zarządu WTT. Dodając, że do gabinetów poradni zdrowia psychicznego i psychoterapeutycznych trafiają już osoby, które nie radzą sobie z negatywnymi efektami ustawień hellingerowskich.

Studentka Katarzyna S. mimo ustawienia, a może przez nie właśnie, po raz kolejny we wrześniu próbowała odebrać sobie życie. Nie pomógł jej ani Bert Hellinger, ani odgrywany na scenie dziadek Tadeusz.

Terapia kontra normy moralne?

A może ofiary terapii hellingerowskich powinny poszukać pomocy w innych gabinetach psychologicznych, których w Polsce jest coraz więcej? Może powinny się zwrócić ku terapii zwanej w skrócie NLP, której popularność przebiega w Polsce nawet ustawienia rodzinne, a którą również, podobnie jak ustawienia Hellingera, możemy znaleźć w programach nauczania najpoważniejszych polskich uczelni? I którą to metodę czynnie propaguje między innymi doktor Mirosława Huflejt-Lukasik z Katedry Psychopatologii i Psychoterapii UW. Tak, ta sama, która współtworzy podręczniki akademickie do psychoterapii, a poza tym założyła Polski Instytut Neurolingwistycznego Programowania.

Okazuje się jednak, że NLP nie jest dla wszystkich. Tej wyjątkowej metody psycholog Andrzej Batko, guru polskich NLP-owców, na swojej stronie →



→ internetowej absolutnie nie poleca tym, którzy mają „odrobinę poczucia przyzwoitości, jakieś normy moralne”.

Co właściwie kryje się za naukowo i poważnie brzmiącym Neurolingwistycznym Programowaniem?

– Pseudonauka, która od kilkudziesięciu lat próbuje udawać, że jest nauką – irytuje się profesor Dariusz Doliński. – I która samozwańczo i bez pardonów zawłaszczyla reguły wypracowane wcześniej przez poważnych badaczy.

mógłby być w sposób badawczy weryfikowalny – zarówno podczas pracy z pacjentem, jak i na większej grupie osób.

Zauważa to również inny znany psycholog, profesor Jan Strelau. Wspólnie z profesorem Dolińskim w wydany w ubiegłym roku przez Gdańskie Wydawnictwo Psychologiczne podręczniku akademickim „Psychologia” w rozdziale „Psychologia XXI wieku – wyzwania i zagrożenia” zwraca uwagę, że NLP-owcy nie zadali sobie trudu, by zweryfikować swoją metodę

Witkowski nie ma racji? Może to, co skuteczne, wcale nie musi być naukowo potwierdzone?

Paweł Fortuna, obecnie doktor psychologii społecznej i trener biznesu oraz wykładowca w warszawskiej Akademii Leona Koźmińskiego i KUL, jeszcze jako student wybrał się w połowie lat 90. na kurs NLP prowadzony przez nauczyciela akademickiego. – Pomyślałem, że nazwisko wykładowcy to dla mnie najlepsza rekomendacja – wspomina Fortuna. Kursu nie skończył. – Urząłem ludzi, którzy uczą innych, jak bezwzględnie manipulować człowiekiem i czerpać z tego radość – mówi psycholog. – Jak człowiek sprowadza człowieka do kilku prostych procedur, przedmiotu, który można uwieść, zwieść lub wymienić na lepszy model.

Laicy w mózgu

NLP jest więc przede wszystkim nieetyczne. Ale nie tylko. Zdaniem Mateusza Gola z SWPS niektóre techniki stosowane przez NLP, na przykład właśnie te, które mają pomagać ludziom w walce z fobiami, mogą być dla nich groźne. Za taką uważa technikę dysocjacji, w której uczy się pacjenta, by oddzielał się od doświadczenia zagrożenia, wyobrażając sobie, że opuszcza ciało.

– Sądzę, że przy odpowiednio częstym treningu może to prowadzić do dysocjacji w nasileniu patologicznym – wyjaśnia Gola. – Osoba oddziela się będzie od swojego doświadczenia, nie konfrontując się z nim i być może nie reagując adekwatnie.

Dla Fortuny NLP niebezpiecznie oddziela nas od naszych wszelkich doświadczeń, każąc natychmiast zapomnieć o bólu, strachu, niemiłych przeżyciach. Wiedząc o tym, że NLP często stosowane jest bez jakiegokolwiek kodeksu moralnego, umożliwiają eliminację ważnych doświadczeń. – NLP dostarcza takich, czasem rzeczywiście skutecznych narzędzi, które sprawiają, że w ciągu kilku minut jesteśmy w stanie zamienić depresję w euforię – zauważa psycholog. – Niby fajnie, tylko człowiek, jeśli rzeczywiście ma sobie realnie i dojrzałe radzić z problemami, musi rozumieć, że są częścią jego życia, że musi im stawić czoło. W dłuższej perspektywie, wobec zdarzeń naprawdę traumatycznych, jak na przykład śmierć bliskiej osoby, te techniki są nie tylko nieprzydatne. Są po prostu szkodliwe.

To co w takim razie jest nieszkodliwe w terapiach serwowanych dziś Polakom z problemami? Bo może jednak przesadzamy? Czy rzeczywiście szkodliwe może być kręcenie przez dziecko w powietrzu leniwych ósemek wykonywane w ramach kinezjologii edukacyjnej (systemu, który – tak twierdzą jego polscy propagatorzy – umożliwia uczniom w dowolnym

wieku rozwinięcie ich potencjalnych, zablokowanych w ciele możliwości)? I który święci triumfy nie tylko w Polsce, ale też w innych krajach europejskich, na przykład w Wielkiej Brytanii (Choć wymyślił go Paul Dennison, pedagog z Uniwersytetu Południowej Kalifornii, bliżej nieznanego psychologom z tego uniwersytetu). Triumfy osiągnięte dzięki „gimnastyce mózgu” mającej na celu przywrócenie zablokowanych na skutek stresu oraz wypracowanie nowych połączeń nerwowych, po których biegną impulsy do kory mózgowej, gdzie odbywa się właściwy proces uczenia się.

W 2005 roku MEN nadało programowi dla sześciolatków „Mój kuferek” w całości opartemu na kinezjologii certyfikat nr DKOS-5002-11/05 dopuszczający do stosowania w wychowaniu przedszkolnym. Obowiązuje on do dzisiaj.

Rok wcześniej Centrum Pomocy Psychologicznej-Pedagogicznej MEN włączyło kinezjologię edukacyjną do programu szkolenia przeznaczanego dla psychologów, pedagogów, nauczycieli i rodziców.

– Szkolenia trwały 16 godzin, a ich celem było zapoznanie uczestników z naturalną metodą wspomaganie i stymulacji funkcjonowania dzieci z trudnościami szkolnymi – wyjaśnia nam biuro prasowe MEN.

Na 16 godzinach szkolenia sprawa się jednak nie kończy. Na poziomie podstawowym „gimnastyki mózgu” przeszkolono do dziś w Polsce 50 tysięcy opiekunów dziecięcych. Ponad 60 szkół podpisało umowę ze Stowarzyszeniem Kinezjologów Edukacyjnych, w ramach której rady

pedagogiczne szkół dostają scenariusze zajęć. Co ważne, często zajęć z dziećmi upośledzonymi! Kinezjologia na stałe weszła do programów wielu kierunków studiów dyplomowych i podyplomowych dla pedagogów i terapeutów.

Czego zatem uczą się dziś w ramach zajęć z kinezjologii, to znaczy naturalnej metody wspomaganie, pedagogów, nauczycieli i rodziców oraz studentów polskich uczelni? Uczą się na przykład odwijania uszu dzieciom. Albo naciskania odnalezionych w ciele dziecka punktów energetycznych, czyli mudr. – Uczą się rzeczy, które z punktu widzenia nauki nie mają żadnego uzasadnienia – zapewnia profesor Anna Grabowska, neuropsycholog i kierownik Pracowni Psychofizjologii w Instytucie Nenciego PAN.

Puknij się w czoło

Grabowska na prośbę Komitetu Neurobiologii PAN wykonała trzy lata temu ekspertyzę na temat podstaw naukowych kinezjologii edukacyjnej. Na bazie publikacji dostarczonych między innymi przez Stowarzyszenie Kinezjologów Edukacyjnych. Profesor najpierw zauważyła kardynalne błędy w tłumaczeniach tekstów z języka angielskiego. Na przykład struktura mózgu zwana ciałem kolankowatym bocznym w tekstach kinezjologów określona została jako „lateralny zwój kolanka”. A takie-

W listopadzie 2007 roku na Wydziale Nauk Humanistycznych SGGW odbyła się konferencja „Kinezjologia edukacyjna. Nauka, pseudonauka czy manipulacja?”. Uczestnicy – pedagodzy, psycholodzy, terapeuci, neurobiolodzy – uznali kinezjologię za oszustwo

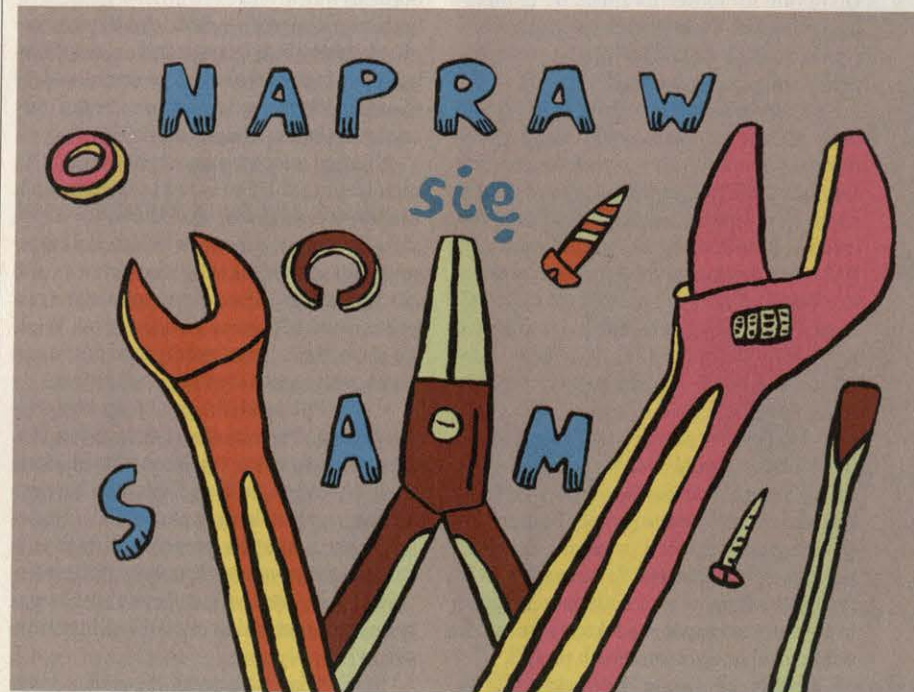
go nie ma. Ale to nic w porównaniu z tym, co dostrzegła, czytając materiały przedstawiające tę metodę.

– Autorzy tych tekstów okazali się kompletnymi laikami w zagadnieniach dotyczących funkcjonowania mózgu – wyjaśnia profesor Grabowska. – Mylili podstawowe pojęcia, snując teorie i groteskowe dywagacje na temat połączeń między półkulami, profili dominacji, testów mięśniowych, masowania punktów, które poprawiają myślenie albo redukują u dzieci stres. Wiele tych tez jest nie tylko fałszywe, ale ma wręcz charakter „magiczny”.

Problem w tym, że magiczna kinezjologia zaczyna wypierać ze szkół i ośrodków dla dzieci z dysfunkcjami stare sprawdzone i racjonalne metody terapeutyczne. Akcja naukowców z PAN wymierzona w kinezjologię edukacyjną jest dziś jednym z niewielu zakrojonych na większą skalę działań polskich naukowców wymierzonych w pseudonaukę*.

Dlaczego? – Bo psychologowie często sami czerpią profity z pseudonauki – doktor Tomasz Witkowski nie pozostawia nam żadnych złudzeń.

Złudzeń, że specjaliści od duszy przejmują się losem swoich pacjentów. Że biorąc od nich pieniądze, biorą jednocześnie odpowiedzialność za ich zdrowie, a czasem życie. Zatem, Polaku, zanim pójdziesz do gabinetu terapeuty, w którym ustawia ci figurki albo przestawia duchy, zastanów się dwa razy. Ludzie, do których drzwi zapukasz, mogą ci zrobić wodę z mózgu, bo używanie rozumu, ale najpewniej i serca, przestało być dla nich wartością. □



– To zbiór technik – dodaje Mateusz Gola, psycholog, neurokognitywista z Katedry Psychofizjologii Procesów Poznawczych SWPS. Jakich? Podpatrzonych. W latach 60. Richard W. Bandler i John Grinder, uznawani dziś za ojców NLP, przyjrzyli się pracy światowej sławy terapeutów, takich jak Fritz Perls, Milton H. Erickson czy Virginia Satir. – Uznali, że obserwacja terapeutów przy pracy może doprowadzić do odkrycia takich schematów, które można będzie uogólnić, sprawdzić empirycznie, a w końcu wdrożyć w życie – wyjaśnia doktor Tomasz Witkowski. Problem w tym – jak zauważa Mateusz Gola – że skuteczność tych technik była potwierdzana jedynie przez historie konkretnych pacjentów.

– Nie spełniało to i nadal nie spełnia norm naukowych – zapewnia neurokognitywista z SWPS. – Zamiast danych ilościowych otrzymywaliśmy jedynie barwny opis przebiegu terapii i odzyskiwania dobrostanu przez zgłębioną problemami osobę.

Innymi słowy, twórcom NLP, mimo że wiele stosowanych przez nich technik faktycznie „działa”, nie udało się stworzyć spójnego systemu teoretycznego, który

Neurolingwistyczne programowanie? To pseudonauka, która od kilkudziesięciu lat próbuje udawać naukę

PROFESOR DARIUSZ DOLIŃSKI

empirycznie. Nie mówiąc już o tym, że sama nazwa metody może być myląca.

„W ruchu tym nie ma przecież ani »neuro« (neurologii czy neuropsychologii), ani »lingwi« (lingwistyki czy psycholingwistyki), ani programowania (na przykład behawiorystycznego czy innego, opartego na naukowych podstawach)” – piszą Strelau i Doliński.

W „Zakazanej psychologii” Witkowski słabości NLP pokazuje przez liczby. Konkretnie przez publikacje, które od czasu odkrycia „metody” pojawiły się w poważnych naukowych pismach. Psycholog policzył, że ponad 60 procent autorów najważniejszych prac poświęconych NLP jednoznacznie odrzuca założenia neurolingwistycznego programowania. A może

JAK ROZPOZNAĆ TERAPIĘ, KTÓRA NIE SZKODZI

W TEJ CHWILI NA LIŚCIE Europejskiego Towarzystwa Psychoterapii (EAP), które skupia ponad 120 tysięcy terapeutów, zarejestrowanych jest 31 modeli terapeutycznych i ciągle dopisywane są nowe. Inne źródła mówią, że na europejskim i amerykańskim rynku istnieje około 500 różnych, w większości niesprawdzonych terapii. Amerykańskie Towarzystwo Psychologiczne w specjalnym raporcie poświęconym skuteczności psychoterapii już w 1995 roku, na fali psychoterapeutycznego szaleństwa, określiło wymagania, jakimi powinni kierować się badacze, dzieląc terapie na efektywne i nieefektywne.

Nieefektywne, czyli takie, które nie dają żadnych rezultatów, lub takie, których rezultatów nie da się racjonalnie sprawdzić. Naukowcy z oceanu uznali, że o wiarygodnej terapii można mówić dopiero wtedy, gdy zostanie zweryfikowana na podstawie dwóch porządnie zaplanowanych eksperymentów naukowych. Innymi słowy, grupę ludzi poddaną analizowanej terapii należy porównać jednocześnie z innymi grupami terapeutycznymi: członkowie „konkurencyjnej” grupy przyjmowałoby lekarstwa, inna grupa poddawana byłaby terapii placebo lub prowadzona zgodnie z zasadami odmiennej, sprawdzonej już terapii. Uzyskane

efekty porównawcze powinny pochodzić od co najmniej dwóch niezależnych naukowców lub zespołów badawczych. Amerykanie uznali również, że psychoterapia oparta na wiarygodnych badaniach klinicznych musi mieć precyzyjnie postawiony cel i czytelne dla wszystkich standardy postępowania z pacjentem.

• Do metod, których wyniki potwierdzono empirycznie, badacze zaliczają dziś terapie: – behawioralną, – poznawczo-behawioralną, – poznawczą, – trening umiejętności społecznych, – systemową terapię rodzinną.



• Do metod, które nie zostały wystarczająco przebadane lub wyniki badań nie potwierdziły ich skuteczności, zaliczono między innymi: – psychoanalizę (wybitny filozof [Karl Popper] posługiwał się właśnie przykładem psychoanalizy jako teorii niefałszyfikowalnej, a więc nienaukowej), – terapię NLP,

– ustawienia Berta Hellingera, – kinezjologię edukacyjną.

Coraz częściej krytycy psychoterapii za sensowną dla niej alternatywę uważają tak zwany trening twardości psychicznej, czyli uczestnictwo w specjalnych warsztatach, które uczą ludzi, jak radzić sobie ze stresem i przeciwnościami losu oraz jak wzmocnić w sobie odporność na problemy. Treningi twardości prowadzone są już między innymi w The Hardiness Institute w Kalifornii, nad ich efektywnością trwają badania w wielu ośrodkach akademickich na świecie. – ana

Jak brać, żeby nie oddać

Własny innowacyjny biznes można sfinansować z różnych źródeł. Ale pieniądze i ciężka praca to za mało, by osiągnąć sukces – musisz się pilnować, by twój sponsor nie odebrał ci pieniędzy

TWÓJ BIZNES MARCIN CICHONSKI

W Polsce osób, które przekonują, że mają ciekawe i innowacyjne pomysły na firmę, są tysiące. Tak przynajmniej można wnioskować z tłumów, jakie dzień i noc stały w zeszłym tygodniu w kolejkach pod instytucjami przyznającymi dotacje unijne na własny biznes. Ktoś chciał stworzyć specjalistyczne serwisy usprawniające pracę branży neurologicznej, ktoś inny miał pomysł na aplikację ułatwiającą przepływ informacji między urzędami gmin a firmami.

Polacy na dotacje rzucili się masowo, bo na rozkręcenie biznesu można było dostać od 20 tysięcy do nawet miliona złotych*. W ciągu trzech dni, podczas których przyjmowano wnioski, zgłoszono blisko dwa tysiące projektów.

Jeszcze nigdy w Polsce dotacje unijne dla przedsiębiorców (choć przyznawane są od 2004 roku) nie wzbudziły tak dużego zainteresowania. W ostatnim, zeszłotygodniowym rozdaniu kwota, o którą ubiegali się potencjalni biznesmeni, aż dziesięciokrotnie przekroczyła przewidzianą do rozdysponowania pulę 135 milionów złotych. Ludzie zorientowali się, że zdobycie dotacji na innowacyjne e-projekty (to już czwarty taki konkurs) nie wymaga wielkich nakładów pracy, a większość projektów, nawet tych mało innowacyjnych, urzędnicy akceptują. Mariusz Gryz, 25-latek z Warszawy, mówi, że przejście przez całą tę procedurę nie było jednak łatwe. Mimo że jest absolwentem prawa, który z językiem formalnym jest za pan brat, jego dokumenty odrzucono ze względów formalnych: – Zabrakło wszystkich potrzebnych informacji. Dopiero za drugim razem, gdy wynajęłam specjalistów, w których zainwestowałam 1,3 tysiąca złotych, wniosek przyjęto – opowiada.

Mile złego początki

Samo wypełnienie wniosku, a nawet już przyznanie środków, to jednak dopiero początek drogi do stworzenia choćby niewielkiej firmy innowacyjnej. – O wiele trudniejsza jest sama realizacja projektu – mówi pragnący zachować anonimowość warszawski przedsiębiorca. – Słowa kluczowe to „efekt na poziomie produktów i resulta-



Jeśli już odstoimy swoje w kolejce, a wniosek jest poprawny pod względem merytorycznym i formalnym, to pieniądze na pewno dostaniemy, bo przy przyznawaniu dotacji nie ma konkursu ofert

tu”. Co to oznacza? Ano to, że musimy cyklicznie przedstawiać owoce naszej działalności mierzone nie tylko w postaci wyników finansowych. Musimy pilnować założeń. Jeśli we wniosku mówiliśmy o zatrudnieniu 10 osób, to będziemy musieli je zatrudnić – wyjaśnia biznesmen i narzeka dodatkowo na absurdalność związane z przestrzeganiem unijnych wymogów: – Jeśli ubiegając się o dotację, założymy kupno komputerów za 10 tysięcy, to choćbyśmy potem mogli kupić je taniej, musimy wydać określoną kwotę.

Na podobne problemy wskazuje Rafał Han z krakowskiej firmy Han Bright, która od czterech miesięcy wdraża projekt e-learningu językowego dla przedszkolaków: – Jeśli we wniosku mamy zapisany zakup komputerów stacjonarnych, a mamy atrakcyjną propozycję zakupu laptopów, to żeby ją zrealizować, musimy napisać aneks

do umowy i czekać trzy tygodnie na jego ewentualne podpisanie – tłumaczy.

Han ostrzega przed liczeniem na szybkie i terminowe wypłaty dotacji. – Realizujemy projekt od czterech miesięcy, zainwestowaliśmy w tym czasie z własnej kieszeni ponad 400 tysięcy złotych. W tym czasie mieliśmy otrzymać ponad 200 tysięcy z dotacji. Ale przez opóźnienia ich nie mamy – komentuje krakowski przedsiębiorca. Gdyby firma nie posiadała własnych środków, które natychmiast mogłaby zainwestować w projekt, realizacja mogłaby zostać wstrzymana. A to oznaczałoby, że nie wywiązałaby się z realizacji założonego we wniosku przedsięwzięcia. Wstrzymanie inwestycji mogłoby zaś skutkować odebraniem prawa do dotacji.

No właśnie, a co jeśli powinne nam się noga i nasza firma w trakcie realizacji projektu upadnie? Albo nie uda jej się zrealizować określonego we wniosku celu? – Wtedy środki trzeba zwrócić – mówi Gryz. – Dlatego większość aplikujących znacznie zaniża efekt, jaki chce osiągnąć.

Wtedy środki trzeba zwrócić – mówi Gryz. – Dlatego większość aplikujących znacznie zaniża efekt, jaki chce osiągnąć.

Efekty na początku można spokojnie zaniżać, bo urzędnicy na etapie rozpatrywania wniosku nie zwracają uwagi na skalę przedsięwzięcia. Jeśli projekt spełni kryteria formalne i zostanie uznany za innowacyjny, o przyznaniu dotacji zdecyduje jedynie kolejność składania dokumentów. – Bardzo złożony projekt musieliśmy opisać bez uciekania się do terminów branżowych, bo ostrzegano nas, że musi być zrozumiały dla każdego urzędnika – stwierdza Han. To oznacza, że poziomowi innowacyjności czy ewentualnych skutków wprowadzenia innowacyjnego produktu nie ocenia żadna grupa specjalistów.

Ryzykanci w cenie

Fundusze z Unii to jednak niejedyny sposób pozyskiwania pieniędzy na projekty innowacyjne. Choć „te inne sposoby” (wydawałoby się, że łatwiejsze) także nie gwarantują łatwego zdobycia pieniędzy.

Młodzi, kreatywni ludzie chętnie wkułiliby się w łaski funduszy działających na zasadzie *venture capital* (*venture*, czyli z angielskiego „ryzykowne”), bo te inwestują w nowe projekty największe pieniądze. Może to być nawet ponad osiem milionów złotych, ale w zamian za oddanie partnerowi 35–40 procent udziałów. Fundusze typu *venture capital* gwarantują nam stabilność działania. Swoje udziały zbywają zazwyczaj w trzy–cztery miesiące po zrealizowaniu założonego wspólnie biznesplanu. I choć w grę wchodzi zazwyczaj duże sumy, warto zabezpieczyć sobie prawo pierwokupu udziałów w firmie.

– Dla nas ważniejszy od szczegółowego i obszernego biznesplanu jest sam innowacyjny pomysł na zaspokojenie konkretnych potrzeb rynku – mówi Marcin Majewski, członek zarządu firmy BBI Seed Found, która wsparła już kilka ryzykownych pomysłów. – Oczywiście na jego końcu musi być wskazanie sposobu, w jaki razem będziemy mogli na nim zarobić – dodaje. A to z kolei może utracić nasze marzenia o innowacyjnych projektach.

Bowiem każda nasza decyzja – od chęci zmiany zarobków po pokusy zreformowania strategii produktowej – może się przecież nie spodobać inwestorowi, który będzie miał wszelkie narzędzia, w tym prawne, by nam owe pomysły wybić z głowy.

Problemy z członkami *venture capital* mogą też się zacząć, gdy idzie nam za dobre. – Jeśli będziemy mieli możliwość poszerzenia zasięgu naszej firmy, wykładając na to niewielkie środki, i to nie z kieszeni inwestora, ale z własnej, możemy usłyszeć, że nasz udziałowiec nie wyraża na to zgody, bo wykracza to poza przyjęty biznes-

Opóźnienia w wypłatach środków mogą sięgać kilku miesięcy

RAFAL HAN



plan – mówi jeden z przedsiębiorców, który realizuje właśnie wspólne przedsięwzięcie z tego typu funduszem. – To absurd, bo przecież zwiększamy rentowność firmy, wycenę przedsiębiorstwa i ryzykujemy tylko własne środki.

Anioł liczy na zysk

W Polsce jest kilka stowarzyszeń aniołów biznesu – to zamożni inwestorzy, którzy, doceniwszy jakiś pomysł, wykładają środki finansowe na jego realizację. Największe stowarzyszenie to PolBAN, który może zainwestować w projekt nawet półtora miliona złotych. W tym modelu mamy pieniądze na biznes, ale mamy i współnika, który ze swoją częścią udziałów w każdym momencie (na przykład kryzysu lub kłopotów finansowych) może zrobić, co zechce. Aniołowie oficjalnie deklarują, że wspierają

wszystkie firmy – z praktyki jednak wynika, że najchętniej inwestują w nowe, dynamicznie rozwijające się przedsiębiorstwa.

Do PolBAN-u wpływa tygodniowo kilkanaście pomysłów. Pieniądze dostają jednak wyłącznie ci, którzy nie tylko mają pomysł, ale także potrafią go sprzedać. – Podczas spotkań z inwestorami wychodzi na jaw, że są zaangażowani także w inny biznes. A to ich dyskwalifikuje – podkreśla Wojciech Dołkowski, szef PolBAN-u.

Problem z aniołami jest także taki, że liczą zwykle na duże zyski w krótkim czasie. Ich wyobraźnię rozpalają przykłady z przeszłości. Gdy wykładając kwotę 100 tysięcy dolarów, anioł biznesu Thomas Alberg pomógł Jeffowi Bezosowi zrealizować marzenie o sklepie internetowym Amazon.com, otrzymał zwrot w wysokości 26 milionów dolarów. Anonimowy inwestor, który wspomógł niegdyś Apple Computers, na jednym zainwestowanym dolarze zarobił aż 1692 dolary – zainwestował 91 tysięcy, zainkasował 154 milionów dolarów.

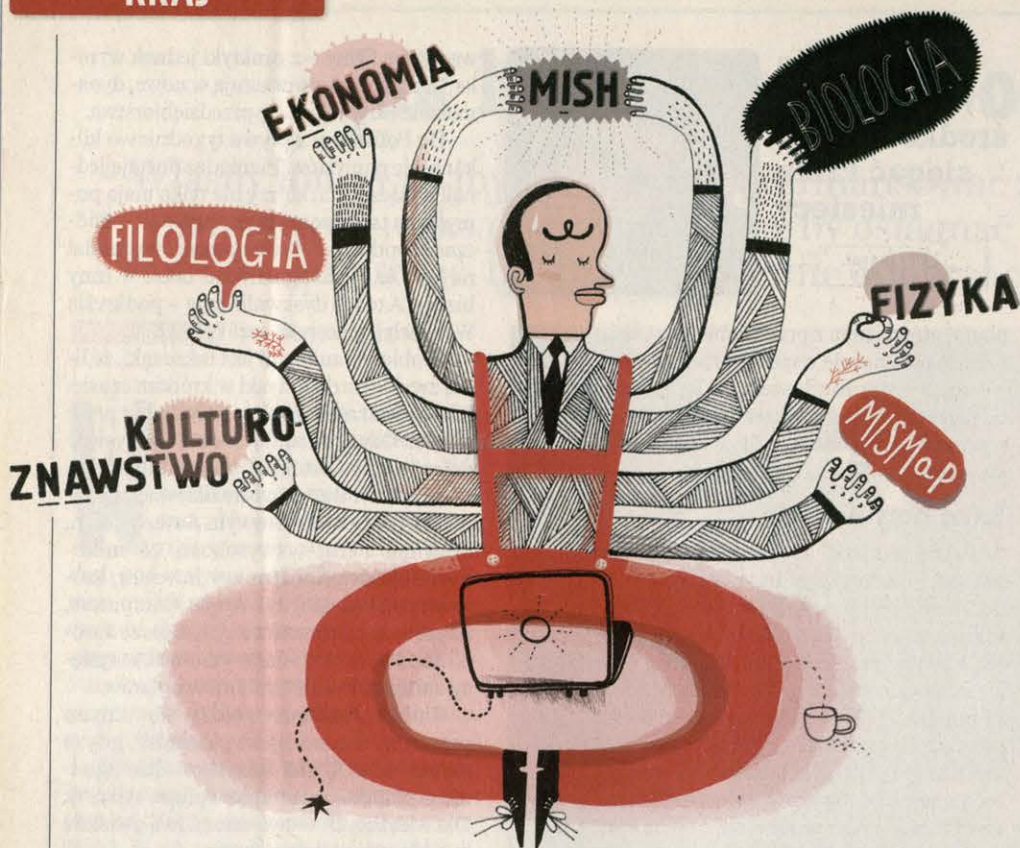
Unijne fundusze rządzą się innymi prawami: tam oddajesz pieniądze, gdy ci się nie uda. A jeśli wszystko idzie zgodnie z planem, śmietankę spijasz tylko ty. Dla wierzących w swą szczęśliwą gwiazdę to najbezpieczniejsza droga. □

POMYSŁY, KTÓRE SPODOBAŁY SIĘ URZĘDNIKOM

Oto przykłady projektów, które otrzymały dotacje unijne w ramach poprzedniej edycji programu „Wspieranie działalności gospodarczej w dziedzinie gospodarki elektronicznej”

KTO	NA CO	ILE
GreenGem Szymon Wierciński	Wspólna sprawa. GreenGem.org – charytatywność online	745 033 zł
NetCam SC Michał i Adam Twardziszewscy	Budowa pierwszej telewizji klubowej na żywo na portalu społecznościowo-rozrywkowym Lokalik.com	596 909 zł
Incomesolutions	Internetowa Przymierzalnia Ubrań i Okularów	575 152 zł
Fajne Wesele SC A.Wieruszewska-Puto, M. Sadowska	Fajne Wesele – pakiet e-usług do planowania oraz organizacji ślubu i wesela	469 455 zł
I-easY Wojciech Podsiadły	Stworzenie wortalu internetowego „e-diagnostyka chorób”	130 390 zł
F.H.S.U. Novum	Nowatorski sposób nauczania przedmiotów ścisłych jako propozycja budowania e-społeczeństwa opartego na wiedzy	63 750 zł
Nasze Maluchy	Społecznościowy serwis internetowy świadczący e-usługi dla rodziców	38 500 zł
Subar Software	Kompleksowe zestawienie projektów budynków mieszkalnych	20 826 zł

Źródło: PARP GOVPL



EDUKACJA TEKST AGNIESZKA FIEDOROWICZ, ILUSTRACJE AGATA DUDEK

Student i makroproblem

Do szkół wyższych wchodzi wielka reforma. Dzięki makrokierunkom łatwiej będzie skakać z wydziału na wydział. Pomysł chwalebny, tylko czy nie sparaliżuje uczelni?

Robisz w supermarkecie zakupy na cały tydzień. Ale zamiast z całej oferty możesz wybierać produkty tylko z jednego działu, a nawet z jednego regału. Zamiast chleba, mięsa i warzyw w koszyku masz więc tylko słodycze. Albo same ryby, tyle że bez oleju lub przypraw. Takich „zakupów” młodzi ludzie wciąż dokonują, gdy wybierają na uczelniach kierunki studiów. Tymczasem eksperci podkreślają, że współczesny rynek pracy potrzebuje osób o wykształceniu interdyscyplinarnym, łączących kompetencje z wielu dziedzin. Trudno obecnie wyobrazić sobie biologa zajmującego się badaniami nad nowymi lekami, który nie zna zaawansowanych metod statystycznych potrzebnych do opracowania wyników swo-

ich doświadczeń. Taka interdyscyplinarność jest dziś niezbędna w wielu dziedzinach. – Wyjdziemy naprzeciw potrzebom studentów i rynku. Uczelnie będą miały większą swobodę w tworzeniu studiów interdyscyplinarnych i międzywydziałowych – zapewnia nas profesor Barbara Kudrycka, minister nauki i szkolnictwa wyższego. I zapowiada zmiany w programach kierunków studiów.

Program z alternatywą

Ania Czarnecka po roku studiowania biologii na Uniwersytecie Warszawskim przeniosła się na Międzywydziałowe Indywidualne Studia Matematyczno-Przyrodnicze (MISMaP). – Wiedziałam, że jako przyszłemu genetykowi bardziej przyda mi się

znajomość fizyki, na przykład do modelowania struktury białek, i że bardziej pożądana będzie wiedza o zaawansowanej chemii niż o botanice, którą trzeba walczyć na „normalnej” biologii – wyjaśnia. – Warunkiem zaliczenia roku było wyrobienie określonej liczby przedmiotów. Ich dobór zależał ode mnie i tutora, czyli pracownika uczelni, który doradzał mi, co może mi się przydać, a z czego mogę zrezygnować.

– Studia międzywydziałowe pojawiły się w Polsce na początku lat 90. Chodziło o stworzenie programu, który byłby alternatywą dla uśrednionych studiów wymyślonych na potrzeby masowego kształcenia. Była to ścieżka dla najzdolniejszych i chcących więcej – mówi profesor Jerzy Woźnicki, były rektor Politechniki Warszawskiej, prezes Fundacji Rektorów Polskich.

Utworzone w 1992 roku MISMaP i rok później Międzywydziałowe Indywidualne Studia Humanistyczne (MISH) to usystematyzowana i rozbudowana wersja indywidualnego toku nauczania. Mimo że wymagały samodzielności w tworzeniu planu studiów i cięższej pracy, cieszyły się (i cieszą dotąd) niesłabnącą popularnością. Zdolni, ale niezdeterminowani mają dodatkowy czas na wybór swojej upragnionej dziedziny.

Teraz kolegia MISMaP proponują cztery największe polskie uczelnie, MISH – osiem. Student międzywydziałowy musi obowiązkowo uczestniczyć w zajęciach co najmniej dwóch wydziałów, choć jeśli ma na to ochotę (i akceptację profesorów innych kierunków), może brać też udział w jakichkolwiek innych zajęciach, i to nie tylko jednej uczelni. Najciekawsze, że dziedziny, które można wybierać, wcale nie muszą być pokrewne. Student MISMaP może studiować matematykę teoretyczną oraz geologię, a MISH filologię klasyczną i ekonomię.

Międzywydziałowe skoczki

– MISMaP oraz MISH to nie kierunek studiów, ale pewien specyficzny sposób studiowania na kilku wydziałach jednocześnie – tłumaczy profesor Jerzy Woźnicki. MISMaP-owcy i MISH-owcy nie mają swoich wykładowców, zajęć ani katedr. Studiują u innych. I właśnie dlatego mają kłopoty.

Od kilku lat obok istniejących studiów międzywydziałowych pojawiły się tak zwane makrokierunki. Pojęcie to wprowadzono do ustawy o szkolnictwie wyższym w 2005 roku w odpowiedzi na ogromne zainteresowanie młodych ludzi studiowaniem na dwóch kierunkach. Różnica między studentami międzywydziałowymi a makrokierunkowymi jest taka, że ci pierwsi mają swoich tutorów, a ci drudzy nie. Międzywydziałowi nie mają programu, gdyż powstaje on w wyniku rozmów z opiekunem →

Studenci mają taniej!

**10%
zniżki
na abonament**



Samsung Avila (S5230)
z ekranem dotykowym

w
abonamencie
~~45 zł~~
40,50 zł



Netbook Samsung N130
+ modem USB

w
abonamencie
blueconnect
~~99 zł~~
89 zł



STARTERY
bez umowy

Przyjdź z legitymacją studencką oraz dowodem osobistym, a otrzymasz **10% zniżki** na abonament z telefonem komórkowym lub blueconnect z netbookiem.

A jeżeli wolisz telefon na kartę, mamy dla Ciebie superofertę Tak Tak. Kup starter za 20 zł, a dostaniesz łącznie na start i po dotądowaniach aż 220 złotych. Możesz także wybrać blueconnect na kartę, aby korzystać z mobilnego Internetu, gdziekolwiek jesteś, oraz mieć dostęp do największej sieci HotSpotów.

Takie rzeczy tylko w Erze.

Zadzwoń 0 801 202 602 lub 602 900 000.
Opłata zgodna z cennikiem operatora sieci,
z której wykonywane jest połączenie.



MOŻESZ WIĘCEJ

→ w czasie studiów, a makrokierunkowcy dysponują ściśle określonym planem zajęć (tworzonym na uczelni, aprobowanym w ministerstwie), który ma łączyć wiedzę co najmniej z dwóch dziedzin i szukać wspólnego dla nich obszaru badań.

Tyle różnic. Jednak znacznie więcej studentów interdyscyplinarnych łączy, niż dzieli. Przede wszystkim chaos, w jakim muszą studiować.

Terminy zajęć, na które mamy uczęszczać, proponowane są przez poszczególne instytuty – wyjaśnia Katarzyna, studentka

cia, na które chodzą ze zwykłymi studentami filologii, mogą rejestrować się dopiero jako ostatni. – Gdy rozpoczyna się nasza rejestracja, w uczelnianym intranecie na ciekawych zajęciach nie ma już miejsc. Zostają dla nas „spady”, wykłady omijane przez innych – mówi Katarzyna.

– Zdarza się, niestety, że niektórzy wykładowcy nie chcą przyjąć studenta interdyscyplinarnego, tłumacząc, że ich studenci „mają pierwszeństwo”. Takie zasady nie ma i powoływanie się na nią przez wykładowców jest nadużyciem – dodaje profe-

Szykowana w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego nowelizacja ustawy „Prawo o szkolnictwie wyższym” zmierza do większej swobody uczelni w ustalaniu programu tradycyjnych kierunków studiów. Sztywna lista kierunków zostanie zastąpiona przez Krajowe Ramy Kwalifikacji, czyli opis kluczowych umiejętności, jakie ma uzyskać absolwent w ośmiu szerokich dziedzinach akademickich (na przykład nauk społecznych, prawnych czy matematyczno-przyrodniczych). – Na podstawie tych ram uczelnie same będą kształtować ofertę dydaktyczną, co pozwoli im poszerzyć listę studiów interdyscyplinarnych. Mówiąc obrazowo: ogólnie wskażemy nie tylko poziom wiedzy, ale też umiejętności, jakie musi posiadać absolwent w danej dziedzinie, jednak to uczelnia zdecyduje, czego i jak nauczać – mówi minister Kudrycka. – To z kolei pozwoli wyjść naprzeciw potrzebom i studentów i lepiej przygotować ich do potrzeb pracodawców.

Już w przyszłym roku akademickim prawo samodzielnego tworzenia oferty kształcenia dostaną uczelnie mające uprawnienia habilitacyjne.

Rozliczać z umiejętności

Bardziej elastyczny system studiowania może jednak spowodować, że problem braku miejsc na uczelniach i kombinowania profesorów, jak tworzyć programy, aby zachować jakąś ich interdyscyplinarność i możliwość uczestniczenia w zajęciach, może nagle wybuchnąć ze zdwojoną siłą.

Największe wyzwanie, jakie teraz czeka więc uczelnie, to umiejętna reforma finansowania kierunków oraz zmiany w systemie planowania grafików zajęć. I to takie planowanie, by uwzględniać interesy studentów całej uczelni, a nie tylko jednego kierunku czy wydziału. – Dobrym przykładem, z którego powinniśmy czerpać – tłumaczy minister Kudrycka – jest system *major i minor*, czyli główny i poboczny tok studiów, na uniwersytetach amerykańskich, gdzie główny kierunek studiów jest obierany dopiero po pierwszym lub drugim roku, a studenci mają dużą dowolność w wyborze.

Reforma studiów to gra warta świeczki. Jeśli wejdzie w życie, jest szansa, że dyplom nie będzie (jak dziś) odzwierciedleniem sumiennego „zaliczania” tradycyjnego programu. Uczelnia rozliczy nas z konkretnych umiejętności wymaganych na danym kierunku. O wartości naszego dyplomu zdecyduje to, ile sami zdołaliśmy się w czasie studiów nauczyć. No i wreszcie wyjedziemy z uczelnianego sklepu z zakupami, z których da się ugotować więcej niż jedną potrawę.

RADIO VOX FM Więcej na ten temat słuchaj w Radiu VOX FM we wtorek 3 listopada o godz. 20.00

TOLERANCJA WALDEMAR PIASECKI, NOWY JORK

Biznesmen z nagrodą

Aleksander Gudzwat laureatem nagrody Ligi Przeciwno Zniesławieniom (ADL). Prezes Barlimpeksu otrzymał ją za „wybitne osiągnięcia w promowaniu tolerancji”

WYBITNYM OSIĄGNIĘCIEM BYŁO WEDŁUG żydowskiej organizacji ADL ufundowanie w Jerozolimie Pomnika Tolerancji, który ma promować dialog palestyński-izraelski. Monument, uroczystie odsłonięty we wrześniu zeszłego roku, stoi na najwyższym wzgórzu – Armon Hanatziv – i jest widoczny z każdego miejsca miasta. To na wskroś polski wkład w ideę izraelsko-palestyńskiego pojednania: autorem dzieła jest Czesław Dźwigaj, muzykę na ceremonii odsłonięcia skomponował Zygmunt Krauze, a Lech Wałęsa stanął na czele Jerozolimskiego Ruchu Pokoju – organizacji powołanej w związku z budową Pomnika Tolerancji.

Niezwykłe cenię sobie to, że moja działalność w obszarze budowania dialogu i tolerancji międzynarodowej na Bliskim Wschodzie, w targanej konfliktami Ziemi Świętej i Izraelu – powszechnie



marginalizowana w polskich mediach – znajduje uznanie w świecie. Tego braku obecności nie przeżywam, ale go odnotowuję jako szkiełko do ogólnego pejzażu tego, co się w Polsce dzieje – powiedział „Przekroju” Aleksander Gudzwat.

Wręczenie nagrody odbyło się w nowojorskim hotelu Grand Hyatt, a w uroczystości wziął udział między innymi sekretarz generalny ONZ Ban Ki-mun, który osobiście pogratulował nagrody polskiemu biznesmenowi.

Liga Przeciwno Zniesławieniom została założona w 1913 roku. Wśród laureatów corocznie przyznawanej przez nią nagrody znalazły się tak znane osobistości, jak: Albert Einstein, John F. Kennedy, Ronald Reagan, Ariel Szaron, Jacques Chirac czy Oprah Winfrey. Dwukrotnie nagrodę odbierali Polacy: Jan Karski za doniesienia o nazistowskich obozach zagłady i Aleksander Kwaśniewski za odwagę w zwalczaniu antysemityzmu. Laureatem nagrody ADL jest też mający polskie korzenie amerykański kardynał Adam Maida, który został wyróżniony za budowanie dialogu judeo-chrześcijańskiego.

Głównym celem ADL jest walka z przejawami antysemityzmu, nietolerancji i terroryzmu. Dlatego zawsze potępiała takie organizacje jak Ku-Klux-Klan czy takich ludzi jak ojciec Charles Coughlin, piewca Hitlera.

Oprócz licznych zwolenników Liga ma także krytyków, którzy uważają, że ADL idzie na zbyt daleko, czasem wykazując przewrażliwienie w śledzeniu przejawów antysemityzmu, także wtedy, gdy krytyce podlega polityka państwa Izrael. Niewątpliwie jednak jest to jedna z liczących się na świecie organizacji.



makrokierunku kulturoznawczo-filologicznego na UW, gdzie student może studiować języki trzech wybranych obszarów kulturowych (do wyboru ma na przykład anglistykę, romanistykę, iberystkę, germanistykę). – Bywa więc, że zajęcia z anglistyki odbywają się w tym samym czasie co zajęcia z romanistyką. Student, który wybrał oba języki i chciałby we wszystkich zajęciach uczestniczyć, musiałby się rozdzielić – ironizuje.

Walka o miejsce i kasę

Poza tym studenci żalą się, że zamiast – jak obiecywano – dostać więcej, otrzymują mniej. Na przykład anglistyka ma w programie dwa semestry językoznawstwa, a oni tylko jeden. Trzeciego języka miało być 16 godzin, są tylko 4. – Zredukowaliśmy w programie przedmioty językoznawcze, ale w zamian studenci makrokierunku mają specjalnie dla nich prowadzone zajęcia kulturoznawcze, na przykład angielską historię sztuki – tłumaczy kierownik kulturoznawczo-filologicznych studiów profesor Małgorzata Grzegorzewska.

– Program studiów to trzy filologie, a do tego wiedza o kulturze. Pomysł super, ale wykonanie już nie – komentują studenci. Co gorsza, makrokierunkowcy na zaję-

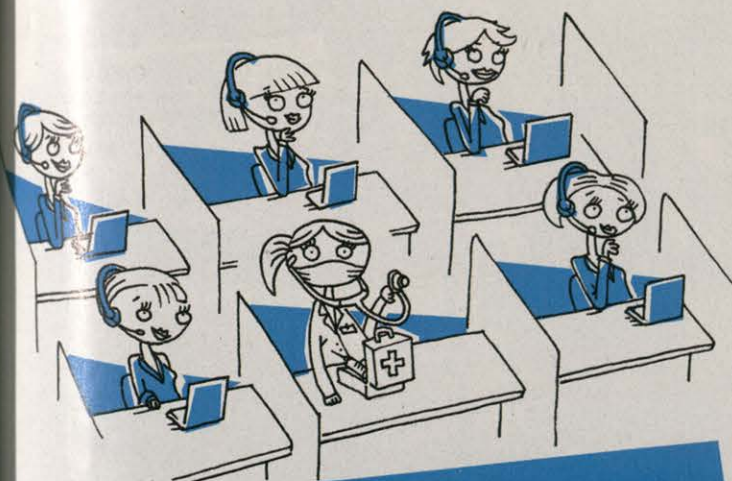
sor Andrzej Twardowski, opiekun MISMaP na Uniwersytecie Warszawskim.

Problem jednak tkwi głębiej. Chodzi o finansowanie.

Wydziały tworzące kolegia MISMaP, MISH czy makrokierunki dogadują się, że wspólnie będą je finansować. Zwykle po równo. Studenci jednak na zajęcia chodzą zgodnie ze swoimi zainteresowaniami, bywa więc, że na jednym wydziale jest więcej międzywydziałowców, na innym mniej. Te różnice w wydatkach trudno zliczyć, więc najlepiej – gdy pieniędzy brakuje – wydać profesorom cichy nakaz: międzywydziałowców ograniczajcie.

Kolegia międzywydziałowe mają dodatkowy problem z minimami programowymi. Aby ukończyć studia magisterką, trzeba ją zrobić na konkretnym istniejącym kierunku, na przykład biologii. W tym celu trzeba zaliczyć minimum programowe dla kierunku, które na MISMaP odpowiada dziś 80 procentom programu, jaki zalicza normalny student biologii. – Ale przecież student MISMaP, który otrzymuje tytuł magistra na przykład informatyki, musi mieć kwalifikacje porównywalne z normalnym absolwentem tego kierunku – tłumaczy profesor Twardowski.

WYMAGANIA: UMIEJĘTNOŚĆ SŁUCHANIA LUDZI



LEPIEJ OD RAZU TRAFIĆ
W DOBRE MIEJSCE

Wykorzystaj potencjał GRUPY ALLEGRO.
10 milionów Użytkowników
10 milionów potencjalnych kandydatów

otoPraca.pl

serwis ogłoszeniowy Grupy Allegro



allegrogroup



BRAZYLIA ALEKSANDRA SZYMCZAK

RIO DE JANEIRO DOSTAŁO IGRZYSKA, BO MIASTO OBIECAŁO, ŻE COŚ ZROBI ZE SLUMSAMI. NA RAZIE WYGLĄDA NA TO, ŻE PRĘDZEJ SLUMSY ZROBIĄ COŚ Z MIASTEM

Czarnoskóry Jorge Costa mieszka w Morro dos Macacos (Wzgórze Małe), jednej z wielu dzielnic biedy (faweli) w Rio. Do domu nie lubi wracać za wcześnie. Stara ruina sypie się z każdej strony. Nie ma wody. Prąd bywa, ale rzadko, bo sieć jest przeciążona. Lokalne MPO znowu od kilku dni zapomina przyjechać, więc góra śmieci pod wzgórzem leży i cuchnie. Do koszy dobierają się szczury. Jorge zamiast w domu przesiaduje więc z kolegami w barze. Skończył zaledwie kilka klas szkoły podstawowej. Gdy miał 12 lat, jego ojciec zginął od złakanej kuli. Musiał pomóc matce, zajął się handlem. Sprzedaje fasolę w lokalnym warzywniaku. Nigdy nie brał narkotyków. Nie miał broni w rękę. Płaci regularnie podatki. Z gangami ma do czynienia raz w miesiącu – gdy płaci haracz.

Według rządu Jorge praktycznie nie istnieje. Podobnie jak dwa miliony pozostałych *favelados*, ludzi żyjących w ekstremalnie trudnych warunkach, bez szczególnej nadziei na przyszłość, w wiecznym zagrożeniu ze strony gangów i policji. Przygotowując multimedialną prezentację przyszłego olimpijskiego miasta, władze „zapomniały” o jednej trzeciej mieszkańców Rio – w miejscu obecnych faweli umieściły lasy i nowoczesne obiekty sportowe. Następnym krokiem ma być oczyszczanie miasta. Może się to odbywać co najmniej na dwa sposoby.

Fawele w Rio de Janeiro to miejsce regularnych walk między gangami narkotykowymi a policją. Na zdjęciu: Dzień jak co dzień, czyli policyjny nalot w Rocinhi, największym slumsie w mieście

Pierwszy to „deweloperka podjazdowa”. W latach 90. miasto wydało oficjalne plany, na których fawele funkcjonowały jako niezagospodarowane tereny gotowe pod nowe inwestycje. Dzięki temu buldożery będą mogły w każdej chwili zmieść slumsy z powierzchni ziemi, zmuszając ludzi do ucieczki na obrzeża miasta. Przeprowadzka na przedmieścia to niemal jak wyrok – życie tam jest nieporównywalnie trudniejsze od życia w faweli w centrum miasta. To drugie daje bowiem możliwość pracy u bogatych sąsiadów jako pokojówka, opiekunka do dzieci, ogrodnik czy szofer. Dodatkowo szkolnictwo w Rio jest zrejonizowane. A w biednych dzielnicach →

Miasto olimpijskiego pokoju

→ jest na bardzo niskim poziomie lub szkoły są za daleko, by móc się do nich dostać. Zatrudnieni u bogatych *cariocas* (mieszkańców Rio) *favelados* mogą ich prosić, aby ci poświadczali, że ich dzieci są zameldowane pod adresem pracodawców. Dla tych dzieciaków to jedyna szansa na uczęszczanie do dobrej szkoły i zmianę swojej sytuacji życiowej. Przeniesionych na przedmieścia mieszkańców faweli często nie stać na opłacenie biletów komunikacji miejskiej. Nie są w stanie dojechać do pracy w centrum. A na przedmieściach jej nie ma. Dzieci tracą szansę na wykształcenie. Poczucie bezradności przytłacza je i tym łatwiej wpadają w środowiska przestępcze. Koło się zamyka.

Drugi sposób na „oczyszczenie” Rio de Janeiro i zapewnienie bezpieczeństwa uczestnikom igrzysk to bezpośrednia walka zbrojna z fawelami. W głośnym filmie Fernando Meirellesa „Miasto Boga” jeden z policjantów, zastanawiając się nad odebraniem na własny użytek łupów gangu, mówi: „Od kiedy łupienie czarnych i złodziej jest przestępstwem?”. Dla skorumpowanej policji każdy *favelado* jest przestępcą. W slumsach nikt nie oddaje strażu ostrzegawczego. Jeśli jesteś czarny i mieszkasz w faweli, to wystarczy, żebyś zarobił kulę. Nikomu nie trzeba się będzie z tego tłumaczyć. W mediach podają informacje, że to rutynowe walki między gangami narkotykowymi.

Na początku października prezydent Brazylii Luiz Inácio Lula da Silva obiecał, że igrzyska w Rio będą bezpieczne. Dwa tygodnie później w Morro dos Macacos spadł policyjny helikopter. Handlarze narkotyków zestrzelili go w pobliżu miejsca, gdzie podczas olimpiady odbędą się konkurencje lekkoatletyczne.

Dwa z trzech najpotężniejszych w Rio gangów narkotykowych rozpoczęły ze sobą walkę o wpływy. Comandante Vermelho (pamiętacie, jak pod koniec filmu „Miasto Boga” banda bezwzględnych małolátów robi sito z Małego Zé? To właśnie był początek CV – Czerwonego Komanda) wtargnęło na terytorium innej frakcji – Amigos dos Amigos (ADA – Przyjaciele Przyjaciół). Policja musiała interweniować. Bilans? Zestrzelony helikopter (pierwszy taki przypadek w historii walk ulicznych w mieście), śmierć trzech policjantów i czterdziestu domniemych gangsterów, bliżej nieokreślona liczba rannych, szkoła i osiem autobusów puszczane z dymem. Ludzie byli przerażeni, matki z małymi dziećmi uciekały w popłochu. Chłopak, który mieszka w Morro dos Macacos od 15 lat, powiedział reporterowi „O Globo”, największego brazylijskiego portalu informacyjnego: „Nigdy w życiu nie widziałem tylu kul naraz”.

Douglas Engle, amerykański fotoreporter i współtwórca filmu dokumentalnego o fawelach „Dancing with the Devil”, od 11 lat w Rio, powiedział „Przekroju”, że ta sytuacja to nic nadzwyczajnego. – Jedyne, co odróżnia ostatnie wydarzenia od normy – mówi – to to, że spadł policyjny helikopter, a Rio będzie gospodarzem olimpiady. Cała reszta: zabici, podpalone au-

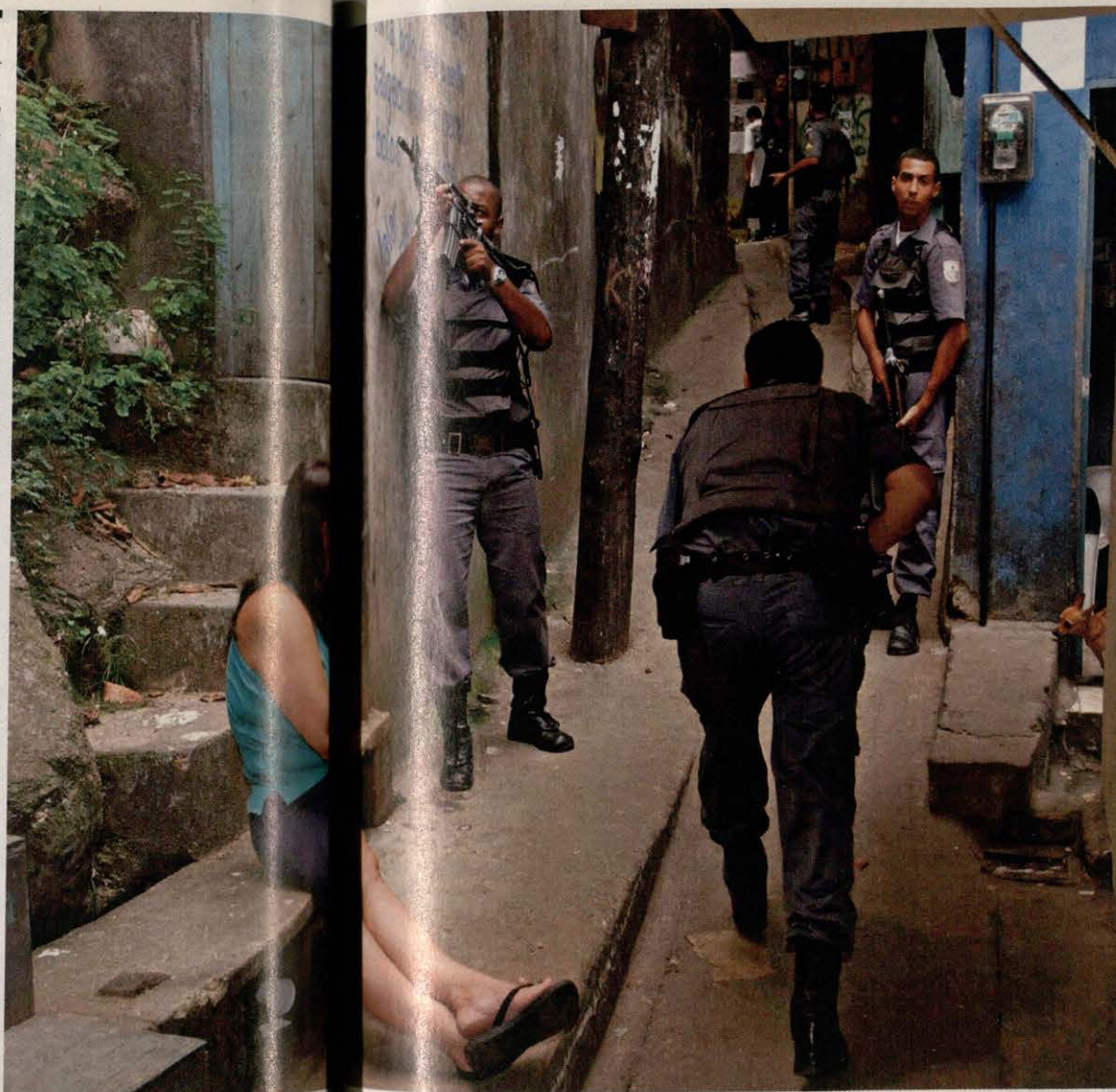
tobusy i ogólny chaos, są tu na porządku dziennym.

Hiszpański „El País” donosił: „Jak to zwykle bywa w takich sytuacjach, najbardziej cierpią sąsiedzi fawel”. Zabrzmiło to cokolwiek kolonialnie. To przecież mieszkańcy fawel stają się przypadkowymi ofiarami strzelanin w slumsach, a ludzie z pobliskich osiedli ryzykują wyłącznie utratę spokoju. Brytyjski „The Guardian” koncentrował się natomiast głównie na kwestii bezpieczeństwa tysięcy turystów, którzy przyjadą do Rio na olimpiadę za siedem lat! Jeden z przerażonych internautów napisał na forum pod artykułem o wydarzeniach z 17 października: „Najadą na Morro dos Macacos i oczyszczą je ze wszystkich!”.

Takie oczyszczenie nie byłoby niczym nowym. Gdy w 1997 roku Rio miał odwiedzić papież Jan Paweł II, chciał mieszkać w pobliżu jednej z fawel, aby być bliżej ludzi, którzy go potrzebowali. Gdyby wiedział, w jaki sposób specjalny oddział operacyjny policji (BOPE) zapewni mu bezpieczeństwo, z pewnością nigdy by tego nie zrobił. Każdy *favelado* stanowił potencjalne zagrożenie. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że nikt nie był pewny jutra. Według raportu Amnesty International z 2006 roku 94 procent Brazylijczyków obawia się utraty zdrowia lub życia w wyniku strzelaniny. Różnica polega tylko na tym, że jedni boją się przestępców, a inni policji.

Engle wciąż jednak wierzy, że miasto poradzi sobie w 2016 roku. – Wszyscy *cariocas*, także mieszkańcy fawel, są niepoprawnymi optymi-

Policja w Rio jest często oskarżana o to, że najpierw strzela, a potem pyta. Według Amnesty International korupcja wśród funkcjonariuszy jest nagminna



Ciała zamordowanych w fawelach są wywożone w wózkach sklepowych (po lewej). Zdjęcie po prawej: Protest Brazylijczyków, którzy mają dość przemocy w Rio de Janeiro

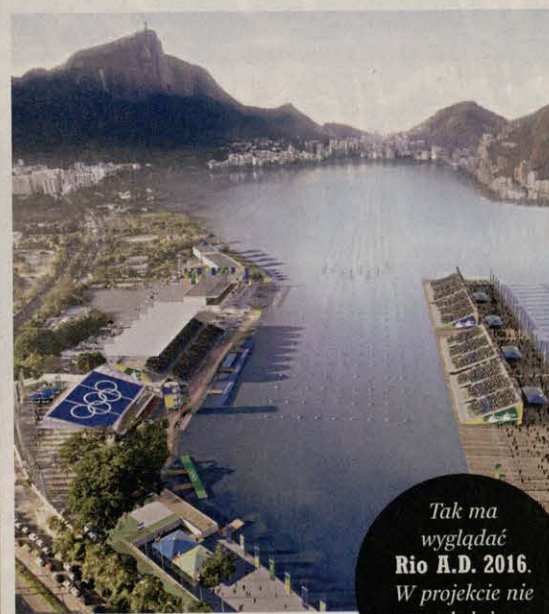


stami – mówi. – W tym, co inni nazwaliby sytuacją bez wyjścia, oni zawsze znajdują promyk nadziei. Liczą na to, że prawdziwe i długotrwałe zmiany na lepsze, które miały nastąpić już przy okazji Igrzysk Panamerykańskich w 2007 roku, nastąpią teraz.

W dniu ogłoszenia Rio gospodarzem olimpiady w 2016 roku Brazylijczycy wariowali ze szczęścia. Dwa tygodnie później entuzjazm opadł wraz z policyjnym helikopterem. Być może to faktycznie tylko wina gangów. Być może zbieg okoliczności, iż walki nasiliły się chwilę po zapewnieniu, że będzie bezpiecznie. Bezpiecznie, tylko dla kogo? W Morro dos Macacos była Policja Cywilna, Policja Wojskowa oraz najbardziej bezwzględne BOPE. 4500 uzbrojonych funkcjonariuszy. Wszystkie jednostki policji z całego pobliskiego regionu Baixada Fluminense czekały na sygnał, aby w każdej chwili wejść do Morro. W stanie gotowości postawiono również Narodowe Siły Zbrojne. Dowódca Policji Wojskowej Mario Sérgio Duarte powiedział, że handlarze narkotyków „będą ofiarami swo-

jego własnego wyboru”. Ale czy tylko oni? Prawie wszystkie dzienniki podają, że z około 40 ofiar śmiertelnych tych wydarzeń trzy to byli policjanci, a pozostali to przestępcy. Dlaczego tylko jedna gazeta podała informację fotografa Agencji Reutera, który widział w faweli trzy ciała? Mieszkańcy powiedzieli mu, że ci trzej nie byli handlarzami narkotyków, tylko dostali się w ogień krzyżowy. Jak zwykle ktoś znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

Z nieoficjalnych danych wynika, że w Rio popełnia się sześć tysięcy morderstw rocznie. Jeśli to prawda i jeśli nie się nie zmieni, to do 2016 roku w fawelach zginie około 40 tysięcy ludzi. I to nie tylko z rąk gangsterów. Policja w Rio jest bezkarna, a dokonywane przez nią morderstwa bądź nie są nigdzie odnotowywane, bądź są usprawiedliwiane w raportach prostym określeniem „śmierć w następstwie oporu”. Jak powiedział kiedyś sekretarz stanowy do spraw bezpieczeństwa publicznego w Rio de Janeiro Marcelo Itagiba: „Jeśli policja pracuje więcej, zabija więcej”.



Tak ma wyglądać Rio A.D. 2016. W projekcie nie uwzględniono fawel

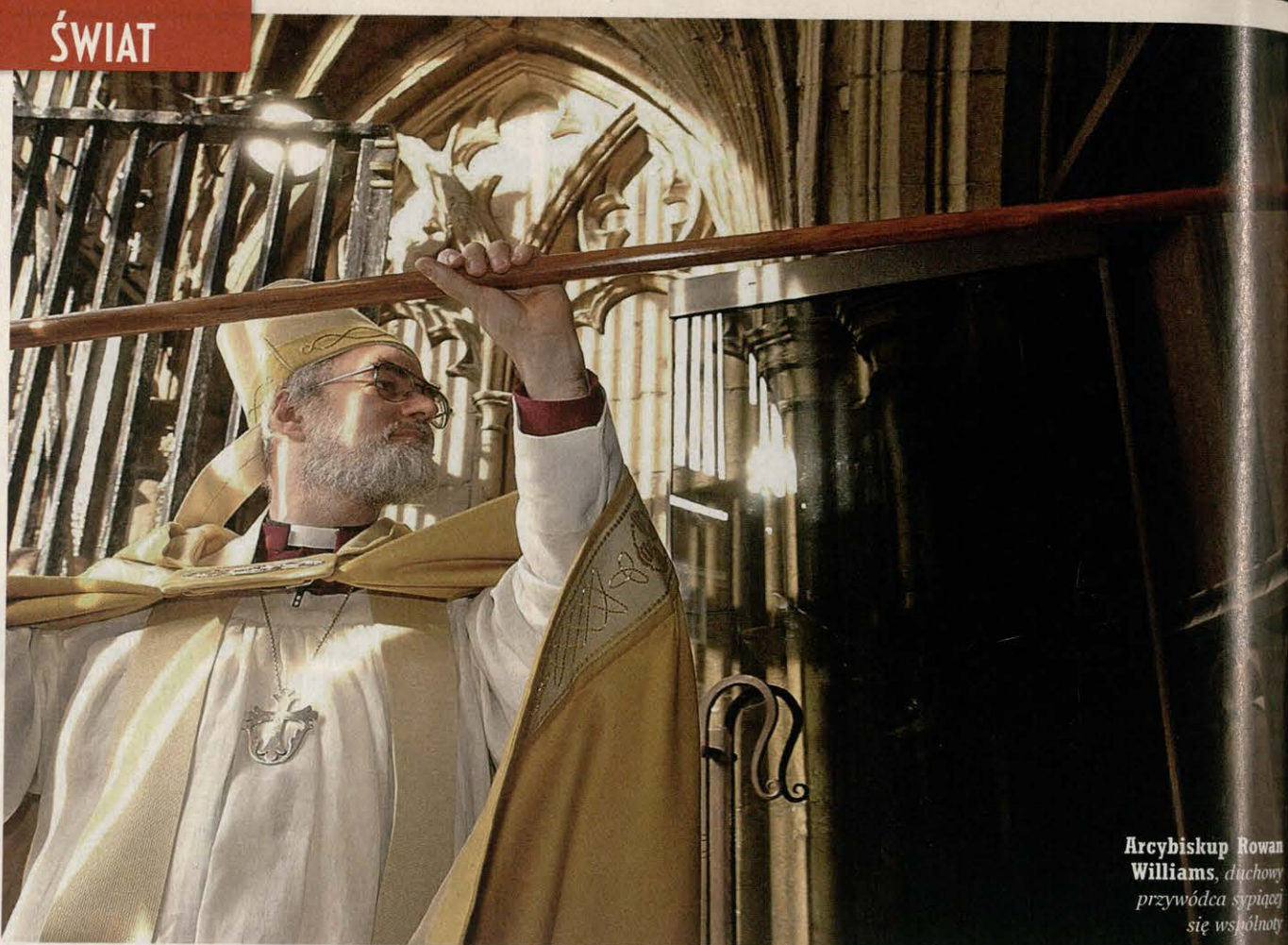


Co musi zrobić Rio, żeby było pięknie

PRZYGOTOWANIA WCIAŻ W LESIE

2 PAŹDZIERNIKA tego roku Rio de Janeiro zostało wybrane przez MKOl na gospodarza igrzysk olimpijskich w 2016 roku. Rio zadeklarowało 14 miliardów dolarów na organizację tego wydarzenia. Była to najwyższa kwota ze wszystkich konkurujących miast, ale też Rio ma z nich najwięcej do zrobienia (a nie zawsze wywiązuje się z obietnic). W ciągu najbliższych pięciu lat miasto musi: – wybudować niezbędne obiekty sportowe (basen olimpijski, centrum szkolenia olimpijskiego

i centrum sportów ekstremalnych), – zbudować wioskę olimpijską, – poddać gruntownej renowacji niektóre stadiony (w tym słynną Maracanę), – uruchomić dwie linie metra (jedna z nich miała być ukończona jeszcze przed Igrzyskami Panamerykańskimi dwa lata temu), – oczyścić zatokę Guanabara, aby przystosować ją do zawodów żeglarskich (co ma kosztować 4 miliardy dolarów i co również miało być zrobione dwa lata temu).



Arcybiskup Rowan Williams, duchowy przywódca spijający się wspólnoty

EKUMENIZM RAFAŁ KOSTRZYŃSKI

Szatański plan Watykanu

Kościół katolicki ogłosił gotowość przejęcia anglikanów niezadowolonych ze swojej wspólnoty. Weźmie hurtowo – nie tylko świeckich, ale i duchownych, a nawet całe diecezje. Już dawno jedna religia nie wyrządziła drugiej tyle zła

Dziwnie to wyglądało. O nowym pomysle Stolicy Apostolskiej dziennikarze dowiedzieli się na dwóch zorganizowanych równocześnie konferencjach prasowych – w Watykanie i Londynie. Były to konferencje skromne i zapowiedziane od niechcienia. Zupełnie jakby chodziło o rutynowy komunikat.

A przecież komunikat był sensacyjny: mocą papieskiego dekretu zostanie utworzona instytucja, dzięki której każdy anglikanin rozczarowany nadmierną postępowością swojego Kościoła będzie mógł przejść pod skrzydła Watykanu. I nie chodzi bynajmniej o to, że jeśli ktoś zapragnie, będzie mógł zostać katolikiem (takie konwersje to przecież codzienność). Propozycja ma charakter systemowy. Anglikanin będzie pełnoprawnym członkiem społeczności rzymskokatolickiej, nie tracąc swojej religijnej odrębności. Bardzo

zróżnicowana, dzięki której każdy anglikanin rozczarowany nadmierną postępowością swojego Kościoła będzie mógł przejść pod skrzydła Watykanu. I nie chodzi bynajmniej o to, że jeśli ktoś zapragnie, będzie mógł zostać katolikiem (takie konwersje to przecież codzienność). Propozycja ma charakter systemowy. Anglikanin będzie pełnoprawnym członkiem społeczności rzymskokatolickiej, nie tracąc swojej religijnej odrębności. Bardzo

to ogólne, rodzi mnóstwo pytań (o czym za chwilę), ale i tak pachnie sensacją. I nie jest to wcale ładny zapach.

Wrocie przejęcie

Oba Kościoły od 40 lat próbują znaleźć jakiś rozsądny sposób na połączenie swoich struktur. Nie jest łatwo. Anglikanie nie mają faktycznego przywódcy, a na domiar złego podziały w ich Kościołach wywołane święceniami kapłańskimi dla kobiet i gejów ulegają dalszemu pogłębieniu. Nic dziwnego, że dialog ekumeniczny drepcze w miejscu. Watykan, który w tych rozmowach rozdawał karty, właśnie jednostronnie zdecydował, że ma już dość – choć oficjalnie wciąż mówi o kontynuacji. „Papieska konstytucja apostolska [wspomniany dekret – przyp. red.] postrzegana jest jako wyraźny krok na drodze ekumenicznego dialogu – triumfowało Radio Watykańskie. – Tym bardziej znaczący, że podjęty w kontakcie z anglikańskim arcybiskupem Rowanem Williamsem”.

W tym krótkim komunikacie radio minęło się z prawdą co najmniej trzykrotnie. Nie było żadnego „wyraźnego kroku”, bo anglikańscy uczestnicy dialogu ekumenicznego nigdy nie żądali od Watykanu utworzenia specjalnej listy dla dezertorów. Nawet jeśli był „krok”, to nie „na drodze ekumenicznego dialogu”, bo listę utworzyła Kongregacja Nauki Wiary, a nie zajmująca się dialogiem z innymi chrześcijańskimi religiami Papieska Rada do spraw Popierania Jedności Chrześcijan. Wreszcie: nawet jeśli był „krok” i „na drodze ekumenicznego dialogu”, to nie w „kontakcie z anglikańskim arcybiskupem”. Nie był

o żadnego kontaktu. Watykan ograniczył się wyłącznie do poinformowania Williamsa o podjętej decyzji. Jeszcze do niedawna mówiło się, że przywódców obu Kościołów łączy przyjaźń, która wzięła się z zamilowania obu do teologii. Jeśli tak, to arcybiskup ma pełne prawo czuć się wystawiony do wiatru, bo Benedykt XVI niczego z nim nie konsultował. Nie zapytał nawet o zdanie, choć miał na to mnóstwo czasu, bo Kongregacja Nauki Wiary przygotowywała się do przejęcia anglikanów od 2006 roku. Zachował się niekoleżeńsko. Ktoś może powiedzieć, że to śmieszny argument, bo gdy chodzi o tak ważne rzeczy jak „światowa religia”, liczy się tylko zasada „dziel i rządź”. Problem w tym, że nie wystarczy być złym kolegą, żeby dobrze dzielić i rządzić. Wiele wskazuje na to, że wybierając właśnie tak kontrowersyjny sposób pozyskiwania anglikańskich wiernych, papież spowodował kłopoty i na Watykan, i na Canterbury.

Anglikanizm to kpina?

Papieska oferta nie została rzucona na oślep, lecz ma konkretnych adresatów. Są nimi konserwatywni anglikanie. Zawsze uważali się za „katolików” (wierzą w uniwersalny Kościół, ale niekoniecznie pod zwierzchnictwem Watykanu) i sprzeciwiali się odchodzeniu anglikanizmu od tradycji. To oni najgłośniej protestowali przeciwko święceniom kapłańskim dla kobiet i gejów. W ostatnich latach uznali, że trudno im się odnaleźć we wspólnocie, w której prym wiodą progresywne Kościoły episkopalne w USA i Kanadzie. No i niektórzy z nich na własną rękę zaczęli szukać możliwości grupowego przejścia pod papieskie skrzydła.



Watykan, listopad 2006 roku. **Arcybiskup Williams i Benedykt XVI** kwitują „poważne przeszkody” na drodze do połączenia ich Kościołów

Jedną z takich konserwatywnych organizacji w ramach Wspólnoty Anglikańskiej jest Forward in Faith (FiF – Naprzód w Wierze). To tam oferta Watykanu została przyjęta najcieplej. – Anglikański eksperyment dobiegł końca – obwieścił przewodniczący FiF, biskup John Broadhurst. – Anglikanizm okazał się kpina, bo nie umiał poradzić sobie ze swoimi problemami.

– Cóż, jeden biskup, gdy traci wiarę w swój Kościół, zrzuca sukienkę i wraca do cywila – mówi anonimowo „Przekroju” jeden z brytyjskich dziennikarzy, który od lat śledzi katolicko-anglikański dialog ekumeniczny. – Inny po cichu wybiera islam, buddyzm czy cokolwiek. Broadhurst natomiast, ten szczywany lis, wdał się w tajne rozmowy z Watykanem i postanowił przenieść do niego z hukiem całą organizację. Ludzie są różni.

Biskup Broadhurst liczy na to, że z możliwości „transferu” skorzysta około 1000 duchownych. Inny tradycjonalista David Houlding spodziewa się 1500. Niektórzy przewidują, że od Kościoła Anglii oderwą się całe parafie, a nawet diecezje. Prefekt Kongregacji Nauki Wiary kardynał William Levada twierdzi, że papież rozmawia z „20–30 biskupami”.

Na razie jednak odzew (przynajmniej ten oficjalny) jest mizerny. W Ameryce oferta przeszła zupełnie bez echa. Żaden z tamtejszych biskupów anglikańskich nie zadeklarował przejścia do obozu katolików. Ofertą Benedykta XVI nie zainteresował się nawet lider ultrakonserwatywnej społeczności anglikańskiej w Afryce arcybiskup Peter Akinola. Podobnie zachował się biskup Donald Harvey, który kiedyś w proteście przeciwko święceniom kapłańskim dla gejów porzucił Anglikański Kościół Kanady i który uważa się za chrześcijańskiego katolika. – Po zapoznaniu się z propozycją Watykanu mam więcej pytań niż odpowiedzi – tłumaczył.

Dylematy i dogmaty

Już samo zadanie tych pytań może być ambarasujące dla anglikanina, który rozważa przejście do Kościoła katolickiego przy zachowaniu „swojej anglikańskiej tożsamości”.

Czy biskupi anglikańscy będą musieli być ponownie konsekrowani? Teoretycznie tak, bo Kościół katolicki innych święceń nie uznaje, więc taki duchowny będzie musiał dostać nowy atest, mając świadomość, że wszystko, co robił do tej pory, nie miało nic wspólnego ze służbą Bogu.

Czy konieczne będzie przyjęcie dziwnych dla Kościoła Anglii dogmatów o nieomyślności papieża, o przystożeniu chleba i wina w ciało i krew Chrystusa oraz o niepokalanym poczęciu? Bo jeśli nie, to Kościół katolicki będzie miał u siebie rzesze schizmatyków.

Czy anglikańscy kapłani (którzy przeważnie są żonaci) będą mieli taki sam status jak księża katolicy i czy będą mogli wypełniać swoją posługę w katolickich parafiach?

Czy wierni będą korzystać podczas mszy z modlitewnika powszechnego? I czy będą mogli śpiewać swoje hymny?

Na razie nie ma jednoznacznych odpowiedzi na te pytania. Watykan ogłosił swoje przełomowe plany, nie wiedząc jeszcze, jak je będzie realizował. – Nie muszę być rzymskim katolikiem, by być chrześcijańskim katolikiem – podsumował Harvey. – Jako anglikanin też nim jestem.

Ksiądz Robert Campbell, proboszcz niewielkiej społeczności anglikańskiej w Polsce, też nie będzie zmieniać barw. – Staram się być lojalny. Choć jestem tradycjonalistą i nie podoba mi się liberalizacja w Kościele Anglii, nie zamierzam przechodzić do Kościoła rzymskokatolickiego.

Niewybaczalne

Jeśli jednak spełnią się prognozy kardynała Levady i duchownych z Forward in Faith, Wspólnotę Anglikańską zdominuje postępowy nurt protestancki. Zacznie ona wtedy przypominać liberalne amerykańskie Kościoły episkopalne. Jedności w niej będzie więcej niż dziś, ale nie będzie zainteresowanych kontynuacją dialogu ekumenicznego z Watykanem. Ci staną się częścią Kościoła rzymskokatolickiego, tworząc w nim osobny odłam. I to bynajmniej nie konserwatywny. Żonaci księża na pewno staną się pretekstem do wszczęcia z nową siłą dyskusji o końcu celibatu i o stosowaniu antykoncepcji. Ten papież takich tematów nie podejmie. Wygląda na to, że jedynym skutkiem watykańskiego gestu będzie osłabienie dwóch wyznań jednocześnie.

Arcybiskup Rowan Williams nie odważył się skrytykować oferty Watykanu, choć nie wypowiada się o niej ciepło. Ale już jego poprzednik nie przebiegał w słowach. – To niewybaczalne, że katolicy nie powiedzieli arcybiskupowi o swoich planach – grzmiał baron George Carey. – A on powinien był wyrazić swoje niezadowolenie.

Papieża skrytykowała również Wspólnota Anglikanów Wyznających, oświadczając, że konserwatywny odłam miał od nich pełne wsparcie i interwencja Watykanu była niepotrzebna.

– Mam wrażenie, że ktoś nas chciał uszczęśliwić na siłę – mówi „Przekroju” po dyplomatycznym namyśle anglikański biskup z Kanady Martyn Minns. – Watykan wykorzystał fakt, że nasza Wspólnota jest głęboko podzielona. Zdarza się.

Watykan zaprzecza, by cokolwiek „wykorzystywał”. Kardynał Walter Kasper (dla którego papieska decyzja pewnie nie była łatwa do przełknięcia) zapewniał, że pełna jedność z anglikanami jest nadal „dalekosiężnym celem” Kościoła katolickiego.

Dalekosiężnym? Biskup Michael Nazir-Ali, konserwatysta:

– Ekumeniczny dialog trafił szlag. Nie ma już nadziei na jedność. □



SPRZEDAM KAMIENICE I KUPIĘ ULICĘ

Rozmowa odbyła się 28 października 2009 roku w Warszawie

Jesteśmy niedoskonalimi
– mówi lider Stronnictwa
Demokratycznego **Paweł
Piskorski**. Ale obiecuje, że
mimo miażdżącej przewagi
PO i PiS nie ucieknie do lasu

Jak byłem hazardziście, który zręby swojego majątku wygrał – jak sam twierdzi, w co nie wszyscy wierzą – w kasynie, podoba się atak premiera na hazard?
– Nigdy nie byłem w hazard wciągnięty tak, żebym nie mógł się od gry odzwyczaić. Ze strony Tuska jest to zagrożenie populistyczne, ucieczka do przodu, w związku ze skrajaniem jego kolegów z tą dziedzina gospodarki. Merytorycznie to krok spektakularny, trafiony w moment, z dobrym wyczuciem nastroju społecznego, ale – jak to u Tuska – pusty i nieskuteczny.

Słaba odpowiedź, słaba... Z taką nie stanie pan na czele ruchu hazardzistów walczących o prawo do dostępu do wiodoloterii, jednoręki bandytów.

– Może dlatego, że nie chcę stanąć na jego czele?

Ale czy słusznie pan nie chce? W Stronnictwie Demokratycznym pana rola już się chyba kończy, a tam...

Jako jedyny znany publicznie „wygrany” hazardzista mógłby pan stanąć na czele naprawdy wielkiego ruchu! Nie – jak teraz – starych działaczy, którzy chcą pomieszkować i wynajmować lokaliki w „swoich” kamienicach, tylko ludzi, którzy codziennie są gotowi za ryzykować równowartość kostki masła albo i więcej...

– Nie stoję na czele grupy staruszków, którzy chcą – tak jak pan to określił – żyć z wynajmu lokali. To mi się ab-

solutnie nie podoba i takiego SD nie akceptuję.

I odwrotnie, pan też przestał się podobać części działaczy SD. Kilka dni temu zbuntowali się, kwestionują pańską władzę i już nie chcą sprzedawać nieruchomości Stronnictwa i za te pieniądze startować w wyborach.

– To prawda, że za chwilę bylibyśmy gotowi ze sprzedażą obiektów, tak żeby spełnić wymagania Państwowej Komisji Wyborczej i móc startować w wyborach. Większość ludzi, którzy w tym nieudanym puczu uczestniczyli, od lat utrzymywali się ze Stronnictwa.

Wiem, czytałem... Ale w ten sposób dobrze opłacany dozorca „zamknął pana w komórce”. Teraz nikt od pana nie kupi tych kamienic, bojąc się wieloletnich procesów z jakąś radą naczelną, zarządem głównym SD...

– Nie chcę uczestniczyć w takim żenującym spektaklu przepychania się. Więc powiem tylko: jestem całkowicie w prawie, władze SD są stabilne, a wszystkie upoważnienia dla nich ważne. Pucz się nie udał, bo obradował bez quorum.

Cieszy, że są ludzie mający taką niezachwianą, niemal zwierzęcą pewność.

A jeśli interes się nie uda, bo któremu potencjalnemu nowemu właścicielowi będzie się chciało użerać w sądach ze zbuntowanymi działaczami?

– Z punktu widzenia nabywającego liczy się stan prawny, a stan prawny jest taki,

że my mamy pełen tytuł do reprezentowania Stronnictwa.

Stan prawny tak, ale ważniejszy jest stan umysłu sprzedającego, a potencjalny nabywca widzi pana Piskorskiego, który na gwałt chce sprzedać w imieniu SD te nieruchomości, i równocześnie wokół Piskorskiego pucz w tej sprawie. Więc mówi sobie: poczekam, ten Piskorski musi to zrobić, jak tego nie zrobi, to wszystko mu się rozpadnie w rękach, poczekam miesiąc, dwa, zejdzie z ceny.

– Absolutnie nie.

O! Czyżby Katarzycy chcieli przejąć nieruchomości?

– Nie, w odróżnieniu od rządu, ja nie jestem pod ścianą. Co ja muszę zrobić, żeby uporządkować sprawy formalne SD? Do końca tego roku sprzedać majątek, na którym jest prowadzona działalność gospodarcza, bo tego wymaga prawo. I to nie jest „pod ścianą”? Zostały panu dwa miesiące.

– To nie jest pod ścianą, ponieważ ten majątek może być sprzedany albo inwestorom prywatnym, albo fundacji, której założycielem jest Stronnictwo Demokratyczne, która następnie ten majątek sprzeda. Więc jeśli ktokolwiek chce nas postawić pod ścianą, licząc z jednej strony, że będę z nim negocjował – mówię tu o zbuntowanych działaczach – a z drugiej, że będę „schodził z ceny” – mówię o potencjalnych kupcach – to wykazuje się naiwnością.





→ Uśmiechałem się, kiedy pan mówił, że nie jest pod ścianą, że przecież niekoniecznie trzeba sprzedać inwestorowi, można „sprzedać” fundacji... I nie odpowiedział mi pan uśmiechem, a powinien pan.

– Odpowiadam panu teraz uśmiechem sympatii. Porzućmy sympatię i uśmiechnijmy się już razem nad naiwnością tych działaczy SD, którzy myślą, że pana powstrzymają przed tą sprzedażą.

– Bez uśmiechu powiem: skończył się czas, gdy działacze SD brali pensyjki z nieruchomości, pracowali w Stronnictwie, dostawali wielkie pieniądze i nikt się ich nie czepiał. A dlaczego właściwie ma się dla nich skończyć?

– Bo przyszedł Piskorski.

Oni całym swoim życiem na ten czas „zapracowali”!

– Nie mogą się czuć zaskoczeni, ponieważ kandydując na szefa SD w lutym i rozmawiając z nimi przedtem, postawiłem dwa warunki.



Ale oni zadzwonili, przyszli, jak to było?

– Zadzwonili i przyszli.

I co powiedzieli?

– Żebym się zastanowił, czy mógłbym zostać szefem Stronnictwa i wydobyć go z kompletnego niebytu.

W jaki byt chcieli go wepchnąć?

– Do polityki. SD było przez ostatnie 19 lat partią tylko z nazwy. Czy ktokolwiek słyszał o jego politycznej działalności przed moim pojawieniem się? Wtedy postawiłem dwa warunki. Po pierwsze, Stronictwo musi stać się naprawdę partią polityczną, przestać być biurem wynajmu nieruchomości. Sprzedajemy majątek i pieniądze przeznaczamy na politykę. I drugi warunek, że Stronictwo musi być partią otwartą, a nie partią ciagle tych samych dwóch tysięcy ludzi. Mamy przyjmować nowych i oni będą mogli od razu czuć się w niej jak u siebie, czyli na przykład absolutnie wykluczone są jakiekolwiek przepisy dotyczące stażu członkowskiego, że na przykład prawa członkowskie nabywa się dopiero po iluś latach.

Udało się panu wprowadzić cztery tysiące nowych i teraz nakryjecie tych starych czapkami?

– To więcej, niż przyszło do SD w ciągu ostatnich 20 lat. Niektórzy pomyśleli, że demokratyczne procedury, nie to, że ich usuną, bo nikt nie miał takiego zamiaru.

Skoro stanowią przeszkodę do budowy „nowoczesnej partii, która zmieni sytuację w Polsce”, to trzeba ich wyeliminować.

– Jeśli byłby częścią planu, o który sami zabiegali, nikt nie byłby eliminowany. Ale nabrali przekonania, że jakkolwiek demokratyczna procedura łamie ich monopol.

Czy kiedy szefowie SD z panem rozmawiali i powiedzieli, że chcą wejść w prawdziwą politykę, byli trzeźwi?

– Absolutnie.

Jednak. To poszukajmy mniej prostych przyczyn tego samobójczego pomysłu. Mówili „my chcemy do polityki”, bo co?

– Że trzeba skończyć z uspieniem Stronnictwa, chcemy zrobić centrową partię, mówili to bez związku z osobistymi ambicjami, że chcą ubiegać się o mandaty poselskie, choć tego ostatniego nie mówię pejoratywnie, ponieważ ambicja tego rodzaju nie jest dla mnie rzeczą naganną.

Pan to ceni, mnie to śmieszy.

– Sądzę, że w ogóle bycie w polityce jest z pańskiej perspektywy...

Tak. Coraz bardziej.

– Nie ukrywam, że czasami i ja mam wątpliwości w tej sprawie.

Po upływie kadencji europarlamentarzysty, pochylając się nad SD, chyba pan nie miał wątpliwości. Inne drzwi były zatrzasknięte.

– Nie, miałem drogę prywatności.

W wieku 41 lat? Wolne żarty...

– A dlaczego nie? Jest masa ludzi absolutnie szczęśliwych bez działania w polityce.

Pan byłby nieszczęśliwy, bo musi coś udowodnić swoim dawnym kolegom z PO, którzy pana pogonili.

– Doceniam te wszystkie psychologiczne analizy, które się pojawiły na temat kolegi Piskorskiego, ale proszę mi uwierzyć, że bez polityki mógłbym żyć.

Kiedy ostatnio pan próbował?

– Powiem przewrotnie, że przez ostatnie trzy lata.

Czyli bezsensownie Europejczycy płacili panu pensję jako europosłowi, bo pan wtedy uciekał w prywatność?

– Płacili mi pensję za pracę, którą solidnie wykonywałem w Parlamencie Europejskim, czyli udział w procesie legislacyjnym dotyczącym prawa europejskiego. Ale prawdziwa polityka to ta, w której byłem wcześniej – twórcza – na coś się naprawdę wpływa, decyduje. Taką uprawiałem, będąc prezydentem Warszawy czy jednym z liderów Platformy.

Moim zdaniem nie jest pan w stanie wskazać okresu w dorosłym życiu, kiedy nie był pan w polityce, więc miał pan tylko jedną drogę – opanować SD i na tym koniu wrócić do prawdziwej polityki.

– Były różne drogi do wyboru, ale ta wydała mi się możliwa do zrealizowania i po-

ciągająca, bo bardzo trudna. Wybudować dzisiaj ugrupowanie, na tej zakleszczonoj scenie politycznej, kiedy ludzie nadal głosują ze względu na niechęć do PiS, to jest karkołomne wyzwanie.

A oprócz tego, że lubi pan wyzwania, może pan jeszcze się na kolegach z PO zemścić.

– Miałem bardzo złe emocje w sprawie ludzi, którzy zachowali się niehonorowo i kłamliwie w stosunku do mnie. Ale te emocje po ponad trzech latach znacząco wystygły. I mógłbym powiedzieć tylko tyle, że wystarczy ich zostawić, a sami się zagryzą, co widać po ostatnich relacjach między Tuskiem a Schetyną. Dla mnie raczej istotne jest to wyzwanie pozytywne, że mogę coś zbudować, co mam nadzieję...

Ich przygniecie?

– Nie przygniecie.

Jedną nogę chociaż?

– Na razie to są takie proporcje, że występuję ledwo ledwo w sondażach, a oni rządzą polską sceną polityczną. Nauczyłem się pokory przez te ostatnie lata.

Co to jest pokora?

– To znaczy, że trzeba mieć duży dystans do swoich możliwości, że trzeba się czasem pogodzić z tym, że nie wszystkie rzeczy wychodzą. Ale jednocześnie jest pełna determinacja. Więc postaram się mimo ostatniego „pucyku”, żeby wszystko wróciło na dobre tory, bo uważam, że Olechowski byłby lepszym prezydentem niż Tusk czy Kaczyński. A sytuacja monopolu jakiegokolwiek partii, nawet ludzi, których znam od lat, a może nawet dlatego, że znam ich od lat, nigdy państwu nie służy.

Latem zapowiadał pan ofensywę SD, która ruszy z końcem września. I nic.

To lekcja pokory czy determinacji?

– Oczywiście jesteśmy niedoskonalimi i w związku z tym jestem daleki od samozadowolenia.

Nie bądźcie doskonali, bądźcie jacyś!

– Dwie rzeczy, które zapowiadaliśmy, rozpoczęły się. Pierwsza – to jest przedstawianie kolejnych etapów programowych przez Andrzeja Olechowskiego. I zaczęła się druga rzecz, wyjazdy Olechowskiego i moje w kraju, w zasadzie nie wysiadaliśmy z samochodu.

Przez jaki czas?

– Od drugiej połowy września. I w tym momencie zdarzyły się dwie sprawy. Wybuch afer spowodował, że dyskutuje się wyłącznie o tym, czy byli Katarczycy, czy nie byli, czy słusznie się Chlebowski na cmentarzu spotykał, czy nie. Pan to tak pięknie, krytycznie dla rządu komentuje, niech więc pan jeździ po kraju i komentuje.

– Dlatego świadomie wstrzymujemy od słony programowe i zaczęliśmy nowy etap. 10 dni temu Olechowski, Widacki i Piskorski zrobili konferencję prasową.

co powinniśmy zmienić w służbach i jak powinno MSW wyglądać w przyszłości. I kontynuujemy z Olechowskim nasze wyjazdy terenowe.

W ilu miejscowości byliście od połowy września?

– W prawie 20, Olechowski wczoraj był w Lublinie, a jutro jest w Krakowie. Tak wygląda każdy nasz tydzień.

Czyby dał mu pan trawę do palenia, że taki aktywny się zrobił?

– Nie i nie sądzę, żeby on był tym zainteresowany. Jest w stanie ducha, który determinuje go do bycia mocnym kandydatem na prezydenta.

Jak opisałby pan ten stan ducha?

– Jest pewny swoich atutów i nie podchodzi z kompleksami do rzeczy, które będą przeciwko niemu używane.

Jest najwyższy, więc gdzie tu kompleksy?

– Kwalifikacje Olechowskiego w sprawach zagranicznych czy w możliwościach reprezentowania państwa, w umiarze w dyskusji bardziej od innych kandydatów predestynują go do roli prezydenta. I jestem przekonany, że to, iż Olechowski wbrew fałszywemu stereotypowi człowieka najchętniej przechodzącego z kuchni do salonu jeździ po kraju, bardzo pozytywnie świadczy o jego przygotowaniu i determinacji. I tylko cała ta ruchawka w SD, nieudana, ale tworząca obrzydliwy smrodek kłótni, jest w złym momencie uderzeniem w plecy. Mam nadzieję, że tylko uderzeniem, a nie nożem w plecy.

Moim zdaniem to jest noż.

– Pozostawmy przy swoich zdaniach.

To dla mnie wygodne rozwiązanie, bo to pan broczy krwią.

– Zakończenie tej sprawy będzie banalne, sąd rejestrowy uzna, że mam rację.

Zalóżmy, że Olechowski wygra, a w wyborach parlamentarnych zwycięży PO. Czy uważa pan, że byłby prezydentem, który pozwoli Platformie zmienić na swoją modłę Polskę, będzie podpisywał kluczowe ustawy, wspierał jej rozwiązania konstytucyjne?

– Olechowski ze swoimi poglądami nie tylko nie może takich rzeczy wetować, ale sądzę, że będzie do nich zachęcał. Krytyka Platformy ze strony Olechowskiego dotyczy zaniechania, a nie tego, że zbyt śmiało reformują Polskę. Ekipa Tuska bardzo chętnie posługuje się w ostatnich miesiącach wykrętem, że nie mogą niczego zmienić, bo jest Lech Kaczyński, w związku z czym nawet niczego nie proponują.

To jest i wykręt, i prawda.

– Ale to, że Lech Kaczyński by wetował, nie oznacza, że Donald Tusk i jego ekipa nie mogą pokazać, co by chciała zrobić! To byłoby uczciwe w stosunku do wyborcy, żeby na przyszłość wiedział, czego się po niej spodziewać. A oni mówią: nawet nie ma sensu tego projektu pisać.

Może są też jacyś wyborcy, którzy chcieliby się spodziewać czegoś po SD. A tu pewien klops... Bo te-

go na razie nie wiadomo. Choć muszę przyznać, że rozbawił mnie pański pomysł specyficznego outsourcingu programowego SD, że zlecił pan „na zewnątrz” usługę wymyślenia programu partii. Robi to Olechowski z tajemniczymi ekspertami. To może i nowoczesne, pragmatyczne, natomiast nie ma nic wspólnego z powstawaniem partii, która łączy ludzi podobnych poglądów.

– Po raz kolejny w naszej rozmowie pozwolę sobie się nie zgodzić.

Zemsta na kolegach PO? Sami się zagryzą, co widać po ostatnich relacjach między Tuskiem a Schetyną

Brawo. A argumenty?

– To jest lepszy na tym etapie sposób tworzenia jednolitej wizji tego, co chcemy zrealizować. Nie pominąłem w tej sprawie SD. Zespoły programowe ruszają też wewnątrz partii, działacze stronnictwa mogą się angażować, dyskutować nad poszczególnymi kwestiami.

Mogą, ale nie oni mają je przede wszystkim sformułować i wiedzą o tym.

– Nie, ale tezy do dyskusji są przygotowywane przez niekwestionowanych fachowców w swoich dziedzinach.

Których mieliśmy poznać w połowie września.

– Których mieliśmy poznawać po kolei i zaczniemy to robić. To są bardzo wybitne i „siedzące w temacie” osoby.

A już myślałem, że jakieś nazwisko padnie.

– Będą, jak tylko Olechowski ponownie ruszy z przedstawianiem ich prac, a zawiesił to bardzo słusznie, bo w dzisiejszej atmosferze tej wewnętrznej rebelii to by zginęło. Wielu ludzi będzie bardzo sympatycznie zaskoczonych jakością tego, co przedstawimy.

Już się nie mogę doczekać. Natomiast to mi wygląda na taki pomysł budowa-

nia wspólnoty ideowej członków SD: tak powstały program rozda pan działaczom, członkom i każe im się go nauczyć na pamięć, bo od dzisiaj „to jest wasz program”.

– Nie. Propozycje Andrzeja Olechowskiego zostaną „przerobione” z SD w ramach rady programowej i w zespołach. Na maj zwołamy kongres programowy i wtedy będą podejmowane decyzje. I wyjdziemy do wyborców z konkretnym programem działania, w przeciwieństwie do pozorujących istnienie programów PO i PiS.

A jeżeli będzie trwało to, co dzisiaj, czyli pusta, ale hałaśliwa wojna PO z PiS, skupiająca uwagę całej publiczności? Wtedy nikt nie oderwie wzroku od ringu w TVN24, żeby wysłuchać konferencji Piskorskiego i Olechowskiego.

– To w Polsce poważny problem, że obie partie główne, Platforma i PiS, są zainteresowane utrwaleniem takiego sporu i wymyślają, jak przed wyborami europejskimi, sztucznie problemy, na przykład gdzie mają odbywać się uroczystości 4 czerwca, i w ten sposób zajmują całą publikę.

Mało tego, część mediów też tego chce, często z lenistwa, bo łatwiej jest opisywać ten spór, niż zajmować się czymś poważniejszym i nudniejszym.

– Co do oceny sytuacji jest pełna zgoda.

A skutków?

– Może też, bo ja uważam, że skutkiem będzie miazdząca wygrana PO, która nie gwarantuje, że coś się będzie zmieniać. PO w odróżnieniu od środowiska dawnej Unii Wolności nie chce poświęcić nawet kawałka wielkości na ołtarzu zmian.

Moim zdaniem skutkiem będzie to, że nikt was nie usłyszy.

– Jest ryzyko, że będziemy mieli do czynienia z praktycznym monopolem partii, która niczego nie będzie zmieniała, tylko się dostosowywała do oczekiwań większości. Ja z determinacją zrobię wszystko, żeby ten scenariusz utrudnić.

Upierając się przy „moich” skutkach, zapytam: czy ma pan plan awaryjny dla Pawła Piskorskiego?

– Mówiąc ironicznie, może „wróć do lasu”?

Nadal ma pan dopłaty za zalesianie?

– Tak.

Ten pański las zalesiony za pieniądze z dopłat jest już duży?

– Właścicielką formalnie jest moja żona. Nieduży, trzyipółletni. W tej chwili około metra.

Czyli na czworakach grzyby trzeba by zbierać.

– Tam jeszcze nie ma grzybów.

Pytam, bo szukałem dla pana tego planu awaryjnego i pomyślałem: może grzyby?

– Na grzyby za wcześnie.

Paweł Piskorski (41), podczas studiów na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego aktywny działacz Niezależnego Zrzeszenia Studentów, organizował pomoc dla zatrzymanych przez milicję. Działal w Unii Wolności, zakładał Kongres Liberalno-Demokratyczny i Platformę Obywatelską. Był posłem, europosem oraz prezydentem Warszawy. Na tym ostatnim stanowisku miał chronić samorządowy „układ warszawski”, zarzucono mu też posiadanie majątku niewiadomego pochodzenia oraz wykorzystywanie funkcji eurodeputowanego, gdy pobierał unijne dopłaty do zalesiania pola. Wyżruciono go z PO, ale mimo licznych prób żadna instytucja śledcza nie potwierdziła oskarżeń pod jego adresem. Od początku tego roku dąży do tego, by Stronictwo Demokratyczne odzyskało polityczne znaczenie.

Platforma Obywatelska



eurodeputowanego, gdy pobierał unijne dopłaty do zalesiania pola. Wyżruciono go z PO, ale mimo licznych prób żadna instytucja śledcza nie potwierdziła oskarżeń pod jego adresem. Od początku tego roku dąży do tego, by Stronictwo Demokratyczne odzyskało polityczne znaczenie.



REPREZENTACJA NARODOWA MARCIN FABJAŃSKI

NEUROTYCZNY POETA FUTBOLU

Człowiek, który będzie dowodzić reprezentacją piłkarzy – jednym z naszych największych dóbr narodowych – uchodzi za natchnionego wariata. Ale to tylko część prawdy o **Franciszku „Franzu” Smudzie**, nowym selekcjonerze narodowej drużyny, który jest też wytrawnym taktikiem

To nie jest robota pierwsza z brzegu. Trener kadry narodowej będzie jednym z najważniejszych Polaków co najmniej do lipca 2012 roku. Kto wie, czy nie najważniejszy – prezydent nie dotrwa pewnie do tego czasu na posterunku, a premiera i ministrów sportu możemy mieć kilku.

Mistrzostwa Europy w piłce nożnej na lata, a może dziesięciolecia, zbudują wizerunek naszego kraju. Nad częścią organizacyjną da się w miarę racjonalnie zapanować, ale wynik sportowy naszej wiskienki na tym torcie, czyli reprezentacji, jest całkowicie nieprzewidywalny. Za tę irracjonalną część mistrzostw odpowie wybrany 29 października przez członków zarządu PZPN nowy trener narodowej drużyny – 61-letni dziś Franciszek Smuda.

Kogośkolwiek o niego zapytać, pokręci głową, jakby mówił: „No jasne, Smuda. Każdy ma go rozpracowanego. Prasówka tekstów o Smudzie zawiera rosnący i dziedziczony z dziennikarza na dziennikarza zbiór anegdotów składających się na jego spójny obraz. Że naturczyk, nerwus, niewolnik własnej intuicji. Jakby w Smudzie warta opisu była tylko prawa półkula mózgowa – ta odpowiadająca za emocje”.

Ci, którzy znają Franza bliżej, niekoniecznie się z takim opisem zgodzą.

Medialne legendy

Oto opowieści składające się na oficjalną, medialną legendę Franciszka Smudy:

1. Laptopa używa jako podstawki pod szklankę z herbatą. To sztandarowa anegdota o Franza. Nośna, bo okrągłe ślady po szklance na błyszczącej powierzchni komputera działają na wyobraźnię. Franz ma być trenerem pozbawionym metody, działającym na czuja. Kimś, kto ma za nic najnowsze zdobycze techniki, gardzi fizjologiem, nie szanuje psychologa. Statystyki indywidualne piłkarzy – podstawowe narzędzie ich oceny w nowoczesnym futbolu – lądują u niego w koszu, bo piłkarzy do składu wstawia na nosa.

Do niedawna panowała moda na porównywanie Smudy z młodszym o pokolenie miłośnikiem laptopów Czesławem Michniewiczem (zwłaszcza że deptali sobie po piętach w Zagłębiu Lubin i Lechu Poznań). Moda już nie panuje – gwiazda trenerska i medialna Michniewicza przygasała, Smudy – przeciwnie.

2. Smuda to straszny nerwus. Nikt nie widział, żeby usiadł dłużej niż minutę na ławce rezerwowych w czasie meczu. Biega wzdłuż linii, wrzeszczy, kopie w wściekłością butelkę z mineralną. Był taki już w latach 70., gdy sam grał w piłkę. – W Legii pewien lepiej od niego wyszkolony piłkarz postanowił na treningu zabawić się koszem Smudy. Zakładał mu siatkę [czyli puszczał mu piłkę między nogami – przyp. red.], grał z nim w kotka i myszkę. Żle wybrał. Wściekły Franz rzucił się

na niego i zaczął go dusić – opowiada Grzegorz Kalinowski, dziennikarz n-Sportu.

– Bywało, że dusił ludzi – potwierdza Tadeusz Gapiński, długoletni działacz Widzewa Łódź.

Paulina Smaszcz-Kurzajewska, dziennikarka Wizji Sport, wybrała zły moment na próbę rozmowy ze Smudą; w czasie meczu. Franz kazał jej „spierdalać”.

Legenda głosi, że nie mógł znieść straty pieniędzy, które utopił w jakimś interesie wspólnie z Kazimierzem Deyną. Ten miał w ostatniej chwili odwieść Franza od samobójstwa.

3. Nie umie się wysławić. Często z powodu jego dziwacznej składni nie można zrozumieć, o co mu chodzi. Jeszcze niedawno do polskich zdań wpływały słowa niemieckie, jakby nie mógł przestać mówić w języku sąsiadów po latach grania u nich i trenowania ich zespołów. Do języka polskiego jakoś się nie może przyzwyczaić.

Tę cechę Smudy barwnie opisuje bramkarz Maciej Szczesny w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”: „Szlismy razem, minuta po minucie, metry mijają i czuję, że Smudę drażni cisza i chce ją przerwać. Zaczyna: – Muszę wrócić do nauki języka... – Czego? – zapytałem trochę z niedowierzaniem, trochę z ciepłym podziwem. Wiedziałem, że trener cierpi z powodu tego, że przez lata za granicą zgubił akcent i czasem brakuje mu słów. I nie chce się do tego przyznawać, nawet przed sobą. Pomyślałem: »Nareszcie, Franz otwiera się przede mną, nawiązuje się mocna nić«. – Języka. Muszę znowu się uczyć języka – odpowiada Smuda. – Polskiego? – to było niewinne pytanie. A on zrobił się czerwony i wrzasnął, aż 700 m dalej chłopcy wypadli z pokoi zaniepokojeni: – Nie, k...! Hiiiiispańskieegoooo!!!”.

4. Smuda komunikuje się z zawodnikami językiem uczuć, a nie racjonalnych argumentów czy precyzyjnie sformułowanych poleceń. Jednych kocha, innych nie. Ci drudzy nie chwytają tego języka. Religijną więź nawiązał na przykład z kolumbijskim obrońcą Manuelem Arboledą, którego trenował w Zagłębiu, a potem ściągnął do Lecha.

Arboleda napisał na koszulce: „Dziękuję, Jezusie i Smudo”. Gdy Franz przeniósł się do Lecha, Kolumbijczyk wydzwaniał do niego z krótkim, choć natarczywym komunikatem: „Ja Poznań, ja Poznań, ja Poznań”.

To była miłość z wzajemnością.

Grzegorz Kalinowski: – Smuda przyjeżdżał na mecze do Zagłębia, gdy tylko mógł, i występował pod szatnią, czekając na swojego ulubieńca. W końcu w Zagłębiu wprowadzono zamki na karty magnetyczne, żeby się obcy trener nie pętał. Tak oto, wcześniej niż zamierzano, zaczął się proces unowocześniania tamtejszego stadionu.

Prywatna wieża Babel

A gdy przejdiesz wzrokiem w prawy górny róg tej strony, poczytasz o innych ogólnych prawdach, rzuconych tam luźno, nie w punktach.

Smuda grał w piłkę w Polsce, USA i Niemczech. Trenował piłkarzy w RFN, Turcji, na Cyprze. Najczęściej z dobrym skutkiem. W roku 1995 objął Widzew i zdobył z nim najpierw wicemistrzostwo, potem dwa mistrzostwa Polski. Także awans do Ligi Mistrzów, gdy drużyna wygrała w Łodzi 2:1, a potem – choć przegrywała 0:3 w Kopenhadze – strzeliła dwie bramki i awansowała. Ostatnią w 90. minucie, co miało się stać znakiem firmowym drużyny Franza.

Przeszedł do Wisły i z nią też zdobył mistrzostwo Polski. Ale w pucharach nie mógł nic zdziałać. Nie ze swojej winy, tylko przez jeden impuls elektromagnetyczny w mózgu bandyty stadionowego o ksywie Misiek. Ów impuls kazał Miśkowi rzucić nożem w kierunku piłkarza włoskiej Parmy Dina Baggio. UEFA wyrzuciła Wisłę z rozgrywek europejskich. Impuls w mózgu Miśki zaszkodził polskiej piłce, Wiśle, ale także samemu Smudzie. Trener odszedł do Legii.

Grzegorz Kalinowski: – Ledwie objął Legię, a drużyna stała się maszynką do zwycięstw. Ale nadeszła zima i Franz postanowił maszynkę jeszcze ulepszyć. Za ciężkie pieniądze ściągnął z Widzewa swoich ulubionych piłkarzy. Tylko że oni nie grali już tak dobrze jak kiedyś. Widzewski zaciąg zawiódł, Franz wyleciał z Legii. Po przegranym meczu z Zagłębiem Lubin na konferencji prasowej był wściekły. Chciał się bić z dziennikarzem „Naszej Legii”, przed klubem, natychmiast.

Smuda prowadził potem kilka słabszych polskich drużyn i Omonię Nikozja. Miał propozycję, by zostać trenerem reprezentacji Gabonu, którą odrzucił. Ostatnie sukcesy Smudy to batalia z Lechem Poznań w Pucharze UEFA, w którym przetrwał – rzecz nieosiągalna ostatnio dla polskich drużyn – aż do wiosny.

Nie po raz pierwszy był najważniejszym kandydatem do prowadzenia drużyny narodowej, ale po raz pierwszy mu na tym zależało. – Pierwszy raz poczułem naprawdę, że chciałbym zostać trenerem reprezentacji, jakieś trzy lata temu. Wcześniej lubiłem pracować w klubach. To przyjemna praca. Nie podpalałem się, gdy mi proponowano kadre w przeszłości, nie była to dla mnie sprawa życia i śmierci – mówi.

– Co się stało, że teraz bardziej zależy panu na reprezentacji?

– Przemyślałem to. Człowiek dojrzewa, nabiera doświadczenia. Nie podejmuje decyzji na hura. Kiedyś działałem bez zastanowienia – odpowiada enigmatycznie i – jak ma w zwyczaju – trochę obok pytania.

O życiu prywatnym nie chce rozmawiać. Ma drugą żonę i wystarczy spojrzeć na ich wspólne zdjęcia – gdy tańczą objęci na balu sportu i patrzą sobie w oczy – żeby zrozumieć, że to nie jest związek z wyrachowania ani przyzwyczajenia. Żona mieszka w Krakowie i tam do dziś jest ich wspólny dom. Smuda wraca do niego, gdy tylko może. W Legii treningi były poukładane w rytm rozkładu pociągu Intercity Warszawa–Kraków.

→ Od tego miejsca aż do końca tekstu przedstawiać będziemy mniej znaną prawdę o najnowszym trenerze reprezentacji. Na początek: laptop-podstawka nie oznacza wcale wstępu do analizowania. Smuda rzekł kiedyś: „Mam takie sytuacje, że jednostka treningowa czy ustawienie śni mi się w nocy. Wtedy się budzę i notuję, żeby nie zapomnieć do rana”. Franzowi śni się więc „jednostka treningowa” i „ustawienie piłkarzy”, a nie Duch Święty z ustami pełnymi natchnionych porad.

Wściekły do granic

Hubert Małowiejski, analityk Lecha Poznań, pracował dla Smudy w Widzewie, Lechu i Omonii Nikozja. Nie powie o nim inaczej niż „trener” – jakby tylko jedna osoba na świecie godna była tego tytułu. – Znam trenera od kilkunastu lat i wiem, jak fałszywy jego obraz kreują media. Według nich nie zagłębia się w taktykę, nie analizuje przeciwników, jest słabym fachowcem. Mówią, że ma intuicję i szczęście. Jest odwrotnie. Na odprawach szuka słabych stron przeciwników. O mocnych milczy. Ale zna je doskonale. Bo sam mu je drobniogłosem referuję, a potem roztrząsam każdy detal. Taktyka i analiza przeciwnika to pasja trenera.

Małowiejski przez lata tłumaczył mu setki materiałów szkoleniowych z obcych języków – poza niemieckim, bo ten, jak wiadomo, trener zna. Jego zdaniem bez Smudy polska liga byłaby znacznie bardziej w tyle za resztą Europy: – To trener jest autorem większości nowinek taktycznych w polskiej lidze.

Podaje przykłady. W latach 90. w Widzewie Smuda wprowadził system gry 4-4-2, czyli z czwórką obrońców grających w jednej linii i z wysokim pressingiem – odbieraniem piłki przeciwnikowi jeszcze w jego strefie obrony.

Małowiejski: – W Polsce tak nikt nie grał, to było kompletne zaskoczenie. Grano wtedy trzema obrońcami.

Ostatnio w Lechu stosował system 4-3-2-1 i grę krótkimi podaniami. Tak gra liga włoska, którą Smuda podgląda najbardziej oprócz niemieckiej. Teraz ten system stosują inne polskie drużyny, na przykład Jagiellonia Białystok. – Trener nie ma laptopa, ale zna wszystkie nowinki taktyczne – zapewnia Małowiejski.

Skąd więc opinie o Smudzie natchnionym wariacie? Małowiejski: – Tak jest wygodniej samemu trenerowi. On tylko gra faceta, którego nie interesują przeciwnicy. Może potem powiedzieć swoim piłkarzom na odprawie: macie z nimi walczyć, nie jesteście gorsi. Nie skupiając się na nich, tylko na jakości swojej gry.

Przed pojedynkiem z Feyenoordem Rotterdam w lutym tego roku Smuda rzucił Sławomirowi Peszce: – Jesteś szybszy niż obrońcy, wykorzystaj to. To, że zagraasz przeciwko obrońcom Feyenoorda, a nie Odry Wodzisław, niczego nie zmienia. Biegasz szybciej i od tych, i od tych. Dla ciebie nie ma różnicy.

I Peszko biegał. Lech odpadł w dwumeczu z Feyenoordem, ale wstydu nie przyniósł. Podjął walkę, nawet prowadził na wyjeździe.

Samego analityka Małowiejskiego Smuda też nauczył pewności siebie. Kiedyś na Cyprze – pięć minut przed treningiem, bez ostrzeżenia – kazał mu poprowadzić rozgrzewkę po grecku. Małowiejski musiał przełamać lęk przed wydaniami piłkarzom poleceń w obcym języku.

Franciszek Smuda o swym stylu: – Jakbym nie był typem analityka, nic bym nie osiągnął.

I w klubie, i w reprezentacji trzeba układać zespół i wymyślać nową taktykę, która da wynik drużynie.

Rok 1995. Na pierwszym wspólnym obozie przygotowawczym Widszewa w Buku Tadeusz Gapiński – bo nikt inny się nie odważył – zwrócił grzecznie Smudzie uwagę, że za bardzo przeciąża zawodników. Nie widział jeszcze tak intensywnych zajęć. Tylko go wkurzył. Odpowiedzią oprócz złości było mistrzostwo Polski drużyny z Łodzi w następnym sezonie.

Gapiński: – U niego nie ma miejsca na intuicję. Każdy krok jest przemyślany. Potrafi z zawodnika wycisnąć wszystko. Zawodnik nawet nie wie, że może tak dobrze grać.

Współpracowników Smudy nie dziwił bramki strzelane przez jego piłkarzy w ostatnich minutach. To nie szczęście ani przypadek.

Piłkarze Smudy nie są ułanami rzucającymi na czołgi, by z honorem leć. To mrówki zapieprzające bez wytchnienia do ostatniego gwizdka

To efekt systemu, który stosuje Franz. Piłkarze Smudy nie są ułanami rzucającymi na czołgi, by z honorem leć. To mrówki zapieprzające do ostatniego gwizdka bez wytchnienia nad realizacją schematów wpojonych przez trenera. Na tym polega legendarna „duch” drużyny Smudy. I na przemyślanej strategii motywacyjnej.

Franciszek Smuda: – Ducha każdemu trzeba wpoić, trzeba mieć niesamowity dar, żeby przekonać do taktyki piłkarzy, którzy nie mają nawet umiejętności. Zawodnik musi widzieć w oczach trenera, że trener nie potrafi przegrywać. Moje mecze horrory wypracowane są na treningu. Tam uczy zawodnika, że ma walczyć do upadłego.

Legendarna wściekłość Franza też ma swoje granice. Dziennikarkę Wizji Sport Smuda zbluzgał, ale potem powiedział „przepraszam”. Grzegorz Kalinowski: – Nie schował głowy w piasek. Nie próbował się tłumaczyć, nie robił scen. Kupił jej bukiet róż i przeprosił.

Nie przeprosił za to sędziego Roberta Werdera, którego nazwał „gałganem”, gdy ten nie uznał prawidłowej bramki na 4:3 dla Lecha. Powiedział o nim: – Powinien od razu po gwizdku jechać do Wrocławia, do prokuratury.

Jakby przewidział przyszłość. Sędzięgo wkrótce zatrzymała policja z zarzutami korupcji.

Smuda to jeden z niewielu rodzimych trenerów będących do przelknięcia przez rozżalowanego polskiego kibica. Skoro więc został narodowym selekcjonerem, znajdują się sponsorzy, którzy zapłacą mu część pensji, choć z innych powodów niż Leo Beenhakkerowi. Legenda Smudy – neurotycznego poety futbolu – kładzie się bowiem cieniem na jego wartości marketingowej. Banki na przykład nie chcą mieć nic wspólnego z takim wizerunkiem.

– Nie wydaje mi się, żeby można było wykorzystać Smudę do kampanii reklamowej. Sponsorzy jego pensji chcą pokazać, że zależy im na polskim futbolu, a nie sprawić, by ich wizerunek kojarzono ze Smudą. Nie zastanawiają tego, co się nazywa *image transfer*: przeniesienia wizerunku z postaci na ich firmy – mówi Michał Górczyński, specjalista od marketingu sportowego. – Smuda nie jest Beenhakkerem postrzeganym jako fachowiec na skalę międzynarodową, który wnosi profesjonalizm, coś nowego i światowego oraz solidnego. Zresztą, gdy Beenhakker zaczął tracić blask człowieka przeprowadzającego nasz futbol na jasną stronę księżycy, BZ WBK wstrzymał reklamy z nim.

Jego zdaniem powodem, dla którego sponsor dołoży się jednak do pensji Smudy, jest gwarantowanie przez Franza pewnego poziomu swoich drużyn: – Na pewno jest lepszym trenerem niż polscy piłkarze piłkarzami.

Sam Smuda raczej nie miewa złudzeń co do materiału ludzkiego, z jakim przychodzi mu pracować. O polskich klubach, z których będzie przecież powoływał zawodników, powiedział: – Krąży dosłownie, że za rok odpadną z Pucharów już w fazie losowania.

Nie oszczędza nawet swoich własnych graczy: – To nie jest sztuka poprowadzić Legię, Wisłę czy Lecha. Sztuka jest ukreślić z gówna biciz i ja to zamierzam zrobić w Lubinie.

Jego zadanie nie zmienia się tak bardzo. Obejmując reprezentację Polski, może powiedzieć: – To nie jest sztuka poprowadzić Hiszpanię, Niemcy czy Włochy...

Ale opinia kibiców o Franzu jest taka, że jeżeli ktoś ma wycisnąć coś z piłkarzy z polskim paszportem, to właśnie on.

Nie jestem wariatem

Jak wynika z forów internetowych, niepokorny Smuda zaniepokoił jednak wspierających go kibiców reprezentacji. Jakoś za łatwo dogadał się na rozmowie kwalifikacyjnej z Antonim Piechniczkiem postrzeganym jako hamulcowy polskiego futbolu.

Franz jednak uspokaja: – Charakter i zaangażowanie się nie zmieniają. Smuda był, jest i będzie zawsze Smudą.

I dodaje, że miał sporo przejść w życiu. Nauczył się z nich wiele i dzisiaj wie, jak kierować ludźmi na boisku. Kiedy pytam, czy chodzi mu o myśl o samobójstwie, od którego odwiódł go Deyna, protestuje: – O nie, nie próbowałem się zabić. Takim wariatem to ja nie jestem.

Na serio, z niepokojem w głosie, pyta: – Chyba aż na takiego nie wyglądam?



Joseph Arpaio to tak twardy szeryf, że powinniśmy przeprosić go za ten tu napis na jego garniturze

Szeryf od łapanek

STRÓŻE PRAWA MACIEJ JARKOWIEC

Oto Joseph Arpaio. Ostatni prawdziwy szeryf na Dzikim Zachodzie. Kiedyś Ameryka będzie o nim układać piosenki

Najbardziej Bezwzględny Szeryf Ameryki (według własnej oceny) rezyduje na jednym z najwyższych pięter najwyższego drapacza chmur w samym środku Phoenix, stolicy stanu Arizona. Przez szklaną ścianę gabinetu patrzy na swoje miasto. Z tej wysokości wygląda ono dokładnie tak, jak je sobie wyobraża – wy czyszczone dokumentnie. Wolne od narkomanii, prostytucji i zbrodni. To on je uwolnił. Jak tego dokonał? Wywiózł na pustynię wszystkich nielegalnych imigrantów.

Idol

Joe Arpaio jest najpopularniejszym politykiem w Arizonie, czego niezmiennie od kilkunastu lat dowodzą sondaże. Wyborcy liczącego cztery miliony mieszkańców hrabstwa Maricopa (miasto Phoenix i jego rozległe okolice) już pięciokrotnie wybierali go na czteroletnią kadencję szeryfowania. Ale jego sława nie kończy się na granicach Arizony. Jest jednym z herosów skrajnie konserwatywnej (lub – używając języka wrogów – nacjonalistycznej) Ameryki. Dan Walker – szef teksańskiego oddziału National Rifle Association, potężnej organizacji strzegącej prawa obywateli do posiadania broni – bez zastanowienia wyznacza Arpaio jako jednego ze swoich idoli. – Jest drugi po moim ojcu, który nauczył mnie strzelać – powiedział mi, kiedy spotkałem się z nim podczas niedawnej podróży po Teksasie. – Szeryf Arpaio rozumie, że największym zagrożeniem dla naszego kraju jest zalew imigrantów i kryminalistów.

Taki pogląd podzielają miliony Amerykanów i zdecydowana większość w graniczącej z Meksykiem Arizonie, w której miasta i farmy wsiąka spory procent przemieszczonych przez pustynię Latynosów.

Sam Joseph Arpaio nie czuje się bohaterem. – Robię, co do mnie należy – mówi w rozmowie z „Przekrojem”. – Ciężka, uczciwa harówka przez całe życie to żadne bohaterstwo. To jest obowiązek każdego Amerykanina. Tyle że wielu jest zbyt leniwych, by to zrozumieć.

Ostatnio Najbardziej Beznadziejny Szeryf Ameryki (to już według oceny „The New York Times”) pracował tak ciężko, że popadł w konflikt z władzami federalnymi Stanów Zjednoczonych. Jego działalność wzięła pod lupę FBI, Departament Sprawiedliwości prowadzi przeciw niemu śledztwo.

Żona bezproblemowa

Wieniący kilkunastometrowy słup napis „Vacancy” (wolne łóżka), widać z odległości kilku kilometrów. Ten akurat nie zachęca do skorzystania z usług niedrogiemu motelu, tylko przestrzega przed „gościńnością” najsłynniejszego więzienia w USA. 77-letni szeryf Arpaio daje wyborcom to, czego chcą: nie patyczkuje się ani z więźniami, ani z imigrantami. Na pustyni nieopodal Phoenix postawił brenzentowe więzienie. W pochodzących z czasów wojny koreańskiej wojskowych namiotach przez 250 dni w roku temperatura przekracza 40 stopni. Rezydenci noszą różowe majtki, różowe skarpetki i (jeśli trzeba) różowe łańcuchy, dostają dwa posiłki dziennie

(„wydajemy więcej na karmienie policyjnych psów niż kryminalistów”), nie mają prawa palić papierosów, oglądają tylko dwa kanały telewizyjne – o pogodzie („żeby wiedzieli, że jutro znowu będzie gorąco jak cholera”) i o gotowaniu („żeby wiedzieli, jak pyszne jest żarcie na wolności”). Program resocjalizacyjny to tablice instruujące: „Jeśli Ci się tu nie podoba, to nie wracaj”, prace społeczne w kilkunastoosobowych grupach połączonych wspólnym łańcuchem (również dla kobiet i nieletnich) i „edukacyjne” marsze zakutych przez centrum Phoenix w zespołach kilkusetosobowych. – Matki dziękują mi, że mogły pokazać dzieciom, co je czeka, jeśli zejdą na złą drogę – zachwala swój pomysł szeryf.

Arpaio urodził się w robotniczym Springfield w stanie Massachusetts, dokąd jego rodzice przybyli z Neapolu. Matka zmarła w czasie porodu, a ojciec szybko zniknął – Joe wychowywała ulica i zastępy dalekich ciotek i wujków, którzy brali go pod swój dach. W czasie wojny w Korei zaciągnął się do armii, ale – wbrew temu, co pisze w swojej autobiografii – frontu nie powąchał – wojnę przesiedział w amerykańskiej bazie na terenie Francji. Potem była wzorцова kariera w organach ścigania. Z posterunkowego w Waszyngtonie („najtrudniejsza, czarna dzielnica” – mówi) awansował na inspektora w Las Vegas (za piractwo drogowe aresztował samego Elvisa, po czym puścił go bez mandatu, bo gwiazdor „był do brzo nastawiony do stróżów prawa”). Potem trafił do osławionego Drug Enforcement Administration (DEA) – niezależnego →



Miasteczko namiotowe dla nielegalnych. Stąd wszędzie jest daleko

→ giganta prowadzącego z ramienia rządu USA globalną wojnę z narkotykami. Pracował w Turcji („wysłali mnie tam samego z małym pistolecikiem, ale dałem radę”) i Meksyku, a na emeryturę przeszedł jako szef DEA w Arizonie. Gdy pytam, co z tego bogactwa doświadczeń uznałby za najważniejsze wydarzenie swojego życia, odpowiada bez wahania: – Ślub. Moja praca nigdy nie była łatwa, ale mogłem się na niej skupić, bo mam kobietę, która nie robi problemów.

Państwo Arpaio są razem od 53 lat i mają dwójkę dzieci. Zanim Joe wystartował w wyborach na szeryfa, razem prowadzili przez kilka lat biuro podróży oferujące między innymi loty w kosmos.

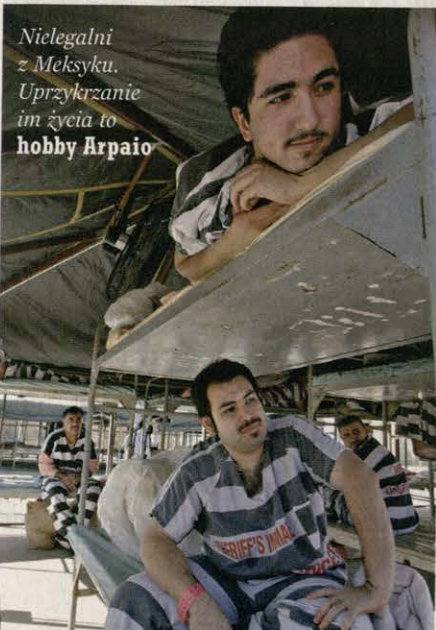
Nielegalnych na pustyni

W ostatnich latach szeryf wyspecjalizował się w łapanekach. Nad meksykańskie dzielnice hrabstwa nadlatuje uzbrojony w szperacze helikopter, przed domy, knajpy i stodoły zajeżdżają radiowozy i uzbrojeni po zęby mundurowi na koniach. Kilka godzin później Arpaio zwołuje konferencję prasową i chwali się swym łupem: od kilku do kilkuset Latinośów. W ten sposób w ciągu ostatnich dwóch lat w jego rejonie aresztowano 33 tysiące nielegalnych imigrantów. Co się z nimi dzieje? Czekają na deportację w brezentowym pierdlu. To oni – ludzie bez jakiegokolwiek wyroku – stanowią 70 procent jego populacji.

Terry Nelson jest emerytowanym oficerem Piechoty Morskiej, służb granicznych i byłym pracownikiem Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego. Prowadzi organizację LEAP zrzeszającą byłych stróżów prawa walczących z narkotykową prohibicją. Zna dobrze Arpaio jeszcze z czasów DEA – od wielu lat jednej z najmniej efektywnych agencji rządowych w USA (w 2003 roku otrzymała bezprecedensowe zero punktów – w skali stupunktowej – od federalnego biura oceniającego pożytek płynący z pieniędzy wydanych przez instytucje publiczne). – Frustracja płynąca z kom-

pletnego braku efektów wykonywanej pracy (a w DEA doświadcza tego każdy) pchnęła go w ekstremę – mówi Nelson „Przekrojowi”. – Wydaje mu się, że radą na wady systemu jest dalsze zaostrożanie kar.

Przed kilkoma tygodniami Departament Bezpieczeństwa Krajowego cofnął Arpaio specjalne zezwolenie na przeprowadzanie operacji zarezerwowanych zazwyczaj dla służb imigracyjnych. O decyzji Waszyngtonu nie zdecydowały liczne apele organizacji praw człowieka, dziennikarzy czy polityków (choćby burmistrza Phoenix), tylko raport prawnicowego Goldwater Institute. Wynika z niego, że podczas gdy w całym kraju przestępczość maleje, w rejonie Arpaio brutalnych przestępstw jest o 69 procent więcej niż kilka lat temu, a morderstw – o 166 procent. Znacznie wydłużył się też czas oczekiwania na policyjną interwencję. Szeryf na tyle oddał się łapaniu nielegalnie zbierających kapustę, że nie zostało mu czasu na zajęcie się rabusiami i mordercami. Poza tym stan Arizona wydał 43 miliony na odszkodowania dla więźniów, którzy dowiedli w sądach, że kła-



Nielegalni z Meksyku. Uprzejmienie im życia to hobby Arpaio

wisze szeryfa bez powodu znęcali się nad nimi, oraz dla rodzin tych, którzy tych tortur nie przeżyli. Szeryf nigdy za nic nie przeprosił.

– Nie ma za co przeproszać – tłumaczy. – W więzieniu ludzie czasem giną z różnych powodów. Przez siedemnaście lat przez moje instytucje przeszło półtora miliona więźniów, a mówimy o kilku wypadkach. Statystycznie nasz system jest bezpieczny.

– To dlaczego Waszyngton cofnął panu licencję? – dopytuje.

– Bo nie podoba im się, że egzekwuję prawo – tłumaczy. – Oni by chcieli amnestii dla nielegalnych, bo wydaje im się, że jak ich wyłapiemy, nie będzie miał kto pracować.

– Może mają rację, sam pan mówi, że w Ameryce dużo leni.

– Nie aż tylu. Mamy 12 procent bezrobocia, nie potrzebujemy obcych.

Aż do śmierci

– Nie można powiedzieć, że on jeszcze reprezentuje prawo – uważa Terry Nelson. – Jest tylko kreatorem własnej wielkości.

Podobna opinia znalazła się w dużym tekście poświęconym wyczynom Arpaio opublikowanym w 2001 roku w magazynie „Harper’s”. Autor – Barry Graham – twierdzi, że Arpaio stracił kontakt z rzeczywistością i najwyraźniej bawi się w szeryfa. Wyobraża sobie, że jest bohaterem jednej z policyjnych książek, w których zaczytywał się za młodu.

Nie trzeba zresztą wnikliwej analizy, żeby dostrzec zamiłowanie Arpaio do gwiazdorstwa i jego rozbuchane ego. Mariusz Kamiński i Zbigniew Ziobro mogą mu tylko pozazdrościć rozmachu, z jakim organizuje konferencje prasowe, na których ogłasza swoje triumfy. Jest regularnym gościem programów rozrywkowych i autorem dwóch książek o sobie samym (druga pod wszystkim mówiącym tytułem: „Prawo według Joe: Najtwardszy Szeryf Ameryki bierze się za nielegalną imigrację, narkotyki i wszystko inne, co zagraża Ameryce”). Prowadził reality show „Uśmiechnij się – jesteś aresztowany”, w którym poszukiwani przestępcy byli zatrzymywani w kompromitujących ich sytuacjach filmowanych ukrytą kamerą. – Nie jestem z tego jakoś specjalnie dumny – przyznaje. – Ale zrobiłem, co do mnie należało – to był swego rodzaju apel do ściganych, żeby sami się zgłosili, zanim ich ośmieszmy w telewizji.

Arpaio nie przejął się zakazem łapanek. – Dalej robię swoje – mówi twardo. – Ich śledztwo mnie nie niepokoi, bo wiem, że prawo i obywatele są po mojej stronie.

Zapowiada, że będzie szeryfował aż do śmierci. W ostatnim sondażu (już po opublikowaniu raportu Goldwatera) poparło go 84 procent mieszkańców hrabstwa. A miasto z wysokości jego klimatyzowanego biura niezmienne wygląda mu na grzeczne i posprzątanę, co utwierdza go w przekonaniu, że wszystkim winni byli Latynosi, których zamknął w swoim prototypowym łagrze na pustyni.

jesteśmy Zatanistami

telewizory porównujemy i za taniej kupujemy



Złoszczą Cię wściekle wysokie ceny? Trafiasz do sklepów, w których nie ma wyboru? Odwiedź nową porównywarke cenową **tanio.pl**. Dołącz do Zatanistów, którzy za taniej chcą mieć większy wybór. Tanio.pl – przebieraj, porównuj ceny, kupuj najtaniej!

tanio.pl
szukam. porównuję. kupuję

Pejcz na głupie nastolatki

Mimo że ma 22 lata i metr pięćdziesiąt pięć wzrostu, **Ellen Page** jest wielka. Prowokuje, drażni i udowadnia, że nastolatki nie muszą mieć twarzy Hannah Montany, a tym bardziej jej rozumu

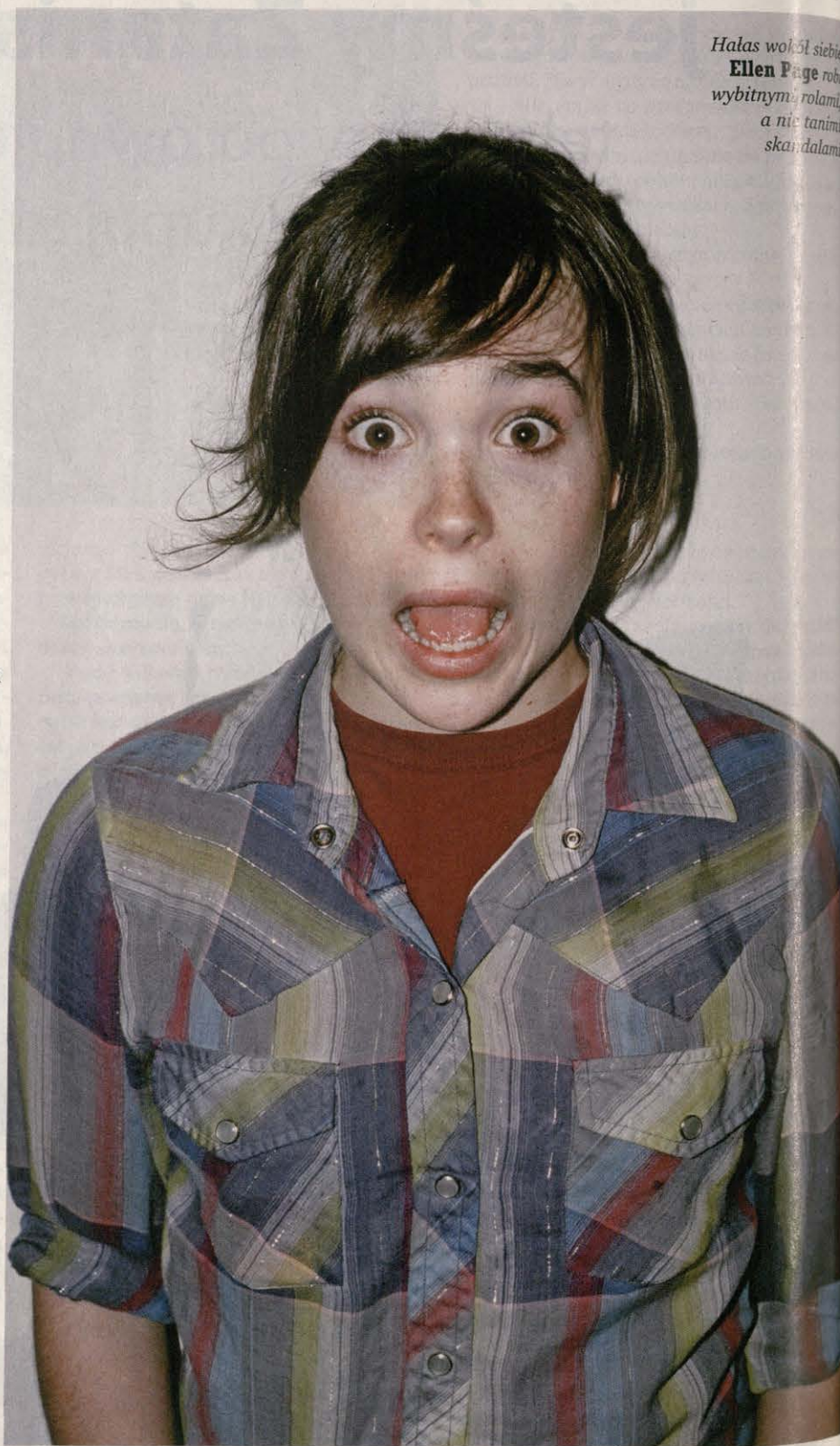
IDZIE MŁODOŚĆ KAROLINA PASTERNAK

Jeśli sięgnęliście po „Przekrój”, to znaczy, że najprawdopodobniej macie po dziurki w nosie młodocianych hollywoodzkich gwiazdek, nie interesują was wyczyny maskotek Ameryki: Miley Cyrus, Lindsay Lohan ani Jonas Brothers. Gdy popatrzyście na umieszczone obok zdjęcie pięknej 22-letniej Ellen Page, może wam się wydawać, że kanadyjska aktorka jest częścią tej kolorowej układanki, ale nie przewracajcie strony – jej świat to zupełnie inna bajka.

Hoduj kozy zamiast ego

Mając 10 lat, dzięki roli w serialu „Pit Pony” pochodząca z Halifaxu w Nowej Szkocji Page stała się najlepiej zarabiającym członkiem rodziny. Przy telewizyjnej gaży Ellen pensje jej taty grafika i mamy nauczycielki wypadały blade. 10 lat i kilkanaście ról filmowych później jako jedna z najmłodszych kobiet w historii Amerykańskiej Akademii dostała nominację do Oscara (za rolę w głośnym, pokazującym w Polsce przed dwoma laty „Juno”), a niebawem w CV obok „aktorki” będzie mogła wpisać sobie dwa kolejne zawody: „producentka” i „scenarzystka”. Stacja HBO zaproponowała jej właśnie napisanie wspólnie z koleżankami z branży Sean Tillmann i Alią Shawkat scenariusza i wyprodukowanie komediowego serialu „Stitch 'n Bitch”.

Wcielając się w „Juno” w nadzwyczaj rezolutną 16-latkę w ciąży, młoda Kanadyjka podbiła serca krytyków i widzów. W samych Stanach film o budżecie siedmiu milionów dolarów zarobił 150 milio-



Hałas wokół siebie
Ellen Page robi
wybitnymi rolami,
a nie tanimi
skandalami

nów. Aktorka przezornie uciekła jednak tuż po gali wręczenia Oscarów od pełnego pochlebstw medialnego światka, zaszywając się na miesiąc na ekofarmie w Oregonie, gdzie zajmowała się... kozami. Nie, nie kąpała się w ich mleku, ale używała kozimi odchodami ziemię pod uprawy.

Następnie ruszyła w roczną podróż po Europie. – Żeby nie brano mnie za Amerykanke, do plecaka przytrzymałam naszywkę z czerwonym liściem klonu – opowiadała później dziennikarzowi „The Guardian”. Udało jej się tym samym uciec od skojarzeń z amerykańskimi turystami, ale nie

od fanów. Przecież w Europie „Juno” też było kasowym hitem.

– Zaskoczyło mnie jednak, że sporo osób kojarzyło też moje starsze filmy. Niektórzy mężczyźni podchodzili po autografy przestraszeni, najwyraźniej mając w pamięci postać z „Pułapki” – opowiadała z kolei w wywiadzie dla „The Times”, mając zapewne na myśli scenę, w której grana przez nią Hayley Stark usiłuje wykastrować przywiązane do stołu domniemanego pedofila. Na festiwalu w Sundance widzowie twierdzili, że przed seansem powinno się dostawać torebki na wymioty. – Jest tyle filmów o prześladowanych fizycznie kobietach, ale gdy ofiarą pada facet, nie wiadzie czemu nagle wybuchają kontrowersje – komentowała Page.

W małym ciele wielki duch

Jak widać, już przed „Juno” aktorka specjalizowała się w trudnych rolach. We wspomnianym thrillerze psychologicznym „Pułapka” (2005) wcieliła się w uwiedzioną przez internetowego podrywacza 14-latkę, we „Fragmentach Tracey” – w szkolną outsiderkę, która musi zmierzyć się z rówieśnikami i traumą po zaginięciu brata, w „Mouth to Mouth” – w narkomankę, a w „American Crime” – w napastowaną fizycznie i psychicznie ofiarę patologicznej rodziny.

W przeciwieństwie do bohaterów drugiego bieguna młodzieżowego kina: Miley Cyrus („Hannah Montana”), Zaczeka Efrona czy Vanessa Hudgens („High School Musical”) reprezentujących wyidealizowany wizerunek nastolatków i sielankowy obraz ich życia, Ellen Page jest ambasadorem przeciętnych dzieciaków. Tych narażonych na ciągłe poczucie odstawiania od ideałów prezentowanych na modowych wybiegach czy w mediach. Podczas gdy Cyrus i jej drużyna odgrywają rolę medialnych maskotek, kontrowersyjne bohaterki Page prowokują do dyskusji, zachodzą za skórę jak drzazgi i długo po seansie nie pozwalają rannom się zagoić.

Specjalistką od ról skomplikowanych nastolatek stała się nie tylko dzięki artystycznym wyborom, ale i – jakie to prozaiczne – posturze. Mając 18 lat (gdy wystąpiła w „Pułapce”), wyglądała wciąż na 14-latkę, była jednak w stanie zagrać kogoś więcej niż tylko małą dziewczynkę.

Z pomocą przychodziła jej ponadprzeciętna inteligencja. Znakiem rozpoznawczym Page oprócz luźnego stylu (bluza z kapturem, džinsy i T-shirt) są taszczone wszędzie pod pachą książki. W wywiadzie udzielonym przed miesiącem „USA Today” zachwycała się ekologicznym „The Big Picture” Davida Su-



„Fragmenty Tracey”, czyli jak życie miażdży marzenia. Rewelacja Nowych Horyzontów – oby weszła do kin!



Jako Juno wyróżniła się nie tylko wielkim duchem, ale i brzuchem. Udźwignęła ciężar, prawie dostała Oscara



Czy te oczy mogą kłamać? Owszem. Page jako 14-letnia mściwa Hayley w „Pułapce”



„Whip it!”: Page zostawia w tyle Drew Barrymore i Juliette Lewis. One też zaczynały w branży jako dzieci

zukię („niezwykła książka, która obala powszechne wyobrażenia na temat wszystkiego, co teraz dzieje się ze środowiskiem”), przed rokiem w „Guardianie” była zachwycona antropologiczną „Intelligence in Nature” Jeremy’ego Narby’ego („rozprawa przyglądająca się kwestii inteligencji roślin”). Z problemami Miley Cyrus, rozpaczającej nad jej krzącącymi po sieci półnagimi zdjęciami spod pryzmicy, czy Lindsay Lohan (czy na słynnym zdjęciu ma, czy też

nie ma majtek pod kusą spódniczką?) troski gwiazdy „Juno” mają niewiele wspólnego.

Nie dla idiotów

Page jest wojującą ekolożką. Otwarcie też deklaruje poparcie dla feminizmu. – Rozumianego jako równość płci – doprecyzowuje na łamach „Guardiana”. – W tym sensie większość z nas powinna być feministami.

W każdej rozmowie zwraca też uwagę na wysokie wymagania stawiane kobietom w kulturze zdominowanej przez piękne modelki, a przede wszystkim na krzywdzący, bo homogeniczny, obraz nastolatków w mediach: – Jesteśmy totalnie przywiązani do wyidealizowanego wizerunku lansowanego przez popularne programy, jak choćby „Laguna Beach” [pokazywany w MTV serial o bogatych nastolatkach z Kalifornii – przyp. red.]. Jeśli to się komuś podoba, świetnie, nie chcę osądzać gustów. Sęk w tym, że potrzeba nam też innych opcji – tłumaczy.

Taką alternatywą ma być „Stitch 'n Bitch”, serial opowiadający o perypetiach dwóch nastolatek z Brooklynu, które by spełnić marzenia o artystycznej karierze, przeprowadzają się do Los Angeles. Konkretów na temat debiutu scenopisarskiego Page na razie nie podaje.

Aktorskie wakacje po „Juno” dawno ma już za sobą. Pracuje na najwyższych obrotach. Ostatnie miesiące spędziła w rozjazdach, na kilku planach filmowych (m.in. „Inception”, gdzie występuje obok Leonarda di Caprio i Marion Cotillard) i konferencjach promujących głośny już debiut reżyserski Drew Barrymore „Whip it!”. Page gra tu Teksankę z dobrego domu, która zamiast – jak marzy sobie matka – wygrywać konkursy piękności, wkracza (czy raczej wjeżdża) w rockandrollowy świat wyścigów wrotkowych. Przesłanie jest tyleż banalne, ile szczytne: ma zachęcać młodzież do szukania choćby najbardziej odjazdowego powołania.

Jeszcze szczytniejszy cel może jednak spełnić nie to, co nastolatki zobaczą na ekranie, lecz poza nim. W sesji dla październikowego wydania magazynu „Marie Claire” reżyserka „Whip it!” i odtwórczyni głównej roli dały się sfotografować w namyślnym pocałunku. Spyta- ne o to, jak widzowie mają fotografię interpretować, odpowiedziały rozbawione: „Jak tylko mają ochotę”.

Lesbijki do idealnego świata amerykańskich produkcji młodzieżowych nie miały dotąd łatwego wstępu. Miejsmy nadzieję, że będzie to jeszcze jedna bezsensowna reguła, którą – z pomocą Page – uda się obalić.

TECZKI

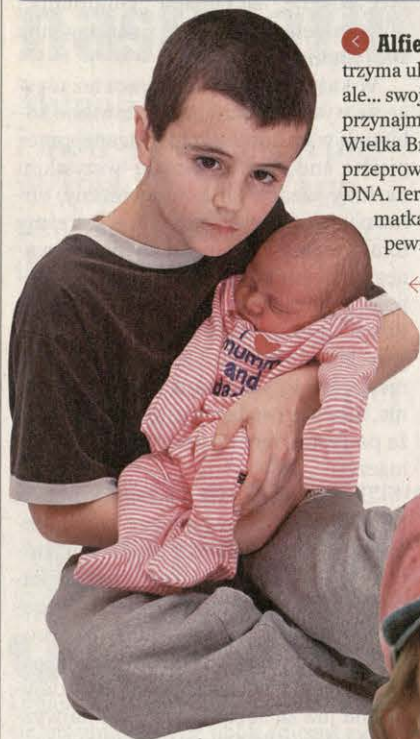


PLANETARIUM OLA SALWA

Pechowy (?) wiek

Dziś, aby zyskać rozgłos, wystarczy... mieć 13 lat

Alfie Patten nie trzyma ukochanej siostry, ale... swoje dziecko. Tak przynajmniej uważała cała Wielka Brytania do czasu przeprowadzenia badań DNA. Teraz tylko 15-letnia matka (powyżej) jest pewna



Laura Dekker – chciała wyruszyć w dwuletni rejs dookoła świata. Rodzice kibicowali, rejs zastopował na dwa miesiące sąd. Wkrótce kolejna rozprawa



CO PRAWDA MIKRA TO SŁAWA, BO ZAINTERESOWANIE MA NA OGÓŁ TYLKO JEDEN POWÓD: oburzenie pod hasłem „przecież to jeszcze dziecko, więc czemu zachowuje się jak dorosły?!”. Media lamentują: za dnia latorośl siedzi w szkole, a wieczorami – zamiast grzecznie odrabiać lekcje – szlaja się po domach gwiazd filmowych, planuje, jakby się dostać do „Księgi rekordów Guinnessa”, albo bloguje. Na tabloidowy rozgłos dzieci nie mają jednak co narzekać – wypadają raczej potwierdzać sukces, szczerząc

Samantha Geimer, A.D. 1977 – niby dziecko, a taka dorosła, o czym na pewno zaświadczy niejaki Roman P.



w uśmiechu zęby ozdobione aparatami ortodontycznymi. Lub, jak blogerka Tavi, zaprojektować własne koszulki i sprzedawać je przez Internet. Zarabianie na własnej sławie jest przecież dziecinnie proste.

Tavi Gevinson – pisze popularny blog o modzie, tyle że od Hello Kitty woli awangardową (i dorosłą) markę Comme des Garçons



Głowy polskie (z innego państwa)

Londyńczycy, których nie ma w „Londyńczykach”



Grzegorz Lepiarz na tle portretów Anglików o polskich korzeniach

40 LONDŹYŃCZYKÓW O POLSKICH KORZENIACH, którzy odgrywają istotną rolę w życiu kulturalnym miasta, znalazł, sfotografował i – to ostatnie ze współpracownikami – przepisał Grzegorz Lepiarz, polski fotograf od kilku lat mieszkający w Londynie. Efektem jest wystawa „London Creatives: Polish Roots”, którą jeszcze w tym tygodniu można obejrzeć w Museum of London w ramach odbywającego się Polska! Year. Lepiarzowi, na co dzień specjalizującemu się w fotografii mody, udało się dotrzeć między innymi do Andrew Czeżowskiego, szefa legendarnych klubów Fridge i Roxy, w których narodziła się muzyka punkowa; Michaela Nymana, kompozytora, który swe polskie korzenie odkrył dopiero nie-

dawno; producenta filmowego Petera Fudakowskiego (którego „Tsotsi” dostał w 2006 roku Oscara); robiącej filmy historyczne dla BBC Wandy Kościł-Rostowskiej (żony naszego ministra finansów) czy Adama Ficka, perkusisty popularnego zespołu rockowego Babyshambles. Lepiarz żałuje, że nie udało mu się sfotografować mieszkającego pod Londynem Leszka Kołakowskiego – zmarł tydzień przed planowaną sesją zdjęciową.

Projektem Lepiarza zainteresowała się British Library, która chce zarchiwizować portrety słynnych londyńczyków o polskich korzeniach. W planie jest również sfotografowanie zwyczajnych z kulturą Brytyjczyków i Irlandczyków o polskich korzeniach spoza Londynu.



Nie bluguje, naprawdę jest dowódcą, za to takim, co bluguje

Ten, co fruwa i dowodzi

Był przeciwnikiem Toma Cruise'a z „Top Gun”. Jest szefem wojskowym największego obszaru na świecie

KIEDY PRAWIE CIEWIERĆ WIEKU temu krącono „Top Gun”, Willard jako jeden z najbardziej doświadczonych pilotów F-14 (należał do jednostki, która swego imienia uczyniła produkcję z Cruise'em w roli głównej) został głównym konsultantem filmu do spraw ewolucji lotniczych. Niektóre akrobacje na planie filmowym wymyślił w ten sposób, iż było wiadomo, że będzie mógł je wykonać tylko on sam. Choć w karierze Roberta F. Willarda występ w „Top Gun” był jedynym filmowym epizodem, to trzeba przyznać, że finałowa scena walki z Tomem Cruise'em do dziś zapiera dech w piersiach.

O Willardzie nikt by już pewnie później nie słyszał, gdyby nie oszałamiająca kariera wojskowa. Niedawno został dowódcą wojsk Stanów Zjednoczonych na rejon Pacyfiku. Obszar, za który odpowiada, ma 100 milionów mil kwadratowych, a do jego natychmiastowej dyspozycji jest 170 jednostek morskich oraz 1300 samolotów. Wcześniej zdobył sympatię amerykańskiej opinii publicznej, gdy jako dowódca USS „Abraham Lincoln” (okręt i lotniskowiec atomowy o długości 330 metrów i załodze liczącej ponad 3 tysiące marynarzy) pisał... blog. Można go polecić raczej tylko miłośnikom wojskowości, ale sam fakt romansu admirała z Internetem budzi szacunek (<http://ratpac.blogspot.com/>). Część wpisów ma też formę podkastów (<http://www.cpf.navy.mil/ratpac/archive.html>). – ch

Cage się wyprzedaje

I to po kryzysowo niskich cenach

SMUTNE OCZY NICOLASA CAGE'A OSTATNIO JESZCZE BARDZIEJ posmutniały. Z każdym tygodniem przybywa posiadłości, przed którymi znany z podbojów na rynku nieruchomości gwiazdor filmowy jest zmuszony stawiać tabliczkę „do sprzedaży”. Ceny nabywanych w czasie wyżu ekonomicznego willi lecą bowiem na łeb i na szyję. Pochodzący z XI wieku zamek w Bawarii Cage'a stracił na wartości 150 tysięcy dolarów, posiadłość w Somerset – blisko dwa miliony. Pieniądze są zaś aktorowi pilnie potrzebne, bo narobił sobie długów; w dodatku czeka go drogi proces z byłym doradcą finansowym. Nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło. Laureat Oscara („Zostawić Las Vegas”) prezentował ostatnio na ekranie wyjątkowo kiepską formę („Next”, „Ghost Rider”), a nie od dziś wiadomo, że naj- lepszych artystów poznaje się... w biedzie. – kp



NIENZANE O ZNANYCH, CZYLI SKOK W BOK

BAJKOPISARZ Z KRAINY MROKU

O LĘKU PRZED SEKSEM, ŚMIERCIĄ I HOTELOWĄ ŁAZIENKĄ



Olga Woźniak

Nie w moim przekonaniu tak bardzo nie oddaje nastroju listopada jak bajki Hansa Christiana Andersena. Od kiedy mój syn dostał je w prezencie, starannie omijam to dzieło na półce, wyszukując jakąś inną lekturę na dobranoc. Pamiętam, w jaki nastrój wprowadzały mnie w dzieciństwie, i nie mam teraz ochoty tego powtarzać. Te starannie pomijane baśnie natchnęły mnie jednak, by napisać kilka słów o ich twórcy – pisarzu, który dla Duńczyków jest twórcą tak wielkim, jak dla nas Mickiewicz, a którego biografia stosunkowo niedawno została odmitologizowana.

Długoletnie postrzeganie bajkopisarza jako postaci ekliwej i rzewnej, utkanej z mgły i babiego lata zawdzięczamy nie komu innemu jak... jemu samemu. On to właśnie z lubością tworzył swą biografię, pozując na półrealną istotę rodem z mitów i baśni.

Jak wyglądała rzeczywistość? Cóż, myślę, że gdyby znała ją rada pedagogiczna pewnej szkoły podstawowej w Lublinie, nie wybrałaby Andersena na patrona. Bo co to za patron? Bajkopisarz neurotyk. Nieustannie balansujący między depresją a megalomanią, stale cierpiący na ból zębów, niespełniony w miłości biseksualny hipochondryk był człowiekiem, którego biografia mogłaby dostarczyć wielu tematów na pouczające lekcje. Czy jednak odpowiednie dla najmłodszych?

Weźmy na przykład podejście do higieny: Andersen miał obsesję na punkcie rozmaitych chorób, nie głąkał psów, by nie zarazić się czymś obrzydliwym, z tego samego powodu miał kłopot z używaniem łazienek w hotelach (a podróżował wiele) i nie dawał się namówić (wcale nie dlatego, że nie miał ochoty, bo – jak pisał w dzienniku – „krew się w nim burzyła”) na usługi prostytutki. Choć te ostatnie wyraźnie go fascynowały, sądząc z jego znajomości dzielnic uciechy w wielu europejskich miastach, które od-

wiedział. Jego stosunek do seksu był w ogóle osobliwy i trudno byłoby na jego przykładzie przeprowadzić lekcję o wychowaniu seksualnym. Wiele bowiem wskazuje na to, że jego jedyną (i często wykorzystywaną) aktywnością seksualną była masturbacja. Liczbę aktów onanizmu w swym dzienniku zaznaczał znakiem + i można by na tej podstawie pokusić się o stworzenie swobodnego rankingu atrakcyjności poznawanych przez niego ludzi („Spotkanie z Scharffem. Bardzo serdeczny ++”). Andersen – co długo przemilczano w jego biografii – był zdecydowanie biseksualny, lecz stosunek seksualny z którąkolwiek z płci napawał go lękiem. Nie była to zresztą jedyna obawa w jego życiu.

Obsesyjnie bał się śmierci i dlatego w podróże zabierał ze sobą dziewięć metrów liny, na wypadek gdyby gdzieś uwięził go pożar lub inna katastrofa. Zasypiając, zwłaszcza w nowych miejscach, umieszczał koło łóżka informację, że śpi – dla tych, którzy mogliby pomyśleć, że umarł, i chcieliby pochować go żywcem.

Od zawsze pragnął uznania: już jako dziecko chodził od domu do domu, proponując, że chętnie coś zaśpiewa lub zatańczy. Marzył, by być baletmistrzem lub aktorem, lecz – przynajmniej – wysoki, z wielkimi stopami, dłońmi i haczykowatym nosem nie miał warunków, by zachwycić dyrektorów teatrów. Jego determinacja i artystyczny ekshibicjonizm doprowadziły jednak do tego, że zyskał kilku bogatych mecenasów, którzy sfinansowali jego naukę. Bywał na salonach, kochał się w książkach (+++), w pewnym momencie Europę opanowała nawet moda na Andersena. Czy spełnił sen brzydkiego kaczątka? Czy kiedy umierał na raka wątroby jako 70-letni prawiczek, był zadowolony ze swojego życia? Możliwe. Choć dalekie było od baśniowej idylli, w którą chciał, by wszyscy wierzyli. □

W tym tygodniu:
ZASTANAWIAMY SIĘ, CZY WARTO WALCZYĆ
O NIEŚMIERTELNOŚĆ, UMIERAMY Z MIŁOŚCI
I TYJEMY NA ZDROWIE

Nguyen
Thi Ngoc ma 13 lat
i jest pierwszym
(opisanym) dzieckiem
z progerią w Wietnamie.
Pochodzi z biednej
rodziny, której nie stać
na leczenie
objawów



Dłuższe życie, ale po co?

Znaleźliśmy już kilkanaście „genów starości”,
ale nie jesteśmy ani o krok bliżej wiecznego
życia. To dobra wiadomość dla wszystkich,
których interesuje... seks

WIECZNA MŁODOŚĆ OLGA WOŹNIAK

BROOKE GREENBERG POSTAWIŁA WSZYSTKICH w stan pogotowia. Bo pomyślcie sami, jaka to gratka – 16-letnia dziewczyna, której ciało wciąż ma półtora roku! Każdy badacz procesów starzenia marzy o takim przypadku. „Zamrożona w czasie”, „wiecznie młoda” – zaczęły się pojawiać komentarze. Rodzice Brooke nie podzielają entuzjazmu naukowców i mediów. Od kilkunastu lat próbują znaleźć specjalistę, który pomoże ich córce. Lekarze rozkładają ręce: przypadłość dziewczynki ochrzczili mianem syndromu X.

16-laska wciąż ma mleczne zęby, a jej mózg od urodzenia niewiele się zmienił. Brooke nie umie mówić, choć potrafi komunikować swoje potrzeby. Wzrost dziewczynki to zaledwie 76 cm, waga – 7,3 kg. Przy tym jej organizm ma naprawdę niezwykle umiejętności.

Kiedy dziewczynka miała pięć lat, w jej mózgu wykryto guz. Z jego powodu wpadła w śpiączkę, która trwała prawie dwa tygodnie. Wybudziła się sama – nie było śladu po nowotworze. Dwa lata później w jej żołądku pękł wrzód, przeszła też udar mózgu. Kilka tygodni potem zaskoczeni lekarze nie mogli odnaleźć śladów uszkodzeń tkanki. Jakby organizm dziecka w cudowny sposób potrafił się regenerować. Badaczki opanowała gorączkowa euforia: trzeba dokładnie obejrzeć jej DNA! Przejrzyjmy gen po genie, aż natrafimy na zmianę, która będzie „wyłącznikiem starości”.

Co znaleźli? Nic. W każdym miejscu genomu, o którym wiadomo, że odpowiada za nasze psucie się i starzenie, wszystko stało w jak najlepszym porządku. Kolejne badania ukazały specjalistom niezwykle obraz: – Stan Brooke nie jest odwrotnością starości – oświadczył niedawno Richard Walker z University of South Florida College of Medicine, który wraz z zespołem opisał przypadek dziewczynki. – Wygląda raczej na to, że rozmaite tkanki jej ciała żyją własnym życiem. Procesy dojrzewania i starzenia się komórek nie są w jej organizmie skoordynowane. Dlatego jej kości wyglądają jak u 10-latki, zęby są jak u 8-letniego dziecka, a mózg – tkankowo

i strukturalnie – znajduje się na etapie rozwoju 9-miesięcznego niemowlaka.

Jeżeli cokolwiek szwankuje w genetycznej maszynierii Brooke, to jest to niepoznany do tej pory gen (lub grupa genów) odpowiedzialny za organizację tego, jak organizm dojrza, dojrzewa i starzeje się jako całość – dyktują naukowcy. Dziewczynce brakuje „genetycznego dyrygenta”, który regulowałby kolejne etapy rozwoju i spajał jej tkanki w harmonijną całość. Jej organizm jest niczym orkiestra, w której każdy instrument gra swoją partię, zupełnie nie zważając na inne.

Brooke Greenberg jest więc bardziej zbłąkana w czasie niż w nim zamrożona. Czy jej niezwykle przypadłość rzuci więcej światła na to, jak działa nasz wewnętrzny czasomierz? Wszyscy mają taką nadzieję. 16-letnie niemowlę jest bowiem tylko kolejnym przystankiem w pościgu nauki za młodością, ale z pewnością nie metą.

Gen nie daje nadziei

Co jakiś czas w badaczach starości budzi się nowa nadzieja. Kilka lat temu był nią gen, który odkryto, szukając przyczyny choroby zwanej progerią. Z punktu widzenia laika może się wydawać, że progeria i syndrom X Brooke Greenberg to dwie strony tego samego medalu. O ile bowiem Brooke wydaje się w ogóle nie starzeć, o tyle dzieci z progerią żyją jakby w przyspieszonym tempie. Pierwsze objawy pojawiają się u nich po skończeniu drugiego roku życia.

Skóra jest pomarszczona, głowa pozbawiona włosów. Z powodu utraty tkanki tłuszczowej nos staje się „ściągnięty”, policzki zapadnięte. Ci młodociani staruszkowie cierpią na sztywność stawów, mają problemy ze stawami biodrowymi. Do repertuaru ich dolegliwości dołączają zwykle krwawienia z nosa, bóle głowy, miażdżycę i schorzenia układu krążenia.

Co ciekawe, mimo wielu cech starczych osoby chorujące na progerię nie zapadają na schorzenia typowe dla podeszłego wieku:

nowotwory czy choroby neurodegeneracyjne. Rozwój umysłowy tych dzieci odpowiada ich wiekowi zapisanemu w metryce, a iloraz inteligencji jest zwykle powyżej przeciętnej. Koszmar, prawda?

Mama Brooke Greensberg w jednym z telewizyjnych wywiadów opowiadała, że każdy rok z życia swej córki stara się traktować jak miesiąc. Matki dzieci z progerią mają dokładnie odwrotny problem – wiek ciała ich chorych dzieci zmienia się o 8–10 lat na każdy przeżyty rok. Umierają (najczęściej z powodu udaru mózgu czy zawału mięśnia sercowego) jako „90-letni” nastolatki.

Gen progerii został odkryty w 2003 roku niezależnie od siebie przez dwie grupy naukowców. Wiązano z nim duże nadzieje na pokonanie starości. Okazało się, że za przyspieszone starzenie odpowiada tu jedna mała przestawka sześciu milionów cegiełek nukleotydów budujących jeden z genów na 1. chromosomie (każdy z nas ma 30 tysięcy genów, na które składa się blisko trzy miliardy nukleotydów, sześć milionów to w tym kontekście naprawdę niewiele). Gen ten odpowiada za produkcję białka, które stabilizuje błonę otaczającą jądro w komórce, a jego mutacje powodują zaburzenia w strukturze i funkcjach jądra komórkowego, czego efektem jest przedwczesne starzenie się organizmu. I chyba także starzenie się w ogóle, bo – jak pokazują najnowsze badania – u zdrowych osób w podeszłym wieku (choć doświadczenia prowadzono raczej na wiekowych szczurach i nieniciach) owo komórkowe białko degeneruje się w podobny sposób jak u dzieci z progerią.

Czy coś praktycznego wynika dla nas z tej wiedzy? – Myślałam, że kiedy uda się już ustalić przyczynę progerii, od stworzenia leku na starość będzie nas dzielił mały krok – mówi w jednym z wywiadów Leslie Gordon, lekarzka, która poświęciła się badaniu progerii, kiedy u jej 21-miesięcznego syna zdiagnozowano tę chorobę. Razem z mężem założyła w tym celu Fundację Badań nad Progerią. – Nasze odkrycie było dla mnie niezwykle frustrujące – wyznała Gordon. – Nie dało nadziei na lek. →



Brooke to dziecko zagubione w czasie.
Każda część jej ciała jest w innym wieku

Jak opóźnić starość

Niektóre nasze rady są dość radykalne, ale dla zdesperowanych nie ma rzeczy niemożliwych

jedz mniej – ale tylko, jeśli jesteś otyły. Mniej kaloryczna dieta przedłuża życie tylko otyłym (w dodatku myszom) – wynika z badań przeprowadzonych przez naukowców z University of Southern California oraz North Texas Health Science Center. Szczupłe myszy – a prawdopodobnie także szczupli ludzie – nie odnoszą korzyści z niskokalorycznej diety. Wcześniej uważano, że niedojadanie hamuje procesy starzenia, tymczasem dla chudych może ono być bezcelowe, frustrujące, a nawet niebezpieczne.



Naukowcy porównali długość życia oraz kaloryczność diety dwóch zmienionych genetycznie szczepów myszy. Genetycznie otyły szczep w dorosłym życiu podwaja mniej więcej swoją masę ciała. W tym przypadku ograniczenia żywieniowe przyniosły korzystny skutek. Natomiast „szczupły” szczep DBA/2 nie ma tendencji do tycia, a głodzenie nie sprawia, że żyje dłużej

ruszaj się – wysiłek fizyczny jest świetny dla serca, naczyni krwionośnych i płuc, obniża ryzyko zawału i nadciśnienia oraz różnych chorób związanych z siedzącym trybem życia. Pozytywnie wpływa też na kości i stawy (pod warunkiem że wybierając się na gimnastykę, już



nie mamy zaawansowanej osteoporozy)

miej córkę – z Programu Badań Polskich Stulatków prowadzonych w Międzynarodowym Instytucie Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie wynika, że zdecydowanie łatwiej dożyć setki, mając córkę. Córki chętniej opiekują się swoimi starszymi rodzicami. Wielu stulatków mieszka ze swoimi córkami. Dzięki temu są oni w lepszej kondycji psychicznej i fizycznej

pij czerwone wino – kieliszek czerwonego wina dziennie (tu więcej nie znaczy lepiej) zmniejsza ryzyko zarówno zawału serca, jak i alzheimera. To zaskądli przeciwnicy takich jak resweratrol, które znajdują się w skórcie winogron i potrafią chronić komórki nerwowe przed uszkodzeniem. Jeszcze skuteczniejsze okazały się wielonienasycone kwasy tłuszczowe omega-3 występujące w rybach, tranie i soi. Mogą hamować degenerację mózgu u osób z demencją

nie rośnij duży – jeśli ci się uda, bo niżsi żyją dłu-

żej. Wynika to z działania hormonu wpływającego na nasz wzrost – insulinopodobnego czynnika wzrostu 1 (IGF-1). Oddziałuje on praktycznie na każdą komórkę naszego organizmu i jest czynnikiem, który reguluje procesy wzrostu w okresie dzieciństwa, natomiast u osób dorosłych bierze udział w rozwoju i odbudowie tkanek. Mutacje genetyczne, które zmniejszają wydajność IGF-1 i współpracujących z nim białek, dają dwa efekty: ograniczają wzrost, a zarazem przedłużają życie. Naukowcy z Collegium Medycznego Alberta Einsteina przebadali 384 długowiecznych Żydów aszkenazyjskich (w wieku 95–108 lat) oraz ich dzieci, w liczbie 288. W ramach kontroli przebadano też 312 Żydów, którzy nie pochodzili z rodzin długowiecznych, ale byli dobrani pod względem wieku i płci do potomstwa stulatków.

Porównanie wykazało, że długowieczni Żydzi oraz ich potomkowie częściej mieli mutacje w genie kodującym receptor dla IGF-1. Prowadziło to do spadku wrażliwości receptora na działanie hormonu. Mutacje występowały głównie u kobiet i wiązały się ze wzrostem średnio o 2,5 cm niższym niż w grupie kontrolnej

ubezpiecz się – tak, to dość drastyczne, ale kastracja (co udowodniono jednak na razie na świnkach morskich, kotach, psach i szczurach) przedłuża życie



→ Podobnie zresztą jak zrozumienie genetycznych podstaw choroby takiej jak zespół Wernera (zwanego też czasem starzeniem z szybkim przyspieszeniem – *fast forward aging*). Cierpiący na nią ludzie przechodzą przekwitanie koło dwudziestki, a jako 30-latkowie borykają się z osteoporozą, zaćmą, zwyrodnieniem stawów i innymi „atrakcjami” starości.

Starość za seks

Co mówią nam te ekstremalne przypadki? Że mechanizmy odpowiedzialne za proces starzenia są o wiele bardziej skomplikowane, niż przypuszczamy.

Genów w jakiś sposób uwikłanych w starzenie się organizmu znamy już przynajmniej kilkanaście. Kłopot w tym, że cała ta wiedza przypomina puzzle, w których wciąż przybywa elementów. Naukowcy co rusz wyciągają nowe w nadziei, że z ich pomocą uda się połączyć kawałki niepasujące do pozostałych.

Czy więc nie ma szans na to, że uda nam się zatrzymać (przynajmniej w naszych ciałach) nieubłagane biegący czas? Doświadczenia przeprowadzane w laboratoriach (choć na razie jedynie na sędziwych myszach, robakach i muszkach owocowych) podlewane od czasu do czasu gotówką jakiegoś desperowanego wiekowego milionera dają odrobinę nadziei. Od tego, czy nam się uda, ważniejsze wydaje się jednak pytanie: czy w ogóle warto się starać? Skoro natura zaprojektowała nasze ciała jako śmiertelne, nieśmiertelność musiała być jej z jakiegoś powodu nie na rękę.

Biologowie tłumaczą to tak: istotą trwania naszego gatunku jest jego zmienność, tasowanie się genów, tworzenie wciąż nowych kombinacji, eliminacja defektów, co jest możliwe tylko przy ciągłej wymianie kolejnych pokoleń. Gdybyśmy mieli żyć wiecznie, to ogromną ilość energii musielibyśmy wydawać na ciągłe naprawianie pojawiających się w naszych komórkach błędów prowadzących do chorób i śmierci. Byłoby to tak kosztowne, że prawdopodobnie nie starczyłoby nam zasobów na... rozmnażanie. Zatem starość – będąca zbiorczym określeniem na rozmaite mechanizmy psujące nasz organizm – jest ceną za... seks (Warto pamiętać, że wykastrowane zwierzęta żyją średnio dłużej od swych niepozbawionych płodności pobratymców). Za wszelkie próby przedłużania życia (na przykład niskokaloryczną dietę, która – jak dowiedziano na zwierzętach – nieźle działa) także płaci się spadkiem zdolności reprodukcyjnych.

Czy przehytrzymy ewolucję?

Biorąc pod uwagę sukcesy biologii reprodukcyjnej – możliwe, że tak. Wszak najstarsza matka na świecie miała 70 lat, kiedy urodziła swe dziecko poczęte metodą in vitro. Ciągłe przesuwamy swoją zdolność do reprodukcji (choć nie jest to wcale łatwe), może i starość uda się trochę przepchnąć.

Czy w oczekiwaniu na cud możemy coś dla siebie zrobić? Hmm... sposobów jest wiele: jedni polecają łykanie witamin, inni wysiłek fizyczny, jeszcze kolejni namawiają nas, byśmy dbali o sprawność umysłową. Co zśkodzi spróbować? A nuż pozwoli nam to doczekać czasów, kiedy życzenia „stu lat” wydawać się będą co najmniej niestosowne.

Twój tłuszcz, twój przyjaciel

Wewnętrzne fuj i ukryte ble? Pohamuj niechęć. Zamiast go unikać, poznaj drugie, jakże godne szacunku, oblicze tłuszczu

Nie na to nie poradzimy, że jesteśmy potomkami ludzi, którzy mieli obsesję jedzenia. Przez tysiące lat umiejętność rozbicia zapasów była niezbędna, bo każdy kolejny posiłek stał pod znakiem zapytania. Szanse na przeżycie mieli ci, którzy potrafili magazynować pożywienie. Oczywiście najskuteczniejsze było przechowywanie jedzenia tak, by nikt nie mógł go nam zabrać – najlepiej w postaci fałd tłuszczu. Tu źródło energii było dosłownie pod ręką (właściwie – pod skórą).

Dobór naturalny promował tych, którzy lepiej radzili sobie z okresami głodu. Inni ginęli i tyle o nich wiemy. Dziś większość z nas nie musi robić weków, bo i tak obrasta w osobistą spiżarnię. Ale to nie cała prawda o tłuszczu. Nie myśl, że fałdki są anachronizmem, bo żyjesz w czasach, gdy zapasy są niepotrzebne. Tłuszcz nie jest jedynie magazynem energii. Jeśli coś stanowi jedną czwartą naszego ciała, to musi ciężko pracować na swoją rację bytu.

Dyskretny urok tłuszczu

Pod skórą to świetny izolator termiczny. Z kolei w jamie brzusznej jego rola to osłona narządów wewnętrznych przed urazami. Gdyby nie amortyzacja, każdy upadek kończyłby się uszkodzeniem jelit, wątroby lub nerek. U osoby zdrowej tłuszcz wszędzie: wyściela gałkę oczną i stawy, otula ciętych chłonnę, opłata nacynia krwionośne i system nerwowy. Chroni nawet opuszkę palców.

Długo myślnie, że praca adipocytów, czyli komórek przechowujących krople kwasów tłuszczowych to tylko magazynowanie. Odkrycia lat 90. wywróciły ten pogląd do góry nogami. Okazało się, że tkanka tłuszczowa jest bardzo zapracowana i właściwie należy ją traktować jak pełnoprawny narząd. Podobnie jak tarczyca lub wątroba, adipocyty wydzielają hormony. Pierwszym poznany był leptyna, która informuje mózg, że mamy wystarczające zapasy. Chłopcom odpowiedni jej poziom umożliwia stanie się mężczyzną. Dziewczynki bez wystarczającej ilości leptyny nie mogą zacząć miesiączkować. Leptyna bierze udział również w działaniu układu odpornościowego i wspomaga walkę z infekcją. Gdy jej brakuje lub odpowiednie receptory przestają być na nią wrażliwe, tyjesz i grozi ci cukrzyca.

Tkanka tłuszczowa reguluje metabolizm, czyli gospodarowanie cukrami i tłuszczami. Prócz leptyny wydziela jeszcze ponad sto innych substancji. Umożliwiają one komunikację z różnymi częściami organizmu: przewodem pokarmowym, przysadką mózgową, wątrobą. Wszystko



po to, by dbać, aby w twoim organizmie utrzymywała się równowaga energetyczna. Co to oznacza w praktyce? Subtelna sieć oddziaływań między wydzielanymi związkami i narządami sprawia, że twoja krew przenosi odpowiednią ilość cukrów i lipidów, a jesteś głodny tylko wtedy, gdy twojemu ciału brakuje energii. Często tyjemy właśnie wtedy, gdy któryś z elementów tej skomplikowanej układanki szwankuje. Niestety, zarówno przejadanie się, jak i głodzenie może prowadzić do zaburzeń.

– Na każdy sygnał głodu lub przesyty tkanka tłuszczowa musi odpowiedzieć z odpowiednią siłą. Gdy tej tkanki jest za mało, sygnał jest za słaby. Gdy mamy jej dużo nadmiar, dochodzi do rozregulowania całej tej złożonej kontroli – tłumaczy doktor Rafał Derlacz z Zakładu Regulacji Metabolizmu Uniwersytetu Warszawskiego.

Grube dzieci chudych mam

A gdyby tak całkiem się tłuszczu pozbyć? Duża część z nas z uporem godnym lepszej sprawy robi wszystko, by zminimalizować jego ilość w swoim ciele. Niestety, niektórzy są w tym zbyt skuteczni. Anoreksja przez ogólne wyniszczenie zabija człowieka na raty. Ale na przykład kulturyści i kolarze ograniczają ilość tkanki tłuszczowej praktycznie do zera i świetnie im się wiedzie. Według doktora Derlacza mogą sobie na to pozwolić tylko dzielni sztabowi lekarzy i trenerów. To oni zamiast wewnętrznej regulacji hormonalnej dbają o odpowiednie i regularne odżywianie.

– Kłopot będą mieć wtedy, gdy zabraknie im opieki fachowców – ostrzega doktor Derlacz. – Tkanka tłuszczowa nie odbuduje się z dnia na dzień, a konsekwencje rozregulowanego metabolizmu są dużym zagrożeniem dla zdrowia, a nawet życia.

Tak jest też u osób cierpiących na lipodystrofię. Ich organizm w ogóle nie odkłada tłuszczu, bo nie umie. Naprawdę nie ma im czego zazdrościć. Nie dość, że są wiecznie głodni, zziębnięci i bezpłodni, to jeszcze zwykłe mają cukrzycę i uszkodzoną wątrobę.

Nie tylko przypadki lipodystrofii pokazują wagę posiadania tłuszczu. Kliniki leczące bezpłodność donoszą, że więcej problemów z zacięciem w ciążę mają kobiety bardzo szczupłe. Organizm „unikaj” ciąży, jeśli nie jest pewny, że ma odpowiednie zapasy, by ją donosić. Mimo to u przesadnie szczupłych mam może dojść do zapłodnienia. Na ironię losu zakrawa fakt, że właśnie ich dzieci będą miały prawdopodobnie skłonności do tycia!

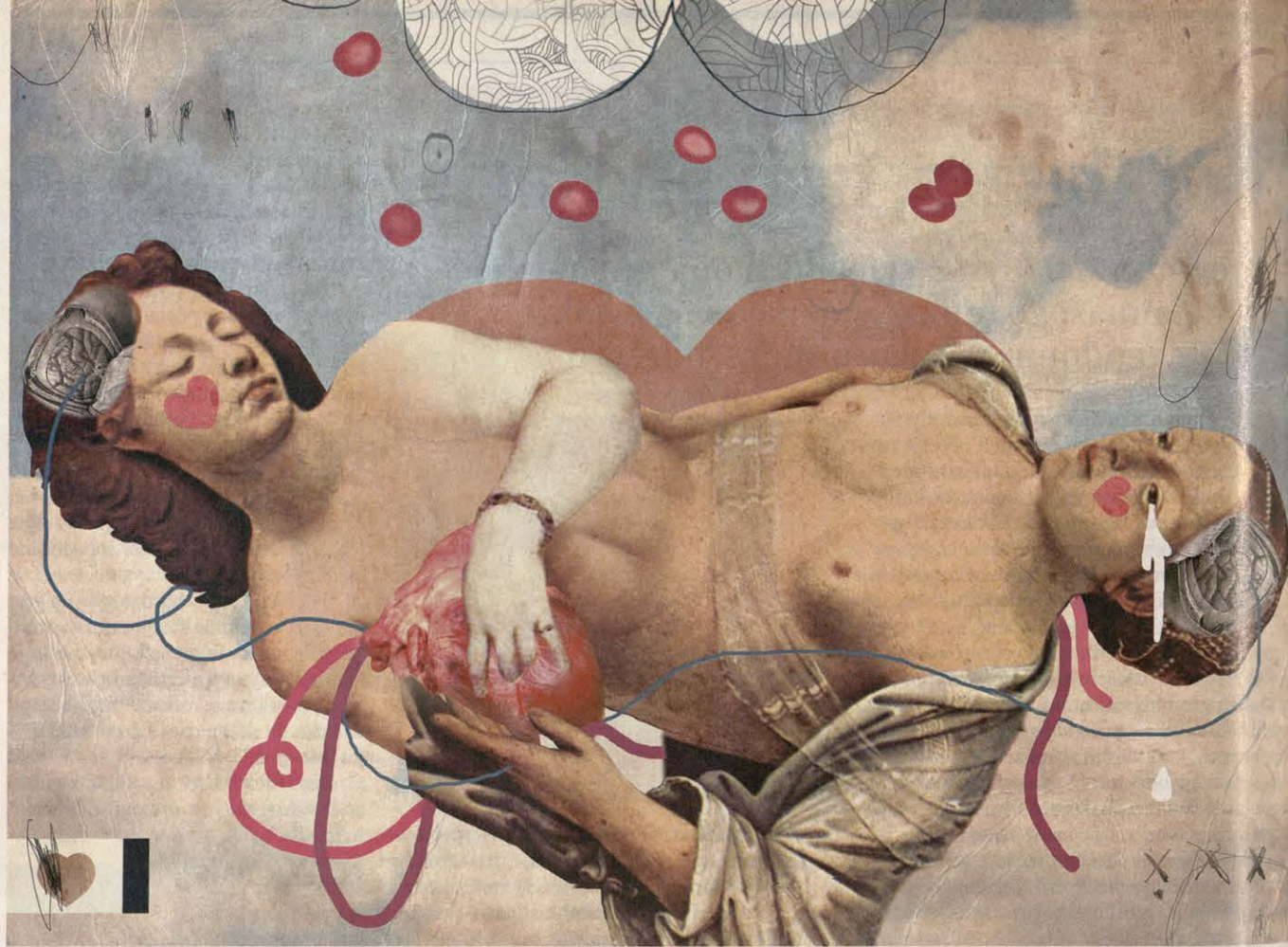
W czasie ciąży bardzo ważna jest dla dziecka komunikacja z ciałem matki. Odpowiednie związki, wydzielane między innymi przez tkankę tłuszczową, programują mózg i metabolizm dziecka. Brak tłuszczu stanowi dla płodu informację: rób zapasy, kiedy tylko możesz. Efekt? Urocze, pulchne rączki w dzieciństwie i zmora nadwagi przez resztę życia.

Tłuszczu ile trzeba

Na pewno znasz kogoś, kto objada się jak szalony, nie tyje i zawsze jest mu gorąco. Irytujące, prawda? To działa tłuszcz brunatny. Ta tkanka też składa się z adipocytów, ale zamiast magazynować energię, pełni funkcję elektrociepłowni. Spala kwasy tłuszczowe wyłącznie w celu ogrzewania organizmu. Jest obecna u dzieci, lecz potem zwykle zanika.

– Odbudowanie tej tkanki u dorosłych jest jednak możliwe – pociesza doktor Derlacz. – Przykładem są polarnicy. Długotrwały chłód powoduje konieczność ciągłego ogrzewania ciała. To z kolei może stymulować odbudowanie brunatnej tkanki tłuszczowej.

Jest czy nie jeść? Oczywiście, że tak. Organizm dobrze radzi sobie z przekształcaniem cukrów w tłuszcz i nie potrzeba go spożywać specjalnie w tym celu. Jednak jego rola to nie tylko dostarczanie energii. Nie przyswajamy części witamin, jeśli nie trafią one do jelić cienkiego właśnie w jego towarzystwie. Jak zwykle w życiu, najważniejszy jest umiar. Zdrowy poziom tłuszczu w ciele mężczyzny to 15–20 procent, a u kobiet nawet 25. Bez względu na to, czy spodziewasz się dziecka, trenujesz do Wyścigu Pokoju, czy jedynie chcesz się zmieścić w mniejszym rozmiarze, pomyśl trzy razy, zanim wypowiesz wojnę swojemu tłuszczowi. Zwycięstwo może okazać się istic pyrrusowe. □



UCZUCIA I MEDYCYNĄ TEKST PIOTR KOSSOBUDZKI, ILUSTRACJA MARTA GLIWŃSKA

Miłość to jednak choroba

Poraża głównie młodych, choć czasem też seniorów. Atakuje układ krążenia, hormonalny i nerwowy. Przenosi się częściej między osobnikami przeciwnej płci, ale i to nie jest regułą

Helen Fisher, antropolog biologiczny z Rutgers University, od lat bez emocji sprawdza, czym różni się praca mózgu osoby zakochanej od zupełnie zdrowej i „normalnej”. Co to znaczy, że sprawdza „bez emocji”? Oto próba jej artykułu: „Aby zbadać konstelację korelacji nerwowych związanych z miłością romantyczną, Fisher, Aron, Brown i współpracownicy zrekrutowali 10 kobiet i 7 mężczyzn, którzy byli silnie zakochani. Zakres ich wieku wynosił 18–26 lat (średnia = 20,6; mediana = 21), deklarowana długość „czasu zakochania” wynosiła 1–17 miesięcy (średnia = 7,4; mediana = 7). Każdy uczestnik został poddany ustnemu wywiadowi w formacie półustrukturyzowanym, by określić czas, intensywność i zakres jego/jej odczucia miłości romantycznej. Każdy używał także kwestio-

nariusza Skala Żarliwej Miłości (*Passionate Love Scale* – PLS), mierzącego w 9-stopniowej skali Likerta cechy powszechnie związane z miłością romantyczną (Hatfield & Sprecher 1986)”. Hm, bardzo romantyczne podejście. Dalej było jeszcze ciekawiej: po takim przygotowaniu delikwenci byli pakowani do rezonansu magnetycznego, w którym kazano im na zmianę wpatrywać się w zdjęcie ukochanej (ukochanego) albo innej znajomej osoby niebudzącej żarliwych uczuć. W tym czasie naukowcy sprawdzali, jakie rejony mózgu ulegają aktywacji.

Kocham cię z całego jądra

Oczywiście miłość nie mieszka w sercu, tylko w brzusznej nakrywce śródmózgowia i w jądrze ogoniastym. Te właśnie rejony pobudzają się tylko u osób zakochanych pod wpływem

zdjęcia obiektu westchnień. Na dodatek zakochani musieli być wówczas pod wpływem wyłącznie romantycznych uczuć, bo myśli o seksie uruchamiają zupełnie inne obszary.

Brzuszna nakrywka śródmózgowia i jądro ogoniaste to część struktur, które nabyliśmy bardzo dawno w ewolucji, a które tworzą tak zwany układ nagrody. To system, dzięki któremu możemy odczuwać przyjemność i ukojenie, gdy zaspokoimy jakąś potrzebę. Odkrycie to wyjaśnia stan błędnego odurzenia osób zakochanych, ich oderwanie od rzeczywistości i graniczącą z uzależnieniem potrzebę ciągłej bliskości z ukochanym. Bo układ nagrody odpowiada także za nałogi – zbyt pobudzony domaga się ciągłego dostarczania bodźca i nie ulega wyciszeniu. To właśnie na te rejony mózgu działają kokaina czy amfetamina.

Co ciekawe, miłość i brzuszna nakrywka śródmózgowia idą w parze nie tylko u ludzi. Japońscy biolodzy zbadali, co dzieje się w mózgu samców małych ptaków, zeberek, gdy wykonyują godową pieśń. Gdy gwizdają tak sobie, w ramach rozpoznania, to nie szczególnie. Ale gdy wyśpiewują wpatrzni w potencjalną partnerkę, to nakrywka w mózgu aż im się gotuje. Zatraca ją w śpiewie, dostarczając sobie przy okazji przyjemnych bodźców i wzmacniając swój związek z samyczką.

„Miłość jest poważną chorobą psychiczną” – mawiał Platon. Jeśli tak, to nie powinna umknąć uwadze psychiatrów. No i nie umyka-

Zakochany ciągle myśli o obiekcie swych uczuć, wystaje pod jego oknem; gdy nie ma go w pobliżu, nie może normalnie funkcjonować. Co my tu mamy: uporczywe myśli, od których nie można się uwolnić? Powtarzanie w kółko rytualne zachowania mimo poczucia ich bezsensu? Tak przecież definiuje się zaburzenia obsesyjno-kompulsyjne, czyli nerwice natrętw! (Choć przejawem tej ostatniej jest na przykład mycie rąk po kilkadziesiąt razy dziennie lub wielokrotne poprawianie nieistniejących fałd na ubraniu). Podobnym tropem musiały biec myśli Donatelli Marazziti, włoskiej psychiatry z Uniwersytetu w Pizie. Porównała ona trzy grupy osób: niezakochanych, zakochanych oraz chorych na nerwicę natrętw. Sprawdzała, jak wygląda u nich stężenie serotoniny – jednej z substancji kluczowych dla przekazywania sygnałów między komórkami nerwowymi. Okazało się, że dwie ostatnie grupy mają bardzo podobną, niższą od normalnej ilość serotoniny we krwi.

Półtora roku i po sprawie?

Skoro jest różnica w stężeniu serotoniny, to może i inne hormony u zakochanych także odbiegają od normy? Marazziti z zespołem zrobiła gruntowny przegląd hormonalny kilkudziesięciu osobom, wśród których były zarówno niedawno trafione strzałą Amora, mające długi staż w związku, jak i te zimne jak glaz. Powszechne przekonanie, że u zakochanych „hormony szaleją”, potwierdziło się, choć tylko częściowo.

Stężenia estradiolu, progesteronu, DHEA i androstendionu były na przykład bardzo zbliżone u wszystkich badanych. Jednak u zakochanych wyraźnie skakał kortyzol i spadał poziom hormonu FSH. To klasyczna reakcja organizmu na... stres! Cóż, najwyraźniej wpadanie w objęcia nowej miłości nie jest takie łatwe. Ciekawe były też wyniki dla testosteronu: u mężczyzn płonących uczuciem spadał (miłość łagodzi obyczaje?), zaś u kobiet – rósł (boję się to interpretować). Jeśli jednak obawiacie się tej burzy hormonów, pozostają wam dwa rozwiązania: nie zakochiwać się albo po prostu poczekać. – Wystarczy 12–18 miesięcy i wszystko wróci do normy – pociesza psychiatr z Pizy. Na szczęście uczucie potrafi pozostać na dłużej, już bez hormonalnego zamieszania.

Miłość u kardiologa

Gorzej, jeśli zakochamy się bez wzajemności. Wówczas oprócz depresji, bezsenności i stanów obsesyjnych grozi nam złamane serce. Do takiej sytuacji dochodzi po bardzo silnym przeżyciu, na przykład po zerwaniu czy śmierci bliskiej osoby, a ofiarami są głównie kobiety. Trafiają do szpitala z objawami silnego zawału: skarżą się na duszności i bóle za mostkiem, mają kiepskie EKG, a serce wyrzuca co najwyżej połowę krwi, którą powinno. Lekarz zleca oznaczenie markerów zawału we krwi (substancji wydzielanych przez

uszkodzone serce) – i wszystko wydaje się w porządku! Robi koronografię i... okazuje się, że tętnice wieńcowe są drożne. – Co się dzieje? – myśli kardiolog, bo jednak serce pacjentki dalekie jest od normalności. Na zdjęciach lub na ekranie widać rozkurczoną, bezwładną koniuszkową część lewej komory i rozpaczliwie kurczący się jej fragment od strony przedsionków. Jeśli powiążemy te fakty ze stresem pacjentki, diagnoza stanie się dużo łatwiejsza: to tak zwany zespół złamanego serca, zwany także zespołem tako-tsubo.

Skąd taka dziwaczna nazwa? Może od nazwiska jakiegoś dalekowschodniego twórcy miłosnych wierszy? Niezupełnie, tako-tsubo to tradycyjna japońska... pułapka na ośmiornice. Jej związek z miłością i sercem jest dość nieoczywisty, dopóki nie spojrzysz na wyniki echa serca albo angiografii cierpiących na tę przypadłość. Od razu widać rozdęty koniuszek lewej komory i ściśnięty jej wierzchołek. A tako-tsubo to właśnie rodzaj dzbana z pękłą dolną częścią i węższą szyjką. Za-

skakujące zjawisko niby-zawału wskutek stresu pierwszy raz opisali japońscy lekarze w 1991 roku, ale dopiero 10 lat później medycyna zaakceptowała (i próbowała wyjaśnić) jego istnienie. Na razie nie wiemy, co zmienia serce w dzbanek na ośmiornicę. Amerykański kardiolog Ilan Wittstein stwierdził w 2005 roku, że do częściowego paraliżu serca może prowadzić wielodniowe narażenie na duże ilości adrenaliny, dopaminy i noradrenaliny wydzielanych podczas stresu. Jeżeli takiego pacjenta objąć opieką kardiologa, podawać mu leki łagodzące objawy zaburzenia, to dojdzie do siebie w ciągu najwyższej kilku tygodni – i to bez śladu po problemie! Ale jeśli zostawić go samemu sobie – może umrzeć.

Przez lata „złamane serce” oraz „śmierć z miłości” były tylko poetycką przenośnią. Dziś weszły do języka lekarzy zupełnie dosłownie. Ciekawe, kiedy powstaną specjalistyczne poradnie kompleksowo leczące ze skutków nieszczęśliwego zakochania? Szpital imienia Młodego Wertera – to byłoby coś! □

WYLECZ SIĘ Z MIŁOŚCI

Przychodzi do pana beznadziejnie zakochany pacjent. Przez to nie może normalnie funkcjonować, zawała pracę, nie śpi. Jak go z tego uczucia wyleczyć?

– Chyba jeszcze nikt nie wpadł na pomysł, żeby leczyć z zakochania. Natomiast z pewnych konsekwencji, z tego, że człowiek jest bezradny wobec swoich emocji – jak najbardziej. Większość ludzi jakoś sobie poradzi. Człowiek powie w którymś momencie: „Cholera, obiekt uczuć jest nieosiągalny, muszę o nim zapomnieć”. Będzie płakał przez kilka dni, nie spał, palił więcej papierosów, może parę razy się upije, ale czas zrobi swoje i będzie żył dalej.

Jednak nieszczęśliwa miłość powoduje, że cierpimy; mogą pojawić się obsesyjne myśli, stany depresyjne czy inne silne stany emocjonalne, które mogą prowokować do działań autodestrukcyjnych. Nie miałem jeszcze przypadku, żeby u pacjenta w ramach zakochania rozwinął się na przykład pełny zespół obsesyjny czy obsesyjno-kompulsyjny. Ale stres związany ze zranioną miłością, zakochaniem się w nieodpowiednim (toksycznym) mężczyźnie czy kobiecie zdarza się regularnie.

I co wtedy? Najpierw leki czy psychoterapia?

– To zależy od tego, co bym stwierdził i na jakim poziomie zaawansowania. Jeśli

pacjent tylko nie może dojść do ładu z pewnymi emocjami, to wystarczy psychoterapia – kilka spotkań, żeby mu na przykład uświadomić pewną nieprawidłowość jego myślenia, które jest nierealistyczne, życzeniowe. Ale w sytuacjach, kiedy nasilenie stanów napięcia czy lękowych jest duże, wchodzimy z lekami. Czasem wystarczą typowe leki uspokajające przez kilka dni, żeby się człowiek wyciszył, spotkał się z rzeczywistością. A czasem, gdy dochodzi do eskalacji problemu, potrzeba leków przeciwdepresyjnych czy przeciwnerwowych.

A w przypadku obsesyjnych myśli o jakiejś osobie?

– Wtedy większą skuteczność wykazują leki niż psychoterapia. To mogą być leki ze starszej grupy leków trójęcyklicznych. A z nowszych najczęściej stosowane inhibitory zwrotnego wychwytu serotoniny (SSRI). Przynajmniej kilka z tej grupy leków ma dobre działanie przeciwdepresyjne, przeciwłękowe i również antyobsesyjne. Bo czasem trzeba wyeliminować te myśli, które bezproduktywnie krążą i na przykład uniemożliwiają człowiekowi spanie. Wtedy taka interwencja jest ze wszech miar wskazana. Zresztą, trudno tak dzielić pacjentów, że jednemu dajemy leki, a innemu zalecamy psychoterapię – te metody można łączyć. To bardzo zindywidualizowana sprawa.

– not. pks



Doktor Dariusz Wasilewski, psychiatra, dyrektor Centrum Psychoprophylaktyki i Terapii w Warszawie

KORZYSTAJ

WILNO
SCHENGEN
WARSZAWA
DESZCZ
BŁOTO

SAMOCCHÓD FIRMOWY

Samochodem po sieci

W małej firmie nawet najmniejsze pieniądze mają ogromne znaczenie. Oto sposoby na ich oszczędzenie

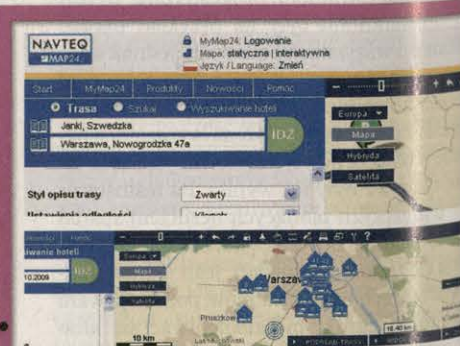
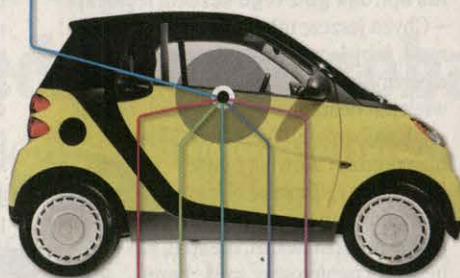
Służbowy samochód to wygoda, ale i wyzwanie. Jak zaplanować przejazd, by zminimalizować koszty, ale też zapewnić sobie niezbędny komfort? Firmy mające rozbudowaną flotę pojazdów używają bardzo zaawansowanych narzędzi, ale w Internecie można znaleźć darmowe serwisy spełniające podobne zadania.

By sprawdzić, jak sprawują się te strony, rzuciliśmy im prawdziwe wyzwanie. Kazaliśmy zaplanować dwudniową podróż wraz z wyszukianiem noclegu i rezerwacją stolików w restauracji. W każdym serwisie chcieliśmy pokonać tę samą trasę: z placu koło centrum handlowego w Wilnie, po powrót do Warszawy pod redakcję „Przekroju” (Janki, plac Szwedzki → Mława, Stary Rynek 19 → Wilno, Kauno Gatvė 10 → Warszawa, ulica Nowogrodzka 47a). Tym razem pominęliśmy oczywisty wybór Google Maps i przyjrzelśmy się konkurencji.



Viamichelin.com

W europejskim Internecie prym wiede Viamichelin.com. Strona pozwala bardzo precyzyjnie przejrzeć i zaplanować podróż. Wyniki wyszukiwania możemy łatwo przesłać e-mailem lub zaimportować do wielu systemów nawigacji satelitarnej. System daje też możliwość szybkiej rezerwacji hoteli. W naszej części Europy gorzej jest z wyborem restauracji, ale znający system rekomendacji Michelin tłumaczą to poziomem rodzimych lokali. Viamichelin zdradza objawy niezdrowego internacjonalizmu: by skrócić drogę, chciał nas pokierować przez Białoruś, za co serdecznie podziękowaliśmy. Wolimy luksusy związane z Schengen. Duża zaleta – dobre zestawienie kosztów podróży.



Map24

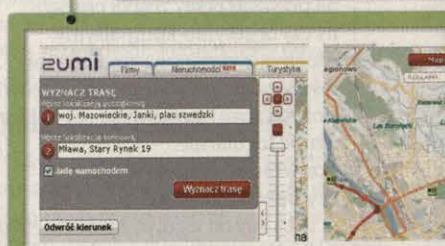
Bardzo przydatne opcje (wybór instytucji, banków, urzędów itd.) posiada Map24.interia.pl. Szkoda tylko, że okno wyświetlające mapy jest, w szczególności w netbookach, niezmiernie małe, w związku z czym szybkie odczytanie mapy, zwłaszcza w drodze, jest niemal niemożliwe. Szkoda, bo rzut terenu 3D to duży krok naprzód w stosunku do konkurencji.

Podobieństwo między interfejsami może mylić, ale różnice funkcjonalności serwisów bywają ogromne



Doceru.pl

Strona Doceru.pl (znajdziesz ją przez Wirtualną Polskę) zachwyca intuicyjnością nawigacji i layoutu, ale ma też i spore minusy. System wskazuje poszczególne ulice, ale nie zna na nich rozkładu budynków. To bardzo poważna wada, o ile bowiem znalezienie Urzędu Miasta w Mławie na Starym Rynku będzie proste, o tyle szukanie biura, gdy wiemy tylko, że jest przy Piotrkowskiej w Łodzi albo Marszałkowskiej w Warszawie, jest raczej upiorne.



Zumi.pl

Zumi.pl jest niezwykle dopracowane i skierowane głównie do świata biznesu. Odnajdowanie firm, a także dodawanie własnych, jest proste i intuicyjne. Rozczarowuje natomiast jednostopniowość planowanej podróży. Tu można przejechać z punktu do punktu, a nie przygotować całą trasę. Z Zumi.pl naszej podróży nie zaplanujemy...

TWARDZIELE DO USŁUG W LEASINGU 3 RATY GRATIS



OD 1901 ROKU SAMOCHODY DOSTAWCZE RENAULT NIEZAWODNIE SŁUŻĄ SWOIM UŻYTKOWNIKOM

Skorzystaj z naszej promocji i dołącz do grona zadowolonych właścicieli. Teraz w salonach Renault możesz kupić samochody dostawcze w wyjątkowej ofercie • Leasing 3 raty gratis • Leasing 2 raty gratis bez wpłaty własnej • Kredyt 50/50 • Atrakcyjne rabaty. Szczegóły w salonach.

Renault eif



Raty miesięczne, bezpłatne raty dotyczą leasingu dla firm w ramach oferty Renault Credit Polska Sp. z o.o. o następujących parametrach: okres leasingu 36, 48, 60 miesięcy; minimalna wpłata wstępna wynosi 20% przy 3 bezpłatnych ratach i 0% przy 48 i 60 ratach; opłata manipulacyjna 1%. Stan na dzień 2.11.2009 r. dla wybranych modeli Renault. Szczegóły oferty u Autoryzowanych Partnerów Renault. Niniejsze ogłoszenie nie stanowi oferty handlowej w rozumieniu przepisów kodeksu cywilnego.

REKLAMA



Targo.pl

Ograniczenie do obszaru Polski jest piętą achillesową tego serwisu. Targo.pl na pierwszy rzut oka wygląda mało przystępnie, jednak warto zostać tu przez dłuższą chwilę i poeksperymentować z różnymi opcjami – mamy tu m.in. znane z Maps.yahoo.com informacje o prędkości, z jaką możemy przemieszczać się w danej chwili po ulicach (na razie tylko Warszawy), co już jest opcją zachwalaną przez szefów firm transportowych.

Na koniec jeden link do strony, która stoi na najwyższym światowym poziomie. Znajdziemy tam wszystkie (!) aktualne wiadomości o wypadkach i przebudowach dróg, informacje pogodowe – łącznie z temperaturą asfaltu oraz ewentualnym alertem nawierzchni – z kilkudziesięciu punktów Polski. Tam na żywo zobaczymy też obraz z podobnej liczby kamer umieszczonych na jezdniach. Do gratulacji dla autorów witryny. Główną Dyrekcję Dróg Krajowych i Autostrad, dołączamy prośbę o zmianę odnośnika z http://www.gddkia.gov.pl/article/serwis_dla_kierowcow/index.php na – na przykład – informacja.gddkia.gov.pl. To naprawdę proste!

Guma bezpieczeństwa

Błoto, śnieg, lód i znowu błoto. I jak tu jeździć?

Wkrótce polska zima, czyli błoto zmieszane ze śniegiem i mrozem. Przy takiej aurze niebagatelnym problemem jest dobór odpowiednich opon zimowych. Te klasyczne, śnieżne, nie najlepiej radzą sobie z mokrym, słonym błotem. Tym problemem stara się zaradzić firma Continental, konstruując opony ContiWinterContact TS 830 P. Zezwóglona jest w stabilizujące bloki poprawiające przyczepność na zakrętach. Z kolei środek opony ma zapewnić oparcie przy ruszaniu i hamowaniu na śniegu czy lodzie. No-

we ContiWinterContact przygotowane są do współpracy z systemami kontroli trakcji – ułożone sinusoidalnie drobne nacięcia, czyli lamele, zaprojektowane tak, by jak najlepiej radziły sobie z przenoszeniem sił powstających w momencie, gdy elektronika samochodu stara się poradzić sobie z sytuacją na drodze. Jednocześnie opona ma proste, szerokie rowki biegnące wzdłuż jej obwodu, dzięki którym może bardzo szybko odprowadzać nadmiar wody. Efekt – niezależnie od tego, co pada i maże się na jezdni, samochód dobrze trzyma się drogi.



→
W tym tygodniu:
DOBRY BIERUT SPAJA TEKST,
MROCZNY UROK THIS IMMORTAL COIL,
MILLENIUM NA EKRANIE,
ASTERIX PÓŁWIECZNY
I EWA KURYLUK W ROZMOWIE Z JANOWSKĄ



POEZJA I PROZA TEKST MARCIN SENDECKI, ILUSTRACJA JAN DZIACZKOWSKI

NOWE PRZYGYODY SMOKA

JEDENAŚCIE DYGRESJI

KRAKÓW BEZ POTWORA NIE BYŁBY KRAKOWEM.

AKTUALNYM SMOKIEM WAWELSKIM JEST MARCIN ŚWIETLICKI, KTÓRY WYDAJE WŁAŚNIE (SAM ORAZ Z KOLEGĄ I KOLEŻANKĄ) NOWE POTWORNE UTWORY

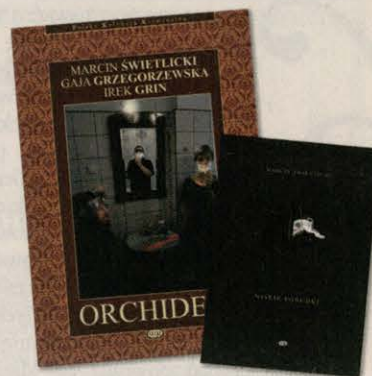
1. 24 GRUDNIA MARCIN ŚWIETLICKI skończy 48 lat. Pierwszą książkę wydał 17 lat temu. W związku z tym wciąż jest jednym z najstarszych wybitnych młodych polskich poetów. Jest też Świetlicki – odkąd w zeszłym roku miasto Gdynia przyznało mu swą literacką nagrodę za kryminalną powieść „Jedenaście” – wybitnym prozaikiem średniego, a może i starszego już pokolenia. Nie może aktualnie zostać Świetlicki (mimo sposobnego wieku, poetyckich zasług, przeszłości i przyszłych nagród) okrzyknięty jednym ze Starych Mistrzów Polskiej Poezji, albowiem chuligani i jest w ogólności niegrzeczny. Tak się przynajmniej utarło na przepastnych wyżynach, gdzie się tytuły Starego Mistrza przyznaje.

2. DO CHULIGAŃSTWA WRÓCIMY, trzeba jednak naprzód powiedzieć, że powodem i pretekstem tego tekstu są dwie (a mogły być trzy, o czym dalej) nowe książki, które się z nazwiskiem Świetlickiego na okładce za chwilę ukazą.

3. ŻEBY SIĘ W AUTORZE i jego publikacjach gruntowniej rozpatrzyć, także trzeba by książki. Albo – żeby się utrzymać w dygresyjnym trybie niniejszego tekstu – dygresji w sam raz czterdziestu i czterech,

a nie (choć symetrycznych i odwołujących się do powieści Świetlickiego) jedenastu. Dlaczego aż tylu? Po pierwsze, wiadomo. Po drugie, od ładnych paru lat właśnie 44 wiersze umieszcza Świetlicki w swoich tomach. Taki znaczący kaprys, na który nie mamy jednakowoż miejsca. Na pocieszenie: właśnie czytają państwo 44. w tym roku numer „Przekroju”.

4. CO DO MIEJSCA, TO JAK WIEMY od Goethego, poetę należy badać w jego środowisku naturalnym. No więc w barze U Księdza przy Małym Rynku w Krakowie Świetlicki opowiada o książce, która się nie ukaze, czyli zrobionym przez siebie wyborze wierszy Jacka Podsiadły. Rzecz była gotowa, Świetlicki napisał wstęp i książka miała iść do druku. Świetlicki, literackim festiwalom zasadniczo niechętny („Staram się unikać takich historii”), zgodził się nawet wystąpić z Podsiadłą na promocji tego wyboru w ramach hucznego Festiwalu Miłosza („Ale bez honorarium, bo jakbym wziął te krakowsko-festiwalowe pieniądze, toby mi potem wypominali i chcieli, żebyśmy na rynku tańczyli i śpiewali, skoro już wziąłem od nich pieniądze”). W ostatniej jednak chwili doszło między wydawcą Irkiem Grinem a Podsiadłą do „różnicy zdań na temat szczegółów umowy” i „Wyboru naturalnego” (tak miała się książka nazywać) nie będzie. (Świetlicki o Podsiadle: „Nie obraziłem się, ale mi bardzo smut-



no. Rozumiem, że można grymasić, ale nie uszanowano mojej pracy”). Podsiadło mimo niewydania książki na festiwalu wystąpił, ale bez Świetlickiego. „Bo nie można chodzić na chrzciny nienarodzonego dziecka” – orzekł Świetlicki, nieobecny także podczas innych atrakcji Festiwalu Miłosza. Nie widział hipnotyzującego podobno festiwalową publiczność koreańskiego poety Ko Una ani nie zna wydanej przez Znak jego książki, choć sam Jerzy Illg uważa, że Koreańczyk jak nikt zasługuje na literackiego Nobla. „Nie czytałem, ale czytałem wiersze Jerzego Illga – i to już wystarczy”.

Na Nobla także Świetlicki ma pewne widoki. „Astrolog mi powiedział, że będę żyć 92 lata, a w 2030 czeka mnie potworny przypływ gotówki. Nobel jak nie”.

5. NIEKTÓRZY NAZYWAJĄ ŚWIETLICKIEGO „bestią”, co jest komplementem odnoszącym się do żywotności i przemożności jego talentu. Co prawda, to prawda, istny z niego smok. Smok wawelski? Smok wawelski, który rozgląda się po mieście i świecie. Jest duży, więc nie sposób go nie zauważyć. Zasadniczo łagodny, ale kiedy uzna to za stosowne, piętnuje różne miasta, świata, bliźnich (oraz własne) niedociągnięcia.

Ciekaw jestem, co na to Świetlicki. Nie obraża się, „może i tak, może i tak”, powiada. Poza tym „był ktoś, na byle jakim festiwalu albo w byle jakiej prasie poczuwa się do tego, żeby mnie piętnować. A ja jestem taki, że się odszczekuję. Sam nikogo nie zaczepiam”. A artysta Mitoraj, którego rzeźby na krakowskim rynku Świetlicki po wielokroć opiewał? Ten przecież nijak osobiście Świetlickiego nie zaczepiał. „On mnie zaczepia tym, co widzę codziennie. Niektórzy mnie obrażają, nawet nie wiedząc, że mnie obrażają”. Inni wiedzą. Ktoś nam właśnie zrelacjonował, jak to dzień wcześniej znana krytyczka i aktywistka Kinga Dunin publicznie nazwała Świetlickiego powieścią „Jedenaście” – „gównianą”. Ale to jeszcze nie wszystko.

6. → NIE MA CO UDAWAĆ: I TYM razem nie obędzie się bez większych skandali. Kiedyś srożył się Świetlicki głównie w kwestiach poetyckich: w bardzo dawnym, podręcznikowym dziś „Wierszu dla Jana Polkowskiego” (dobre słowo o nowych wierszach Jana Polkowskiego znajdują państwo parę stron dalej w tekście Tadeusza Nyczka) albo w utworze „Jechać” (z tomu „Nieczynny”, 2003) – „Pięknie Pan Adam Zagajewski powraca do Miasta./ Opiewać piękno”.

A nowa książka z wierszami nazywa się „Niskie pobudki” i poza bardzo ładnymi zdaniem i uwagami o życiu i tak dalej zawiera też parę utworów raczej awanturniczących się. W „Wierszu doraźnym” pisze Świetlicki: „Wkurwić lewaka, obśmiać mentalnego pedała:/całe moje zadanie”. W wierszu „Wola ludu”: „Krakowska narzeczona S. Sierakowskiego/(takiego telewizyjnego działacza młodzieżówki/komunistycznej) stwierdza, że w ogóle nie powinienem pisać, że ostatnia książka/a i poprzednie są kompletnie jej/niepotrzebne. Powinienem skończyć/z pisanem i ze wszystkim, bowiem się skończyłem./jak zauważyła owa krakowska narzeczona/S. Sierakowskiego”.

– Witojcie – powtórzył Heblareck wyraźniej i głośniej. Nie był pewien swojej polszczyzny. – Aspirant Basewicz z Komendy Miejskiej. Herr Heblareck? – Jam ci jest „Orchidea”, s. 20

7. „CO DO »NISKICH POBUDEK« – MÓWI Świetlicki – mam podobne emocje jak przed debiutem. Dzieją się podobne rzeczy, ci, co znają książkę, przychodzą i mówią: »ale ten wiersz o Sierakowskim to niekoniecznie«, a wtedy wszyscy mówili: »ten wiersz o Polkowskim to niekoniecznie«, więc mam przeczucie, że wiersz o Sierakowskim będzie w podręcznikach, jak on zostanie prezydentem, i będę go [wiersza] nienawidzić”.

No dobrze, ale na czym – pytam – zasadza się pojęcie „mentalnego pedala”? „Nie ma to związku – mówi Świetlicki – z preferencjami seksualnymi. Ja tym brzydkim sformułowaniem nazywam ludzi o lepkich umysłach. O zniewolonych umysłach. Czasy się zmieniły, więc nie piszę »wkurwić zniewolonego umysłu«, tylko tak”.

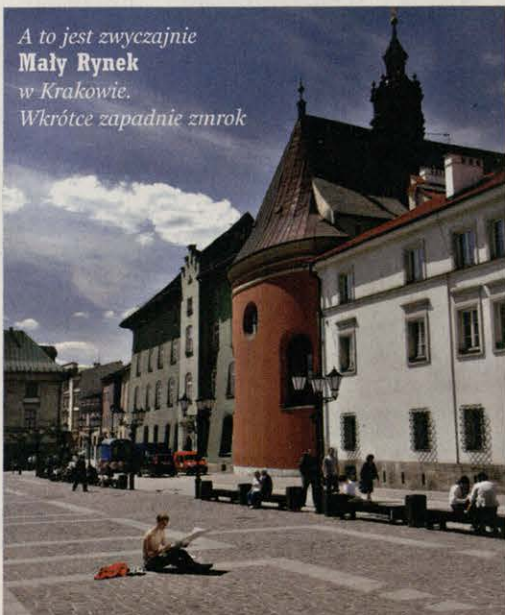
A to jest zwyczajnie Świetlicki z gościnnym udziałem Bogusława Lindy na gdańskim festiwalu filmowym anno 2007



A lewactwo? „Mój problem polega na tym, że ci prawicowcy, których spotykam, są ludźmi czytany, sympatycznymi, kulturalnymi, bez agresji. Jakoś mam szczęście do prawicowców, nie spotykam oszołomów prawicowych. Nie spotykam takich, co mnie denerwują. Natomiast z tymi lewakami to jest tak, że ani ich lektury mi się nie podobają, ani poglądy na życie, ani roszczeniowość. Denerwują mnie strasznie”.

8. CHOĆ MIŁYCH LUDZI ZASADNICZO LUBI. Mocną stroną Świetlickiego jest kooperacja. W „Niskich pobudkach” sporo jest wierszy napisanych z różnymi kolegami albo dzięki kolegom, o czym zaświadcza dedykacje i tytuły. Prawdziwą jednak feerią kolektywnej pracy jest oczywiście „Orchidea”, powieść napisana do spół-

A to jest zwyczajnie Mały Rynek w Krakowie. Wkrótce zapadnie zmrok



ki z Gają Grzegorzewską i Irkiem Grinem – o których mam nadzieję kiedyś napisać osobno. (Dla Świetlickiego nie jest to zresztą pierwsza wspólna powieść – dawno temu jako M.G. Świeduchowska wydał z basistą i liderem Świetlicków Grzegorzem Dyduchem uciecznych „Katechetów i frustratów”). Jak wiadomo, trójka autorów „Orchidei” ma na koncie po kilka własnych powieści i własnych wyrazistych bohaterów: mistrza (Świetlicki), detektywkę Julię Dobrowolską (Grzegorzewska) i detektywa, byłego zakonnika skądinąd, Józefa Marię Dyducha (Grin), którzy się teraz w jednej książce spotykają.

Mówi Świetlicki: „To jest zapis ponad stu spotkań trojga autorów przez dwa lata, w jednym lokalu głównie [Mleczarnia na Kazimierzu – przyp. red.], gdzie pisaliśmy. Było tak, że najpierw portal Onet zaproponował Grinowi pisanie powieści w odcinkach. Grin uznał, że samemu to mu zajmie za dużo czasu, i wziął Gaję, a potem mnie, jako przyzwoitkę. (I tak zresztą ktoś przyniósł ostatnio plotkę o tym, że z Grinem porzuciliśmy rodziny, kupiliśmy dom w Zabierzowie i uprawiamy dzielną seks z Grzegorzewską, dlatego na okładce stoi napisane, że autorzy mieszkają w Zabierzowie). No i pisaliśmy z odcinkami na odcinek, bez uprzedniego planu, wszyscy razem wymyślaliśmy zdania – a Grin to wpisywał do komputera. Sporo napisali też różni goście, to jest zaznaczone w książce. Po 24 odcinkach portal zrezygnował ze współpracy i już sami dla siebie dopisaliśmy jeszcze 50”.

FOT. ROBERT JAWORSKI/FORUM, MICHAŁ LEPECKI/AGENCJA GAZETA, ILUSTRACJA JAN DZIECZKOWSKI NA PODSTAWIE ZDJEĆ ADRIANA FICHMANNA/EMG (2), TOMASZA ŻURKA/REPORTER

I tutaj muszę dodać, że ów moment wyjścia z Internetu to jeden z najbardziej zabawnych fragmentów „Orchidei”, w którym autorzy – wyzwoleni z pęt portalowej przyzwoitości – zaczynają z wielką radością pisać bardzo nieparlamentarnie. Cała zresztą powieść, którą chyba zbyt defensywnie autorzy od razu nazywają pastiszem i żartem li tylko, to jedno z najradośniejszych w ostatnich latach dzieł rodzimej prozy. Widać, że autorzy świetnie bawili się przy pisaniu, ale bawi się także czytelnik, choć rzecz jest tak kompletnie zwariowana, że nie ma sensu rozwozić się o fabule (poza tym, że są trupy, a miejsce akcji to dzisiejszy Kraków i wirtualny Second Life), bo nie fabuła tu ważna, a nieprzerwany ciąg zabaw, gier i dowcipów. Prorokuję też karierę paru kwestiom (jak debiutująca chyba w literaturze, zasłyszana ponoć na Śląsku fraza „klęknąć do miecza”) oraz wynalezionym w „Orchidei” subkulturom przemo (to ci, co biją emo) i drzemo (wspólnie drzemiam). Ja w każdym razie ubawiłem się świetnie i ubogaciłem po uszy.

CO DALEJ? POZA WIERSZAMI, RZECZ JASNA, bo te się piszą. „W »Orchidei« zamarkowana jest możliwość ciągu dalszego, ale to tylko żarcik. Natomiast napisaliśmy z Gają i Grinem opowiadanie dla »Playboya« i zrobimy może tom opowiadań z tymi bohaterami. Się zobaczy”.

A to jest zwyczajnie historia o człowieku, który budzi się codziennie w innym łóżku, nawet jeśli nie rusza się z miejsca, to jest nieuchronne, konieczne, to jest, to być musi historia o człowieku, który budzi się codziennie w innym łóżku.

A to jest zwyczajnie historia o człowieku, który uparcie pisze, chociaż wszystkie klisze już przeświecił się.

I tak to kończą się „Niskie pobudki”. „Tak to, kotku, wygląda i tak się to kończy” – pisał Świetlicki w dawnej książce pod tytułem „Trzecia połowa”.

11. NO I TAK TO JEST.

+++++ Marcin Świetlicki „Niskie pobudki”, EMG, Kraków 2009, s. 65, 29,90 zł

+++++ Marcin Świetlicki, Gaja Grzegorzewska, Irek Grin „Orchidea”, EMG, Kraków 2009, s. 226, 34,50 zł

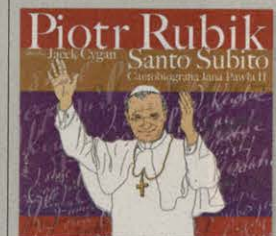
Czwarta strona kultury

BARTEK CHACIŃSKI

Relacja z uroczystego otwarcia pudełka najnowszej płyty Piotra Rubika

PIOTR RUBIK ŚWIĘTYM? Kurczę, ja rozumiem dokonania, ale czy nie za prędko? No ale największe napisy na pudełku mówią, że właśnie prędko, natychmiast: „Piotr Rubik Santo Subito”. Jacek Cygan jest nieco mniejszymi, ale ten robi od lat w rozrywce, więc na świętość nie ma szans. Za to z hasłem „libretto”, które pokazuje, że może i jego ten album wyniesie wyżej. Dużo mniejszymi „Cantobiografia Jana Pawła II” – i wszystko jasne, już wiemy, że to nie opera o Rubiku. Najmniejszy napis na okładce to A. Pagowski. Rozumiem, że to winowajca mojej gąfy z pierwszych zdań relacji, w których nie rozpoznałem głównego bohatera. No, ale namalować nierozpoznanego papieża Polaka to też nie lada sztuka. Kto by tak potrafił, no kto? Gruba folia. Lubię taką – czuć opór i naciąganie przy zdejmowaniu, a z boku wesoło sterczą zgrzane rogi (bez żadnych skjarzeń!) które pozwalają złapać ją i zderzyć jednym pewnym chwytem. Niebezdźwięcznie. Ale jeszcze głośniejsze było westchnienie żony: „To to teraz puścisz? A było tak dobrze”. „Nie, spoko – odpowiadam. – Otwieram tylko pudełko. Mam z tego zrobić felieton dla »Przekroju«”.

Tak, wiem. Felieton o otwieraniu pudełka płyty o papieżu to prawie jak wykradanie księżeczki do nabożeństwa po to, by je oddać na makulaturę. Ale



to tylko mój drobny grzeszny wkład w rosnące dzieło rynkowe. Poza tym, jeśli przyłożymy do tego trendową miarkę, uznamy, że dziś zarabianie na legendzie papieża to coś bardzo w stylu sprzed pięciu lat, kompletnie niemodne. Ale miałem starać się wyżyć negatywnych uczuć, a przecież jeśli jakiś twórca już trzy dzieła poświęcił pamięci Jana Pawła II, to kto ma nagrać czwarte, jeśli nie on? Kto, pytam, kto? Wiem już, co znaczy to trudne słowo na „c”. Chodzi o „opowiadanie o życiu i dziele Jana Pawła II językiem pieśni”. Mówi mi o tym Jacek Cygan w wydrukowanej na eleganckim papierze (aż się chce do napisania przez samo „ż”) wkładce, którą oglądam i w-

cham, zerkając, czy żona nie patrzy. Skoro fascynuje mnie, jak pachnie byle druk, to co dopiero taki o papieżu. Okazuje się umiarkowanie śmierzący – podobnie jak trójkolorowe nadruki na płytach. Dowiaduję się też, że album ma patronat „Gościa Niedzielnego”, z czego przez chwilę bardzo się cieszę, bo jeszcze nie słuchałem żadnej płyty pod ich patronatem. No tak, ale przecież nie przesłucham. W trosce o spokojny, rzeczowy ton chciałem tylko opisać pudełko. To nie znaczy, że nie mogę sobie poczytać tekstów. A tu już w pierwszych zdaniach czuć twardą rękę teściarza od rozrywki, której brakowało błądzącym częstochowskim nudziarstwu „Golgoty Świętokrzyskiej”. „Skladam dłonie do modlitwy/Jak skrzydła rybitwy/I choć je w myślach tylko składam/Nie upadam” – powiedzcie mi, że tego nie mógłby zaśpiewać Rysiu Rynkowski. No, ale z drugiej strony, odpowiednią oprawę kto by mógł temu zapewnić, jak nie Rubik, no powiedzcie – kto? Z zamyślenia wyrwa mnie głos: „No dobra – słyszę. – To wyłącz już może tę płytę Behemotha”. Do diabła, już wiem kto. □

RYS. MARCIN MACIEJOWSKI

DZIADKU, OPowiedz o AWANGARDZIE.



NOC BYŁA GORĄCA. DYSKUTOWANO O NOWOCZESNYM MALARSTWIE. W CHWILI, GDY PRZEMAWIAŁ JONASZ STERN, WPADŁA POLICJA. PRZEPROWADZIŁA REWIZJĘ I ARRESTOWAŁA WIELU POSTĘPOWYCH PLASTYKÓW. JA RÓWNIEŻ BYŁEM OBECNY NA SALI.

Jacek Bierut zadebiutował późno, jako czterdziestoparolatek – i zadebiutował świetnie. Jego „PiT” z 2007 roku, łotrzykowska powieść miejska, która łączyła w sobie świeżość z pisarską premedytacją (by nie rzec perfidią), mimo że wyróżniona przez żądne jury nagrodą Fundacji Kultury, nie przyniosła mu większego rozgłosu. Być może okazała się „za trudna”, by ją i jej autora ośwoić, starogotować, wypromować. Obawiam się – i chciałbym się mylić – że podobny los czeka wydane właśnie „Spojenia”, choć zdają mi się jedną z najciekawszych nowych polskich powieści. Bo „Spojeniami” pisarz potwierdza swój talent, lecz wcale nie spuszcza z tonu.

Spójrzmy choćby na fragment poprzedzającej powieść właściwą „Instrukcji obsługi”: „[W pierwszym i drugim czytaniu] fragmenty oznaczone kwadratowymi nawiasami [...] koniecznie pominąć. Rozpocząć [kategorycznie!] od rozdziału zatytułowanego »Teściu«, potem już w dowolnej kolejności”.

A „Teściu” to rozdział w kolejności czwarty. I wszyscy wiemy, że jak się tak pogrywa z czytelnikiem, to się kariery raczej dziś nie robi.

Mają też „Spojenia” parę innych niedostatków. Po pierwsze, Bierut ewidentnie dopracował się ciekawego sposobu używania polszczyzny. W jakiś diabelski sposób potrafi być kolokwialny i ostentacyjnie literacki zarazem. Język „Spojen” jest precyzyjny i różnorodny (bo świadomie odwołuje się do różnych rejestrów), a jednocześnie rozpoznawalny, choć nie ucieka się – co całkiem dziś częste (tutaj w charakterze przykładów można sobie wpisać niektóre sławne pisarskie nazwiska) – do rozpoznawalności opartej na jednostajnym, w nieskończoność powtarzanym odształcaniu mowy, które nieuchronnie przekształca się w manierę. (No chyba że jest się Mironem Białoszewskim, ale ktoś jemu równy nieprędko, a najpewniej nigdy nam się nie przytrafi). To się, oczywiście, podobać nie może.

Po drugie, rozmach. Nielinearna, wielowątkowa struktura, która sporo od czytelnika wymaga i wiele mu w zamian, stopniowo, odda-



W przyszłym roku kolejna powieść Jacka Bieruta „Pornofofonia”. Będzie 3:0!



Jacek Bierut „Spojenia”, ATUT, Wrocław 2009, s. 338, 30 zł

+++++ MARCIN SENDECKI

2:0 Druga książka Jacka Bieruta znów jest świetna. W normalnej lidze powinien awansować do ekstraklasy. A w polskiej? Któż to wie

je, budzić musi politowanie, bo nie wiadomo, po co wkładać tyle pracy, zamiast rzecz opowiedzieć jak leci i po bożemu, tym bardziej że fabułą „Spojen” dałoby się obdzielić parę atrakcyjnych książek. (Na przykład – uwaga, kibice! – kapitalną powieść o prowincjonalnym klubie futbolowym. „Spojenia” to w pierwszym tutaj znaczeniu spojenia słupka z poprzeczką). Zwykle marnotrawstwo, nieprawdaz?

Po trzecie – ciągnąc temat Bierutowej fabuły – „życie samo” i tryb, w jakim obecne jest w „Spojeniach”. Jest to bowiem książka poniekąd skandaliczna i obsceniczna – tak się życie jej bohaterów układa. Ale Bierut nie tylko opowiada o niecodziennych przecięt perypetiach kogoś, kto został zięciem swego rówieśnego przyjaciela, ale przy okazji pokazuje spory kawał rzeczywistości ostatnich kilkudziesięciu lat i zgłębia powszednie mroki naszej, zwykle nie aż tak ekstrawaganckiej, egzystencji. „Spojenia” traktują przecież, często bardzo poruszająco, o nadziei i klęsce, miłości i ucieczce „od tego wszystkiego”. I o tym, jak można (albo i nie) o tych straszliwosciach opowiadać.

Są wreszcie „Spojenia” dziwnie chropowate. Nawet kiedy się wejdzie w ich rytm,

zaakceptuje narrację, co jakiś czas przychodzi (tak jest ze mną) ochota, by łapać autora za rękaw i pytać: po co? Dlaczego właśnie tak? I żyć na niego, bo się coś jednak bardzo nie podoba. Bo przecież mimo przewag, które żartując sobie podnoszę jako wady, „Spojenia” arcydziełem nie są. Często chce się z nimi pokłócić albo zaczyna się lekturę od nowa, gdy jakiegoś zabiegu uporczywie pojąć nie sposób. To jest bez wątpienia – co mam za wielką zaletę – obiekt wielorazowego użytku.

No ale wolę żyć na detale takiej właśnie książki niż ziewać i wstydzić się za autora, czytając to, co zwykle się czyta z recenzenckiego obowiązku.

„Tu się gra wysoko” – pisał kiedyś Konstanty Puzyna (w przyrównującym literaturę do hazardu świetnym wierszu „Kasyno”) – i tak właśnie gra Bierut. A w najbardziej ekscytyujących partiach rozgrywki jest naprawdę świetny i przypomina najlepszych. Parantele? Może, odrobinię, Stanisław Czycz. A może – jeśli ktoś potrafi to sobie wyobrazić – młody Leopold Buczkowski przeniesiony w czasie i dokonujący tasemcowego wpisu na portalu Nasza-klasa.

Ekstraklasa.



Literatura bez granic

Kraków festiwalami stoi!

LEDWIE ZAKOŃCZYŁ SIĘ UDANY FESTIWAL IMIENIA Czesława Miłosza (o którym wspominamy ustami Marcina Świetlickiego na s. 50), a już pod hasłem „Europa bez granic” rusza Międzynarodowy Festiwal im. Josepha Conrada (2–7 listopada, www.conradfestival.pl). Patronat angielskiego pisarza z polskim rodowodem nie oznacza, że impreza jest poświęcona jego twórczości, a jedynie podkreśla hasło imprezy: „Europa bez granic”. Wśród gości festiwalu są zagraniczne gwiazdy literatury (Pascal Quignard, Per Olov Enquist czy Etgar Keret) oraz polscy pisarze, krytycy, tłumacze i filozofowie: Agata Bielik-Robson, Andrzej Stasiuk, Jerzy Pilch, Stefan Chwin, Ireneusz Kania, Olga Tokarczuk, Marek Bińczyk, Jacek Dukaj, Cezary Wodźniński, Michał Komar, Henryk Waniek, Mariusz Szczygieł, Wojciech Jagielski, Maciej Zaremba. A także twórcy spoza literackiej branży: Kot Przybora, Krystian Lupa, Jerzy Radziwiłowicz.

Festiwal otworzy koncert Jordiego Savalla „Wszystkie poranki świata” (dedykowany Pascalowi Quignardowi, który był scenarzystą sławnego filmu). Niemal wszyscy zagraniczni goście festiwalu związani są zresztą z filmem. Dlatego wśród imprez towarzyszących znajdzie się wiele pokazów filmowych. Będzie można także obejrzeć, po raz pierwszy poza macierzystą sceną, spektakl „Kosmos” Teatru Gardzienice.

— KJ



Czytanie na trawie

TADEUSZ NYCKEK

...czyli Polkowski wraca do gry

NIESPODZIANKA KOŃCA dekad: Jan Polkowski *redivivus*! Po prawie 20 latach milczenia, kiedy już się wydawało, że porzucił poezję raz na zawsze... I to dla jakiegoś marnego celu – przelotnej polityki i urzędowania w Centralnym Organie medialnym, przez który, jak wiadomo, też się przelatuje zaledwie. Znać państwo ten stary dowcip: co łączy telewizję i harem? Ano to, że i tu, i tu trzeba tylko czekać, żeby cię wyp... Dowcip sam w sobie niezbyt, ale na miejscu, jak mawiał wielkiej pamięci mistrz Gombrowicz. Ale wracając do Polkowskiego, który tak świetnie debiutował w 1980 roku samizdatowym tomikiem o przewrotnym tytule „To nie jest poezja”. W kolejnych latach wydał jeszcze kilka tomików, a po opublikowaniu w roku 1990 „Elegii z Tymowskich Gór” zamilkł jako poeta i z każdym rokiem milczał coraz bardziej, aż się zaczęło wydawać, że tak już będzie. Niewiele zmieniło ukazanie się w ubiegłym roku posze-

zrzonego wydania „Elegii”, bo garść nowych wierszy i tak pochodziła ze starej szuflady. Tymczasem „Cantus” (wydawnictwo a5) to powrót od razu na najwyższym tonie, z fanfarami, żadne tam ostrożne pukanie do drzwi, czy aby ktoś mnie jeszcze pamięta i czy mogę wejść. Tak jakby nie było po drodze coraz to wyciszającego się Polkowskiego, który od gniewnych strof z „Oddychaj głęboko” (1981) i „Ognia” (1983) szedł coraz wyraźniej w uspokojoną refleksję „Drzew” (1987), by oddać się czystej, przeczyszczającej, delikatnej jak chińskie rysunki tuszem liroye „Elegii z Tymowskich Gór”. „Cantus” jest z powrotem mocny, twardy i gęsty, pełen wizyjnych obrazów malowanych pewną ręką kogoś, kto patrzy na świat już nie z perspektywy młodego, rozpalonego gniewem wojownika, ale doświadczonego uczestnika kilku epok, które naznaczyły jego życie nieusuwalnymi bliznami. Polkowski próbuje tu różnych głosów,

różnych tonów, od lirycznego westchnienia po poemat. Nie boi się patosu i wielkich słów, wplata „głosy pożyczone” – własne przekłady parafrazy kilku ulubionych poetów rosyjskich, Ajgiego, Bunina, Tiutczewa. Niewiele jest poetów, którzy poważaliby się napisać dzisiaj takie zdania: „Umarł diabelski wiek. Nie będzie zadośćuczynienia. Pokolenia/przesypują się przez dlonie kapłanów/nicości, przez nasiąkniętą śmiercią/klawiaturę Bacha./Żaden alfabet nie ma w sobie dość sił by przebaczać./Inaczej niż pięciolinie i niepodległe/nuty./W drodze. Przez niewinny zmierzch. Z Ojczyzny do Ojczyzny, z nieistnienia w niemy szept drutów i listów zbezczeszczonych/przez zmęczonego cenzo-ra. Z wagonów towarowych do cudzych/miast, z piasków Kazachstanu pod czyste niebo Palestyny, z obczyzny donikąd. Ze świętych miejsc do świętych książek./Majestatycznie, w blasku złotych trąbek, z feretronami, z podniesionymi sztandarami/leca żurawie./Milczą obłoki./Lecą niesionymi sztandarami/leca żurawie”. Z ostatniej dekad pamiętam tylko trzy tak gęste i bogate tomy: „Chirurgiczna precyzja” Barańczaka, „Kamień, szron” Krynickiego i „Po tęczy” Sosnowskiego. „Cantus” jest czwarty. □

REKLAMA

ETIUDA & ANIMA

16. Międzynarodowy Festiwal Filmowy

KRAKÓW, 27 LISTOPADA - 4 GRUDNIA 2009

www.etiudaandanima.com

- > Konkurs ETIUDA
- > Konkurs ANIMA
- > Najlepsze animacje z całego świata
- > Wybitni twórcy NA WYCIĄgnięcie RĘKI
- > Pokazy animacji NA ŻYWO w wykonaniu światowych sław w dziedzinie animacji
- > WARSZTATY reżyserskie, operatorskie, scenariuszowe, montażowe, animacji

sponsorzy:

grupa adweb

CHIMERA

PIZZA DOMINUM

SDRUK

patroni medialni:

KINO

PRZE KROJ

TOK

FILM WEB

gazeta

TYGODNIK POWSZECHNY

TVP KULTURA

WP.PL

Wepchnąć do radia coś niepokojącego

Editors właśnie wydali swój trzeci album „In This Light and On This Evening”. Z tej okazji perkusista grupy Ed Lay opowiedział Mariuszowi Hermie o...

...tym, że trzy albumy w dorobku to już coś

– Nie czujemy się całkowicie spełnieni, ale niewiele zespołów w ogóle dociera do tego momentu. Te trzy płyty dają nieźle pojęcie o naszych muzycznych osobowościach. Pierwsza była surowa i energetyczna, miała po prostu szybko pójść w świat. Drugą wymyśliliśmy jako nowoczesny, bogato brzmiący rockowy album z mnóstwem smaczków. Wreszcie na „In This Light...” poszliśmy w eksperyment.

...unikaniu bójek

– Rok temu zaczęliśmy pisać nowe piosenki i wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak przy poprzedniej płycie „An End Has a Start”. Mieliśmy wrażenie *déjà vu*. A to nie miało sensu, bo zanudzilibyśmy się na śmierć i skończyli nagrywanie solidną bójką. Przerwaliśmy i podeszliśmy do tego zupełnie inaczej. Znaleźliśmy nowe instrumenty – stąd tyle na płycie różnorodnych brzmień klawiszowych – i nowe metody komponowania.

...przemianie koncertów Editors

– Zrobiły się znacznie ciekawsze, bo musimy troszczyć się o mnóstwo rzeczy. Na scenie stoi kilka klawiszy i samplerów, jeden nawet koło mojej perkusji! Editors to już nie jest czterech gości z gitarami i bębnami, którzy grają typowy rockowy koncert. Zależy nam na scenariuszu występów, na różnicowaniu nastrojów. Trochę jak w teatrze.



Editors, „In This Light and On This Evening”
Isound

...„Terminatorze” i innych inspiracjach
– Ścieżka dźwiękowa „Terminatora” jest doskonale wpasowana w film. Tak samo jak „Blade Runera” albo „Mechanicznej pomarańczy”. A my w głowach mamy mnóstwo tego typu mrocznych wizji, posępnych miejskich krajobrazów, do których chcieliśmy stworzyć naszą własną ścieżkę dźwiękową. „In This Light and On This Evening” nie opowiada tylko o Londynie, chociaż z tego Tom, nasz wokalista, naturalnie czerpie inspiracje. To płyta dla mieszkańców metropolii. Ale także dla

tych, którzy mieszkają na prowincji z obawy przed miejskim labiryntem.

...szansach na to, że Editors nagrają kiedyś radosną płytę

– Obawiam się, że żaden z nas nie potrafi się ekscytować pogodną muzyką. Wolimy ponury, historyczny nastrój. Najciekawsze momenty w życiu mają swój tajemniczy, mroczny aspekt. Wszyscy mamy dosyć dziwne poczucie humoru i bardzo nas bawi, gdy pod postacią popowej piosenki uda nam się wepchnąć do radia coś niepokojącego.

Editors w Polsce: 23.11 Warszawa, Stodola / 25.11 Kraków, Studio

Editors -
jak zwykle
w ponurym
nastroju. Ci
ludzie kochają
czerni i posępne
miejskie
krajobrazy.



This Immortal Coil „The Dark Age Of Love”, Ici d'ailleurs



+++++ BARTEK CHACIŃSKI

Ten mrok ma urok

Niech nie zmyli was nazwa. This Immortal Coil to hołd, prosty i piękny, dla grupy Coil, a nie This Mortal Coil!

Nigdy nie wiadomo, gdzie znajdziecie najwierniejszych fanów. Francuzi, którzy z ciemnościami i gotykiem nie są kojarzeni, ukochali mroczną melancholię grupy Coil. Może dlatego, że to nie jakieś tam obdarte mroki, tylko intelektualne i estetyczne – brytyjski duet wymyślił dla siebie oprawę wizualną z symbolem czarnego słońca, klimat okultyzmu i brzmienie tak plastyczne, że tytuł ich płyty „Music To Play In The Dark” przyniósł wzorec metra w dziedzinie muzyki do grania w ciemności. Gdy Coil umarł – bo w 2004 roku zmarł John Balance, połowa duetu* – Francu-

zi z wytwórni Ici d'ailleurs zaczęli pracę nad hołdem dla grupy, ale nie z potrzeby zarobku, tylko z miłości. Zaprośili do udziału Matta Elliotta, Bonniego „Prince’a” Billy’ego i – od siebie – Yanna Tiersena, by wspólnie zagrać akustyczne i uduchowione wersje utworów Coil. Po latach prac wyszła im z tego płyta piękna, bo wydobywająca najbardziej szlachetny wymiar piosenek twórców „Love’s Secret Domain”, wcześniej często ukryty pod warstwą elektronicznego brudu.

* Uwaga! Żyjąca połowa duetu Coil, Peter Christopherson, zagra 6.11 w ramach Wrocław Industrial Fest z nowym projektem Soisong

GO AHEAD

PREZENTUJE

OCEANSZE

8.11 Firlej / Wrocław

ISIS

Support: Dąlek

10.11 Proxima / Warszawa

SKYE EDWARDS

[Głos Morcheeby!]

10.11 Eskulap / Poznań

11.11 Stodola / Warszawa

12.11 Rotunda / Kraków

gossip

Support: Ssion

21.11 Palladium / Warszawa

EDITORS

Goście specjalni: The Maccabees+Wintersleep

23.11 Stodola / Warszawa

25.11 Studio / Kraków

THERAPY?

24.11 Loch Ness / Kraków

25.11 Proxima / Warszawa

Fucked Up

30.11 Loch Ness / Kraków

paradiselost

Gość specjalny: Samael

1.12 Stodola / Warszawa

2.12 Studio / Kraków

GOGOL BORDELLO

8.12 Stodola / Warszawa

+ The Sounds + Matt And Kim

9.12 Rotunda / Kraków

69 EYES

Support: Christian Death

20.01 Progresja / Warszawa

21.01 Firlej / Wrocław

WHITE LIES

7.02 Stodola / Warszawa

wishbone ash

16.02 Proxima / Warszawa

17.02 Eskulap / Poznań

Współpraca:

FABRYKA PRODUCTIONS

MARVEL STUDIO

Jeśli chcesz otrzymywać bieżące informacje o koncertach, to zarejestruj się w naszym newsletterze na stronie www.go-ahead.plBilety do nabycia: eventim.pl, ticketpro.pl, shortcut.pl oraz ticketonline.pl

+++ MARCIN FLINT

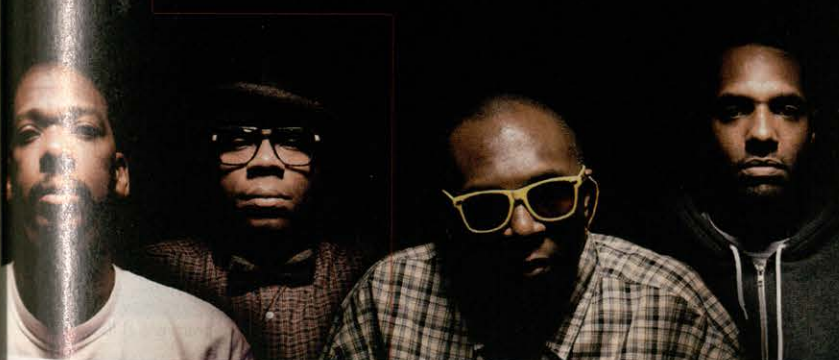
Rozbijać i przestraszyć

Amerikanie z Anti-Pop Consortium zostali, jak sami przyznają, „obudzeni z permanentnej śpiączki”. Niestety, trochę za późno

Kiedy w 2002 roku ukazała się „Arrhythmia”, jedni pytali: „Co oni, do cholery, zrobili z muzyką miejską?”, zaś inni odpowiadali: „Pchnęli ją do przodu”. Zastany ład zgodnie z dewizą trio (dziś kwartetu) został wówczas zburzony. Najnowsze ich dzieło swymi minimalistycznymi kompozycjami raczej nuży, niż szokuje. Widzeliśmy wzlot i upadek grime’u, znamy skutki szaleństwa Maksa Tundry i dysharmo-

nie Flying Lotusa. Nie z nami te numery. Zwłaszcza że APC są niekonsekwentni. „End Game”, „Capricorn One” czy „Get Lite” to repertuar do straszenia ludzi, ale już rozśpiewane „Shine”, „Volcano” i „Born Electric” mogą ich tylko rozbijać. Album ten warto sprawdzić głównie po to, by się przekonać, że artystowska wizja na styku elektroniki i hip-hopu nie musi wiązać się z piszczeniem, krzykami czy skandowaniem, za to może z dobrym rapem. Takim, który ostentacyjnie nie ignoruje rytmu, głębszych myśli i chemii pomiędzy członkami zespołu. □

Anti-Pop Consortium „Fluorescent Black”, Big Dada



Wyšli SMS
my odzwonimy
zapłacić przy
odbiorze

one step
cena 75,99 zł
kod: black321

Kup teraz!
Wyšli SMS z kodem
podanym przy recenzji
na nr 70500 koszt SMS-a
z VAT 0,61 zł

one step

+++++

Twardziela gitara Ika

John Mayall chwali „tego dobrego, starego, bujającego bluesa”.
My chwalimy Mayalla

OSZCZĘDZĘ PAŃSTWU WYKŁADU, JAK przedstawia się muzyczna zawartość „Tough” na tle dorobku artysty, bo nie zamierzam udawać, że znam choćby połowę z 57 albumów nagranych do tej pory przez Johna Mayalla. Ale wiem to, co wszyscy – ten pan czuje bluesa. W dodatku czuje go po swojemu – jeśli blues z Wysp tak szybko wyżył się malpiego naśladownictwa swojego amerykańskiego rodzica, to głównie dzięki Mayallowi. Żeby jednak sprawiedliwości dziejowej stało się zadość, tuż przed nagraniem „Tough” artysta zaangażował muzyków ze Stanów: sekcję rytmiczną

z Chicago i gitarowego z Teksasu. Może dlatego płyta brzmi tak bardzo korzennie, po amerykańsku. Jak powrót do domu po długiej nieobecności.

Gitara Ika charakterystycznie, ale nie delikatnie, Mayall nie tylko w tytule płyty jest twardzielem, również jego gra jest męska, chropowata i mocna. Świetnie kontrastuje z gęstymi, miękkimi dywanami organów. Jeśli słyhać upływ czasu, to w partiach wokalnych. Cóż, dziesięciolecia spędzone w zadymionych klubach musiały odcisnąć swoje piętno na strunach głosowych Mayalla. Bo o tym, że jego płuca są w jak najlepszym porządku, świadczą partie harmonijki – rzadkie, ale żwawe. Jakby ich właściciel

nie dobiegał osiemdziesiątki, ale urodził się w latach 80.
Jarek Szubrycht



John Mayall „Tough”, Eagle Records



Salander i Blomkvist szukają klucza do rozwiązania zagadki sprzed 40 lat

KAROLINA PASTERNAK

Po okrucieństwie ich poznać Kryminał „Mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet” doczekał się udanej ekranizacji

Gdyby powstała lista beneficjentów rozwoju nowych technologii, twórcy kryminałów bankowo by się na niej znaleźli. Ile nowych pomysłów mają teraz do dyspozycji! Włamywanie się przez Internet do komputerów przestępców, miniaturowe kamery... Dostęp do nich mają nie tylko detektywi, ale wszyscy zainteresowani. Tacy jak Lisbeth Salander (świetna Noomi Rapace) i Mikael Blomkvist – bohaterowie „Millennium: Mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet”,

hakerka i dziennikarz zaangażowani do rozwiązania zagadki dręczącej Henrika Vangera, głowę rodziny szwedzkich przemysłowców. W latach 60. zginęła jego siostrzenica i do dziś nikt nie znalazł ciała.

Autorzy filmu nie tylko zgrabnie oddali budowane w powieści napięcie, ale też udało im się pokazać, jak dzięki nowym technologiom śledztwo posuwa się naprzód – wrażenie robi scena, w której obrobione komputerowo niewyraźne negatywy zamieniają się w czytelny film. Twórcy nie uciekli od obecnej w książce

brutalności: zobaczcie zmasakrowane ciała, poznać okrucieństwo oprawców. Degeneracja ma źródło w wypartej nazistowskiej przeszłości rodziny i choć oficjalnie nazizmu w Szwecji już nie ma, wciąż przybywa jego ofiar.

Przy kompresowaniu 500 stron powieści do dwóch i pół godziny filmu konieczne były cięcia. Zniknął wątek podbojów miłosnych Mikaela, co wydaje się nie takie głupie, skoro bohaterowie to „mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet”. Ekspozycja kochliwego Blomkvista po prostu byłoby nie z tej bajki. Przepraszam – nie z tego kryminału.

„Millennium: Mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet”, reż. Niels Arden Oplev, Monolith, Szwecja/Dania/Niemcy 2009, 152', premiera 6 listopada

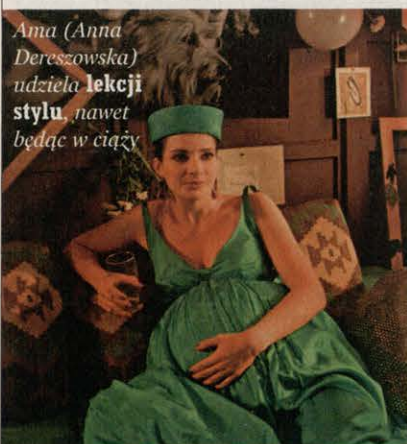
Tropem Stiega

W kinach gości pierwszą część „Millennium”, a w telewizji dokument o jej powstawaniu

CZY WIECIE, ŻE OD 2008 roku o 20 procent wzrosła liczba turystów odwiedzających Sztokholm? Szwedzi nazywają to efektem „Millennium”, bo ludzie przyjeżdżają, by wędrować tropem literackich bohaterów. W filmie mowa jest o inspiracjach Larssona i o konflikcie o schedę po nim (miliony euro spływają do ojca i brata pisarza, a nie Evy Gabrielsson, z którą był związany). Larsson zmarł nagle, mając 50 lat; jak mówi jego przyjaciel: zapracował się na śmierć. Harował po kilkanaście godzin, palił 60 papierosów dziennie, żył w fast foodach. No i już wiadomo, dlaczego Salander jada głównie mrożoną pizzę.

„Millennium. Historia trylogii”, reż. Laurence Lowenthal, Ale kino!, premiera 8 listopada, 1715

Brat i ojciec Stiega Larssona



Ama (Anna Dereszowska) udziela lekcji stylu, nawet będąc w ciąży

Amuszka wydmuszka

„Nigdy nie mów nigdy”: zrozpaczona recenzentka blipuje z kina (a szefowa odpowiada)

sol: siedzę na „Nigdy nie mów nigdy”, bohaterka robi karierę, jest świetnie ubrana i umalowana. Muszę się zapisać na manikiur, zanim wpadnę w kompleksy.

sol: Ama (co to w ogóle za imię?) ma dość kariery, chce mieć dziecko, nieważne z kim. Mam złe przeczucia.

sol > masa: czemu w polskich filmach kobieta sukcesu musi być zimna i skrycie pragnąć dziecka, a nie głupiej kariery? masa > sol: emanacja męskich lęków przed silnymi kobietami? Jak się tych lęków pozbyć? Zagonić bohaterkę do domu, pieluch i garów!

sol: wciąż w kinie. Jan Wieczkowski ma fajną koszulkę.

sol: Ama idzie do łóżka z Markiem (J.W.) po pierwszej randce, a rano się wścieka, że on nie chce założyć rodziny. I kto tu jest niedojrzały?

sol: bardziej niż dramat tej amuszki wydmuszki interesują mnie jej kolczyki. Fajne są. Ciekawe, czy to prawdziwe perły?

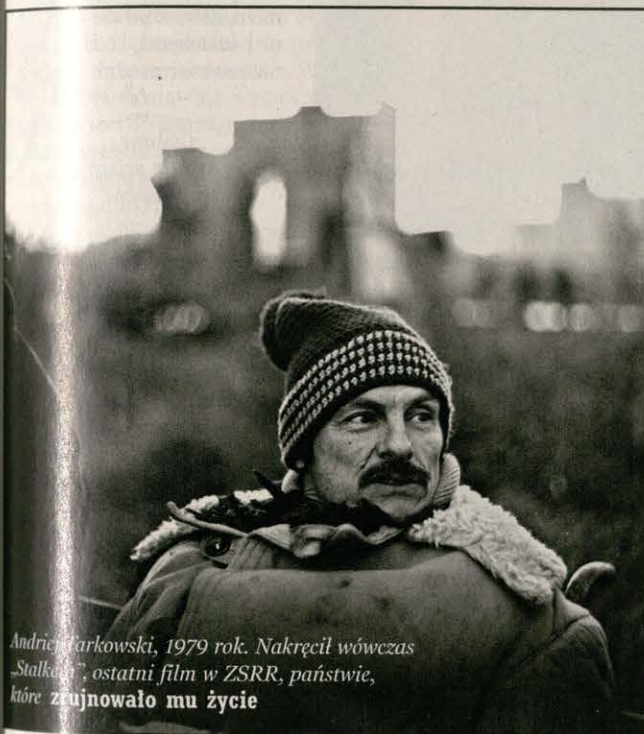
sol > masa: czemu jak polski film ma być dla ludzi, to psychologię odwieszamy na kotłach?

sol: bo jest niemożliwe! sol: kto pisze takie filmy? (jęk rozpaczny). Bohaterowie nie zasłużyli na happy end. Jestem oburzona, manikiur o 18.

„Nigdy nie mów nigdy”, reż. Wojtek Pacyna, 100', Polska 2009, Kino Świat, premiera 6 listopada

MAŁGORZATA SADOWSKA

Prawdziwa ikona kina Startuje III edycja Festiwalu Filmów Rosyjskich „Sputnik”. Jednym z jego bohaterów jest Andriej Tarkowski: człowiek, który się gustom nie kłaniał



Andriej Tarkowski, 1979 rok. Nakręcił wówczas „Stalkera”, ostatni film w ZSRR, państwie, które zrujnowało mu życie

Do dzieł mistrza będzie można zobaczyć również 10 poświęconych mu dokumentów. No właśnie – kiedy myśli się i pisze o Tarkowskim, słowa „dzieła” i „mistrz” same ustawiają się w kolejce, by je wypowiedzieć. Podobnie w dokumentach: gdy fotografie pokazujące jego szczupłą twarz z opadającą na czoło grzywką pojawiają się na ekranie, zaraz w tle rozbrzmiewają cerkiewne dzwony, a bliscy i współpracownicy opowiadają o niezwykłej energii, jaką emanował, o jego mądrym, przenikliwym spojrzeniu, o jego „tragicznej” wręcz „jasności myślenia”. Zmarłego w 1986 roku Andrieja Tarkowskiego szybko ustawia się w szeregu z Antonionim, Fellinim, Bergmanem, żadnego z nich nie otacza jednak – tak jak twórcy „Andrieja Rublowa” – nimb świętości. Podczas gdy Bergman w kinie dobijał się do Boga, Tarkowski w kinie z nim rozmawiał. „Uwierzysz w Boga, będziesz artystą” – przekonywał kolegów.

Obraz Tarkowskiego mistyka, Tarkowskiego intelektualisty, Tarkowskiego człowieka wielkiego serca, Tarkowskiego męczennika, Tarkowskiego geniusza właściwie pozostaje niezmaczony. Nieco odbrązowić pomnik próbuje w arcyciekawym dokumencie „Rerberg i Tarkowski. Odwrotna strona »Stalkera«” (2008) Igor Majboroda. Przypomina postać operatora Georgija Rerberga, autora niesamowitych zdjęć do „Zwierciadła”, wy-

zrzuconego przez Tarkowskiego z planu „Stalkera”. To fascynująca historia starcia dwóch osobowości, dwóch charyzmatycznych artystów, z których żaden nie znośił dominacji tego drugiego. W tle – dramatycznie trudne warunki, w jakich zwykle pracował Tarkowski, intrygi, które snuć miała żona artysty Larisa, i nagrania, w których Andriej Tarkowski wypowiada się o Rerbergu bardzo, hm..., niepochlebnie.

Ale i tu gros odpowiedzialności za zerwanie współpracy zrzucane zostaje na Larisę – jakby Majboroda jej kosztem chciał ocalić czystość Tarkowskiego.

Więcej opowieści o przyziemnym, a nie tylko duchowym życiu reżysera znajdziecie też w „Po Tarkowskim” (2003) Piotra Siepotnika, gdzie scenograf „Solaris” Michaił Romadin opowiada, jak to zaproszony do jury na zachodnim festiwalu Andriej Tarkowski zszedł do recepcji ubrany w garnitur i krawat, budząc tym śmiech odzianych w wyciągnięte T-shirty pozostałych jurorów. Swoją uwagę poświęcił mu jednak Antonioni, wręczając wizytówkę ze słowami: „Tu jest mój numer telefonu”. „Ale ja nie mam telefonu” – odparł Tarkowski. „To typowa opowieść z czasów sowieckich” – smutno kiwa głową Romadin.

Niedopasowanie – to uczucie, którego Tarkowski doświadczał stale jako twórca z bloku wschodniego, jako filmowiec tępiący we własnym kraju, jako emigrant, ale przede wszystkim jako bezkompromisowy artysta kierujący się bardzo precyzyjnym kodeksem moralnym: „Nie powinno być przepaści pomiędzy własną pracą, własnym kinem a własnym postępowaniem”. Te słowa reżysera padają w innym intrygującym dokumencie, „Moskiewskiej ele-

gii” (1986), zrealizowanej przez jednego z największych eksperymentatorów rosyjskiego kina, Aleksandra Sokurowa. Tarkowski mówi, że kinu trzeba służyć, a nie poświęcać się mu, debiutantów poucza o moralnej odpowiedzialności, jaka na nich ciąży, przekonuje, iż „sztuka oddziałuje na odbiorcę nie na zasadzie zderzenia, ale ucłowieczania. Sztuka ma sens, gdy pokazuje świat artysty, pisarza, który jest w stanie zmienić duszę



„Mały marzyciel” (1960)



„Andriej Rublow” (1966)

odbiorcy. Czytelnik bądź widz nie będzie już takim, jakim był przedtem”.

Gdzie są dziś tacy reżyserzy! – chciałoby się westchnąć. Ale nim westchniemy, spójrzmy w lustro albo i w zwierciadło: bo gdzie są dziś gotowi na takie wyzwania widzowie?

Festiwal Filmów Rosyjskich „Sputnik nad Polską” 6–15 XI, Warszawa, od 13 XI festiwal przenosi się do Krakowa, Poznania, Szczecina, Katowic i 20 innych polskich miast. Szczegóły na www.sputnikfestival.pl. 10 XI w kinie Kultura odbędzie się debata o twórczości Tarkowskiego z udziałem między innymi syna artysty, Andrieja, i przyjaciela reżysera, Aleksandra Gordona



Chilli ZET
Nowe radio w Polsce
w pogoni za kulturą
www.chillizet.pl

9 listopada o 22.50 TVP1 wyemituje „Królika po berlińsku” Bartka Konopki i Piotra Rosołowskiego. Film opowiadający o reżimie komunistycznym z perspektywy zamieszkujących okolice muru berlińskiego królików znalazł się wśród ośmiu dokumentów walczących o nominację do Oscara



Kopia mistrza

Asterix i Obelix właśnie kończą 50 lat. Gratulując jubilatowi, musimy zarazem złożyć im kondolencje z powodu niewesołej przyszłości, jaką zgotował Galom jeden z ich ojców

SEBASTIAN FRĄCKIEWICZ

Na Teutatesa, co ten Uderzo wyrabia? – zastanawiał się pewnie nie jeden fan Galów, kiedy w styczniu tego roku słynny francuski rysownik postanowił sprzedać większościowe udziały rodzinnego Les Editions Albert-René/Goscinnny-Uderzo wydawnicemu potentatowi Hachette Livre.

Uderzo zgodził się także (wbrew wcześniejszym deklaracjom, że nigdy na to nie pozwoli), by po jego śmierci serię kontynuowali inni autorzy. Miłośnicy wąsatych wojowników podnieśli larum, wtórowała im córka artysty. „To tak, jakby wrota galijskiej wioski zostały otwarte dla rzymskiego imperium” – napisała na łamach „Le Monde”. Sylvie Uderzo stwierdziła także, że ludzie korporacji i wydawniczego przemysłu to najgorsi wrogowie Asteriksa, którzy zniszczą jego legendę. Z kolei papa Uderzo oznajmił oficjalnie: wydana właśnie „Złota księga” to ostatni album, przy którym będzie brał udział jako rysownik. W pracy nad kolejnymi komiksami wyręcza go asystent – Frédéric i Thierry Murarki. Nie namiętności ich dlatego, że są doskonałymi artystami, skądże znowu. Sukcesorzy po prostu świetnie kopiuje kreskę mistrza.

Używając metafory Sylvie Uderzo, możemy śmiało stwierdzić, że w galijskiej wiosce już zaczyna panować rzymskiej obyczaj. Ciekawe, co by na to wszystko powiedział zmarły w 1977 roku scenarzysta serii René Goscinnny?

Z naszego punktu widzenia całe zamieszanie wokół historii obrazkowej przypomina spór o pietruszkę, ale we Francji to śmiertelnie poważna sprawa. Asterix, któ-

50-letni Asterix i 82-letni Albert Uderzo, który właśnie wyrzekł się swojego dziecka

Czy w związku z tym
powinno się
ładnie ubrać?



Gdzie jest Wódz?
Wolajcie mojego
męża!!!

Już pędzę,
Dobromino!
Ej, wy tam,
pospieszcie się!



a zarazem niejednoznaczny przekazem, żartował sobie w ten sposób z zapatrzonych w siebie rodaków, ale jednocześnie ich dowartościowywał. Choćby w „Walce

wodzów”, gdzie wyśmiewał nieudolne fascynacje innymi kulturami, czy w albumie „Asterix u Brytów”, dzięki któremu dowiedzieliśmy się, że angielska herbata nie powstałaby bez udziału Galów. Wąsaci wojownicy często pomagali różnym barbarzyńskim ludom uciśkanym przez Rzymian. Zawsze odważni i szlachetni, choć nie zawsze rozsądni.

Ciekawe,
czy Asterix uciechy się
z prezentu?

Goscinnny był mistrzem nianusów i budowania wielostopniowej fabuły. Świetnie skomponowane przygody w Cesarstwie Rzymskim zawierały mnóstwo smaczków, erudycyjnych nawiązań do współczesnej kultury, narodowych stereotypów czy aktualnych wydarzeń politycznych (w „Obeliksie i spółce” jedna z postaci przypomina Jacques’a Chiraca). Umiejętność pogodzenia tych wszystkich elementów w taki sposób, by ze sobą subtelnie współgrały i nie były zbyt łatwe do odczytania, stanowiła prawdziwy przepis na magiczny napój.

Niestety, Uderzo, który po śmierci Goscinnnego brał się również do pisania scenariuszy, najwyraźniej nie poznał przepisu swojego kompana. Seria nie miała już tej lekkości, a gra nawiązaniami stała się momentami prostacka, jak w przypadku przedostatniego albumu „Kiedy niebo spada na głowę”. Zawartość Asteriksa w Asteriksie znacznie spadła. A coż będzie w przyszłości? Będzie spadać coraz bardziej. Zmiana rysownika to kolejny krok w tym kierunku. I choć we Francji 50. urodziny Asteriksa są wielkim medialnym wydarzeniem, to tak naprawdę urodziny połączone z artystyczną stypą. Oczywiście war-

René Goscinnny, którego scenariusze zawsze charakteryzowały się inteligentnym dowcipem, a zarazem niejednoznacznym przekazem, żartował sobie w ten sposób z zapatrzonych w siebie rodaków, ale jednocześnie ich dowartościowywał. Choćby w „Walce

Pijacy i pijaki

Premiera Michała Zadary, czyli dancing w kwaterze byle jakiej miłości

Trochę więcej spodziewałem się po powrocie Michała Zadary z dobrowolnego rocznego urlopu. Przy okazji prześpał bodaj najważniejszy teatralny sezon w ostatniej dekadzie. Więc chyba niebezpiecznie wydawało mi się, że jak już wróci do teatru, to huknie. Nic z tego. Nadal spełnia się w scenicznych drobiazgach, podciągając go formy hybrydyczne, przypisy i dygresje do klasyki.

W szczecińskim „Noclegu w Apeninach” nową jakością jest realistyczny background. Na scenie przeniesiony w skali 1:1 nocny bar z przygranicznej miejscowości Apeniny, niedawno przejęcia w Kolbaskowie. Byle jakie stoliki, tandeciarski zespół, krzykliwa barmanka o słodkiej ksywce Lizeta (ostra Maria Dąbrowska). Nad blatami stolików wiszą mikrofony, bohaterowie wyśpiewują do nich swoje troski, żale i nadzieje. Zadara zderza XIX-wieczne maniere aktorskie i wokalne (kwestie „na bo-

Mówiono,
że reżyserka i aktorka
Barbara Wysocka się
zadara, teraz
Zadara się zwysoczczył.
Zawsze byliśmy
za inspirującym
przepływem idei
teatrowych z człowieka
do człowieka

ku”, rozmaite „szerokie gesty”) z obyczajową spina. Same postaci to panoptikum Polski B, odpowiedź na groteskowe „maszyny wokalne z teatru Marthallera”, zaproszone na dancing w kwaterze byle jakiej miłości. Imprezo-

Panopticum Polski B, czyli
wesoły bar w Apeninach

wy młodzian, niejaki Antonio (Wojciech Sandach), usiłuje odbić szemranemu biznesmenowi Fabricjowi (fenomenalnie cyniczny Paweł Niczewski) narzeczoną, seksualną niewolnicę Rozynę (Kinga Piątą z wyglądem jak trzeba). W uwspółcześnianiu tej wodewilowej blahostki Zadara idzie tropem Barbary Wysockiej z jej niedawnych „Pijków” wedle Bohomolca*: przenieśmy zwietrzałą sztukę w nowe realia i sprawdźmy, co będzie. Nie skreślajmy za wiele, ale dajmy słowom nowy kontekst (choćby pastiszową muzykę lidera Pogodno – Budynia). Pod koniec zaś zróbmy cyniczną przewrót: Rozyna nie zostanie ocalona, z łap Fabricja pójdzie pod dwuznaczną opiekę właściciela baru Anzelma (szarmancko chwytający dziewczęta za pośladki Grzegorz Młodzik), który będzie ją teraz, jak mówi prosty lud, posuwał w zastępstwie syna ciamałdy.

Zadara nazwał swój spektakl – podobno przewrotnie – „operetką interwencyjną”. Ma ona być jakoby głosem w obronie traktowanych jak towar kobiet zza wschodniej granicy. Jeśli mówię serio, to szczecińska premiera broni się wyłącznie jako sprawny muzyczny show; z przesłaniem można dyskutować. Oburzenie na traktowanie kobiet przez polskich dresiarzy jest oczywiste. Kogóż zdziwi, że w tej cwaniacko-zdegradowanej Polsce pijaki i buce kogoś gwałcą i dręczą. Zadara trafiliby celniej, gdyby ujął się na przykład za molestowanymi aktorami w prowincjonalnych teatrach. Nie wiem, czy zdarzają się takie sytuacje, ale przynajmniej włożyłby kij w mrowisko. A tak tylko „lalałalalaa” z Budyniem sobie śpiewamy. □

„Nocleg w Apeninach” Aleksandra Fredry,
reżyseria i scenografia Michał Zadara, muzyka
Jacek „Budyń” Szymkiewicz, kostiumy Julia
Kornacka, Teatr Współczesny w Szczecinie

Stare filmy i fajfus

W Wytwórni gra Komeda i gadają z Łomnickim

CENTRALNĄ I NAJLEPSZĄ częścią autorskiego spektaklu Leny Frankiewicz jest samplowanie legendarnych filmów. Na ścianie Wytwórni leżą „Niewinni czarodzieje” Wajdy, a dwójka aktorów zaczyna podgrywać dialogi Łomnickiego i Stypulkowskiej, wchodzić w ich maniery, autosceptycyzm, uprawianie miłosnego spektaklu. Obok – już bez wyświetlanego obrazu – idą sceny z „Pociągu” Kawalerowicza, a zespół jazzowy rżnie najpiękniejsze kawałki Komedy.

Czuje się w tym sympatyczną i rzadką dziś tęsknotę do dawnej, podszytej ironią elegancji uczuć, do włożenia w intelektualno-sentymentalne pozy z dystansem dubeltowym (wszak był już w pierwowzorach). Wspomina odnajdują się w tym zwłaszcza panie. Roma Gąsiorowska ma w głosie coś z timbre’u tamtych heroin – Stypulkowskiej, Tuszyńskiej, Czyżewskiej, a lirycznie zamyślona Lena Frankiewicz w twarzowej pizamce pięknie dialoguje z filmową Lucyną Winnicką. Dużo gorzej w konfrontacji wypada współczesność. Scenariuszowa kłama 1960–2009 całkiem się rozsypuje, jest chaotyczna

i nieprzejrzysta. Reżyserka popełnia bodaj wszystkie błędy debiutu: z nadmiarem tematów, brakiem hierarchii i wyboru, piętnastoma puentami. A do tego musiała jeszcze wtrącić męski akt! To jakaś plaga! Jak się zdaje, niezidentyfikowany doradca szepcze do ucha młodym artystom, że jeśli nie pokażą na scenie gołego fajfusa, nie ujdą za nowoczesnych. Czy odpowiednie służby nie powinny wreszcie złapać tego zboka i przykładowie go ukarać?

– Jacek Sieradzki

„60/09”, spektakl Leny
Frankiewicz, scenografia
Melania Muras, projekcja Julia
Sitarska, Bartek Potoczny,
Teatr Wytwórnia w Warszawie



Wszystko z wszystkim dialoguje, nawet speszony
M. Żurawski z rowerzystą B. Woźnym



AUTOPORTRET KANGÓRA

O RODZINNYCH TAJEMNICACH, O ŻYDOWSKIEJ TOŻSAMOŚCI, WOJNIE I SZALEŃSTWIE
MÓWI **EWA KURLUK**, AUTORKA WYDANEGO WŁAŚNIE TOMU WSPOMNIENI „FRASCATI”

Mocno zaczyna pani wspomnieniową książkę „Frascati”. Dręczona halucynacjami matka mówi do pani i kilkuletniego wówczas brata, że za chwilę przyjdą „oni” i poderzną wam gardła. Dla ochrony przed wymagowanymi napastnikami zamyka was na noc w ciemnej łazience. Dzieciństwo kojarzy się pani ze strachem?

– To było podczas wakacji w Bułgarii. Mamie wydawało się, że płynie po nas statek i chcą nas uprowadzić. Baliśmy się z bratem, to jasne. Ale mieliśmy w łazience, w której mama zamykała nas na klucz, dwa żółwie morskie uratowane przez nią z targu. Z nimi było nam raźniej. Świat dziecka rządzi się inną logiką niż świat dorosłych. Mama uważała, że grozi nam niebezpieczeństwo, więc nas ukryła. I jakoś się z tym pogodziliśmy, choć ja bardziej niż mój młodszy brat.

Może dlatego, że przysnił się pani wówczas inny statek, który dużo później pojawi się w pani twórczości?

– Charon przewoził umarłych łodzią do Hadesu. I pewnie na ten mit nałożyły się mamie jej przeżycia wojenne i płynące z nich lęki. Ale skąd mogłam to wiedzieć? W każdym razie w Złoty Piasek przysnił mi się nie „ich” statek, tylko „nasz”. Na maszcie powiewała chorągiewka z napisem „Frascati”, wiatr wydymał żagle z żółtego jedwabiu. Od tamtej pory sen powraca w różnych wersjach, a ja zrobiłam wiele statków. Jeden, ogromny, z moimi bliskimi na pokładzie, wyciełam z żółtego jedwabiu trzy lata temu. Cień statku wycinanki miał paść na tylną ścianę polskiego pawilonu w Wenecji, gdyż był to projekt na biennale, lecz konkurs przegrałam. Natomiast na wystawę w galerii Artemis w Krakowie przywiozłam w walizce „Stateczek” z wycinankami brata i siebie na pokładzie.

Kiedy uświadomiła sobie pani, że matka cierpi na chorobę psychiczną?

– Chyba w Wiedniu. W 1959 roku tata został ambasadorem Polski w Austrii. Liczył może, że mamie poprawi się w Wiedniu, a tymczasem mamie właśnie, gdy usłyszała język niemiecki, choroba wybuchła ze zdwojoną siłą, bo mama po-

czuła się osaczona. Stała na balkonie i wrzeszczała na sąsiadów: „SS, SS!”. W jakimś sensie trudno się jej dziwić. Pewnie z 80 procent dorosłych Austriaków było w NSDAP, wielu zrobiło kariery w SS. Na domiar złego mama trafiła do kliniki znanego wiedeńskiego psychiatry, który był w czasach nazistowskich – o czym rodzice nie mieli pojęcia – działaczem Towarzystwa Higieny Mentalnej, a więc zwolennikiem stosowania eutanazji wobec osób psychicznie chorych. Po anslusie, gdy wyrzucono z Austrii wielu wybitnych lekarzy Żydów, w tym Zygmunta Freudą, został profesorem. A po wojnie się przefarbował: udawał kosmopolitę, przyjaciela Żydów. W jego ekskluzywnej klinice leczyły się żony dyplomatów i ktoś go ojcu polecił. Wydawał na leczenie trzy czwarte swojej pensji, a u mamy tam właśnie nastąpiła zupełna zapaść. Nie poznawała nas, nie chciała wracać do domu – czyli do pełnej ubeccji ambasady PRL. Miałam to mamie za złe i dopiero pod koniec jej życia, słuchając jej opowieści, zrozumiałam, że zadurzyła się w swoim wiedeńskim psychiatrze. Przypominał jej dziadka, miał swój pokój na oddziale, często tam nocował, świadomie przywiązywał do siebie pacjentki. A ja, by od tego wszystkiego uciec, przystałam do młodej wiedeńskiej bohemy: przesiadywałam w kawiarni u Havelki, paliłam papierosy, wdawałam się w romans z dwa razy starszym ode mnie węgierskim uchodźcą. Mój ojciec znalazł się w sytuacji nie do pozazdroszczenia.

Przed wojną był ideowym lewicowcem, twórcą „Sygnałów” lwowskich, a po wojnie związał się z komunistyczną władzą.

– W 1948 odszedł z redakcji „Odrodzenia”, by nie firmować swoim nazwiskiem pisma, które miało stać się stalinowskie, a które on sam traktował jak wskrzeszone „Sygnały”. Potem pracował w redakcji literackiej Polskiego Radia i w PIW-ie, a w 1956 został na 18 miesięcy ministrem kultury w rządzie, z którego został wyrzucony, gdy minęła październikowa odwilż. Jako dyrektor PWN-u zamieścił po raz pierwszy w historii powojennej dwa hasła w encyklopedii: „obozы koncentracyjne” (dla wszystkich)

i „obozы zagłady” (w których eksterminowano Żydów). I umarł na trzeci zawał w wieku 57 lat, gdy zaczęła się nagonka na PWN.

Pod koniec życia lekcewał lekarzy, właściwie nie chciał już żyć, coś się w nim wypaliło. Co więcej, miałam wrażenie, że ten człowiek, o którym jeszcze wtedy nie wiedziałam, że to prawdziwy bohater, czuł się kompletnie przegrany. Pobyt w Austrii uświadomił mu, jak marny jest system, który reprezentował. Jednocześnie uważał, że Związek Radziecki jest potęgą, która może przetrwać nawet tysiąc lat. Znalazł się w potrzasku.

Był bohaterem, bo w czasie wojny ukrywał pani mamę?

– W 1969 roku Zofia Lissa, krytyk muzyczny „Sygnałów”, napisała w swoim wspomnieniu o ojcu, że wziął do domu młodą Żydówkę siedzącą samotnie na ławce w parku Stryjskim [we Lwowie – przyp. red.]. Pamiętam, że mama skomentowała to słowami: „Lissa to plotkara, nic nie wie”. Dało mi to do myślenia, tym bardziej że mama przepadała za ławkami w parku. Po jej śmierci, by dowiedzieć się czegoś więcej, napisałam do Yad Vashem. I wyszło na jaw, że ojciec uratował dwóch braci Frauenglasów i ich mamę oraz – zgodnie z ich świadectwem – przechował gdzieś osobno „młode małżeństwo”. Przypuszczalnie, choć nie na pewno, była to moja przyszła mama Miriam Kohany ze swoim przyszłym mężem Teddym Gleichem. W każdym razie ojciec został Sprawiedliwym wśród Narodów Świata w 37 lat po swojej śmierci i trzy lata po śmierci mamy.

Czemu nie zapytała pani mamy, jak było naprawdę? Nigdy o tym nie rozmawiałyście?

– Tylko raz. W roku 1985, gdy mieszkalam w Nowym Jorku i nie miałam paszportu ważnego na wjazd do Polski. Spotkałyśmy się w Szwajcarii i pomyślałam, że może tam, na neutralnym gruncie, mama nie będzie się bała podслуchu. Na balkonie w Lozannie zapytałam: „Mamo, czy jesteś...?”. Położyła palec na wargach, a po namyśle odparła: „Tak. Ale obiecuję ci, dziecko, że za mojego życia i życia Piotra [brat Ewy Kurluk – przyp. red.] nie powiesz o tym publicznie. I już nigdy o tym nie rozmawiamy”. Uważała, że jeśli ludzie się dowiedzą, że jesteśmy Żydami, mnie i Piotrusiowi zagrozi niebezpieczeństwo. Piotruś spędził trzy czwarte swojego życia w szpitalach psychiatrycznych, gdzie i tak dzieją się rzeczy straszne, więc pewnie miała rację.

Nie dotrzymała pani słowa danego matce i w książce „Goldi”, a wcześniej w katalogu do wystawy „Ludzie z powietrza”, przyznała się pani do swojego pochodzenia.

– Gdy doszło do mojej retrospektywy „Ludzie z powietrza”, mama już nie żyła, ale żył mój brat. Nie chciał iść na wystawę i wydawało mi się nawet, że miał mi ją za złe. Wtedy to zlekceważyłam, ale po nagłej śmierci brata, który umarł w rok później – na krótko przed publikacją „Goldiego” – nie mogłam sobie tego darować. Kilka miesięcy przed śmiercią Piotr został →

→ ciężko pobity w dziennym ośrodku dla ludzi psychicznie chorych. Nie wiem, czy to miało jakiś związek z naszym pochodzeniem, ale do dziś mam wyrzuty sumienia.

Matka, jak rozumiem, przez całe życie się ukrywała. Z ojcem też pani nie rozmawiała o słowie na „ż”? To było rodzinne tabu?

– Tak. I myślę sobie, że zupełnie słusznie. Jak powiedzieć małemu dziecku: „Niemcy, czyli ludzie, spalili trzy miliony niewinnych mężczyzn, kobiet, dzieci, bo byli innej narodowości”. W jaki sposób mieli mi rodzice opowiedzieć o tym, że z dymem poszła prawie cała rodzina mamy, a ona sama ocalała przez przypadek, bo koło ławki, na której usiadła w parku Stryjskim, przechodził Karol Kuryluk? Jak powiedzieć dziecku, które chce pani wychować na porządnego człowieka, o powojennych pogromach w Krakowie i Kielcach? Dla mamy nie było tabu od zawsze. Zaraz po wojnie, przed moim urodzeniem, pisała o losach Żydów, nie unikała słowa na „ż”. I stąd moje podejrzenie, że to na skutek ran odniesionych w Kielcach, latem 1946 roku zmarł w krakowskim szpitalu uroczy Teddy Gleich, mąż mojej mamy, którego zdjęcia i listy odnalazłam po jej śmierci w naszym mieszkaniu na Frascati. Czy można się dziwić, że mama była szczęśliwa, że urodziłam się blondyneczką z niebieskimi oczami, a nie wyglądałam jak moja koleżanka Misia, którą przedszkolanka w małym prywatnym przedszkolu straszyla, że jak będzie niegrzeczna, to pójdzie do pieca. Mama Misi, czyli szlachetna młoda Polka, która zaadoptowała żydowską sierotę, nie mogła tego znieść i wraz z córką wyemigrowała z Polski. Tak więc „dobry wygląd” przydawał się i po wojnie. Ze słowem „Żyd” oswoiłam się dopiero w Ameryce. *Jew* nie brzmiało dla mnie tak przeraźliwie jak „Żyd”, a w Nowym Jorku co druga osoba była z pochodzenia Żydem.

Nie założyła pani rodziny, nie ma dzieci. Poświęciła się pani matce i bratu?

– Nie. Żyłam sztuką, romansowałam, podróżowałam. Chciałam pomóc moim bliskim, ale nie zostałam ich pielęgniarzką. Wiedziałam, że temu nie podołam. W dzieciństwie chorowałam na serce, dużo czasu spędziłam w szpitalach, dużo czytałam, byłam nad wiek dojrzała. I powtarzałam mamie: „Nie wymagaj ode mnie za dużo, bo to wszystko padnie”. Wtedy się opamiętywałam. Prawda jest taka, że przetrwałam – mama, brat i ja – bo każdy z nas wykonał wysiłek, by przetrwać. A mama najbardziej. Zaskakujące było dla mnie wyznanie pani matki, że w Marcu '68 roku, żeby ocalić państwa mieszkanie na Frascati, udawała wariatkę.

– Nie jestem przekonana, że udawała. Po prostu czuła, co się dzieje, i jej stan się zaostrzył: szalała, wyła, krzyczała do utraty głosu. Ale sama uważała, że udaje dla naszego dobra, że wariatkę trudniej będzie wyrzucić na bruk, wypchnąć na emigrację. Był to dla mnie najcięższy okres. Ojciec zmarł w grudniu 1967 roku i stałam się głową rodziny, Piotr zachorował psychicznie.

Ja sama byłam gotowa na emigrację. Gdyby nie mama, pewnie byśmy wyjechali. A dziś nie byłoby Frascati i nie miałabym po co przyjeżdżać do Warszawy. Stalibyśmy się jednymi z wielu marcowych emigrantów. To, że jakoś funkcjonuję w kulturze polskiej, jest zasługą mamy.

Brat zachorował po śmierci ojca?

– Piotruś był genialnym dzieckiem, a te, podobnie jak wybitni artyści, często zahaczają o szaleństwo. Cięża mamy była ciężka, poród też. Brat urodził się z alergią na mleko matki, ze zniekształconą głową. Był nadwrażliwcem i miał 17 lat, kiedy ojciec zmarł nagle w Budapeszcie. Nie znaleziono mnie na ASP i na Węgry poleciał Piotruś, by zdjąć obrączkę z ręki ojca. Wrócił, płacząc, i płakał do pogrzebu. A kiedy przestał, usiadł pod drzwiami naszego mieszkania i razem ze spanielką Zazą czekał na powrót taty. Tak zaczęła się choroba, odyseja szpitalna. Wiele razy chciał się zabić i raz niemal mu się to udało. Owinął się w kołdrę anilinową, którą podpalił. Miał spaloną połowę ciała, przeżył śmierć kliniczną, uratował go przeszczep skóry. Stąd pewnie moje zainteresowanie surówką bawełnianą, która mi przypomina skórę, rysunki czerwonym tuszem „na skórze”.

Pani mama uważała, że kłopoty ze zdrowiem Piotra, fakt, że był uczulony na większość rzeczy, że nie mógł jeść, to odwet „tamtych” za to, że jej udało się przeżyć.

– Ludzie, którzy przeżyli, mieli straszne poczucie winy. Kiedy mama uciekała z Bielska zaraz po wybuchu wojny, nie wiedziała, że zostawia na pewną śmierć starych rodziców i chorowitą młodszą siostrę. Ale tak było. Potem musiała mieć wiele odwagi, żeby uciec z getta lwowskiego, nie mając nikogo bliskiego po drugiej stronie. Ja nie miałabym chyba takiej woli życia i wołałabym umrzeć, niż żyć w ukryciu, na łasce obcych ludzi. Ale mama chciała żyć i o tym jest „Frascati”. Holocaust stał się masowym grobem, stosem beziemiennych trupów. A przecież historia każdej jednostki była inna, a prawdę o tamtym czasie składamy, jak rebus czy wykładnię, na podstawie słów bliskich, strzępów informacji. Prawdę przysyłają rozmaite powieści na temat zagłady ukazujące się na całym świecie, z horrorami tworzonymi dla sensacji. W swojej książce nie chciałam sobie niczego wyobrażać. Zdecydowałam się oddać głos mamie i zastosowałam rodzaj montażu, dodając do jej słów fragmenty zapisków mamy i dzienników ojca znalezionych przeze mnie na Frascati.

Ewa Kuryluk – eseistka, pisarka, malarka.

Autorka 20 książek. Współzałożycielka i członkini redakcji „Zeszytów Literackich”. Mieszka w Nowym Jorku, Paryżu i w Warszawie. Właśnie ukazała się w WL jej książka „Frascati”, która jest kontynuacją „Goldiego”, finalisty Nagrody Nike 2005.



• Zdjęcie w kostiumie kangura i inne autofotografie artystki znajdziecie w albumie „Kangór z kamerą”

Przytacza pani w książce rozmowę z mamą na temat tego, czy dzieci ofiar też są ofiarami. Czuje się pani ofiarą?

– Nie jestem ofiarą. Co więcej, powiedziałabym, że ani mama, ani nawet mój nieszczesny brat nie byli w pełni ofiarami. Każdy z nas stworzył sobie własny świat, żeby się nie poddać, przetrwać. I nie stracić smaku życia. Mama cieszyła się zapachem jabłek, kwiatami na Frascati, swoją ławeczką w parku. Piotr przeszedł gehennę, ale umarł, gdy dobiegał wieku ojca. Jakiś krytyk napisał, że w pani twórczości człowiek urodził się z wadą genetyczną pamięci Auschwitz. Pojawia się pani na swoich obrazach, płótnach, instalacjach. Sztuka to bezpieczna kryjówka?

– Sztuka ani nie jest bezpieczna, ani nie jest kryjówką, ale potrafi przynieść ulgę, rozładowując psychiczne napięcie. O sobie mogę tylko powiedzieć: mam talent mimetyczny, pęd do autobiografii, piszę w kilku językach. Ale nie wierzę w coś takiego jak „pamięć genetyczna”. Kiedyś w ogóle nie dostrzegaliśmy genetyki, teraz ją przeceniamy. Mam po prostu dobrą pamięć i z tego korzystam.

Ale też w jakimś sensie z pamięci pani mamy? Jej los zdeterminował pani życie.

– Zdeterminowało mnie też postępowanie ojca, który bardzo kochał mamę, ale trwanie przy niej brało się nie tylko z miłości, było też rodzajem moralnego imperatywu. Uratował mamie życie i czuł się za nią odpowiedzialny, nie porzucił jej, gdy zachorowała, czego jako nastolatka pragnęłam, ale czego pewnie nigdy bym ojcu nie wybaczyła. Określiło mnie też urodzenie po samej wojnie, świadomość, że *homo sapiens* nie jest zachwycającą istotą. Jako przedszkolak magazynowałam rękę wydhubywaną ze szper w podłodze, by ją połknąć w razie wybuchu trzeciej wojny. Ucieszyłam się też bardzo, gdy doktor Jan Żabiński, przyjaciel rodziców i dyrektor warszawskiego zoo, mianował mnie, czteroletkę, kangurem. W zburzonej Warszawie świat zwierząt pociągał mnie bardziej od świata ludzi. Kangór – pisany przez „6” z miłości do górnika – stał się moim ulubionym alter ego i na swoje 63. urodziny spełniłam dziecięce marzenie: sfotografowałam się – po pół wieku autofotografii uprawianej od 13. roku życia – w wypożyczonym w Paryżu stroju kangura.

Po co pani napisała tę książkę?

Ekshibicjonizm artystki nie ma granic?

– Napisałam „Frascati”, żeby oddać sprawiedliwość mamie i bratu. Wbiły mi się w pamięć słowa Chateaubrianda, który pojechał kiedyś do starego zamku odwiedzić leciwe ciotki i zanotował w dzienniku, że świat nie dowiedziałby się nigdy o ich istnieniu, gdyby on sam o nich nie napisał. Świat wiedział o moim ojcu, ale nic o mojej mamie i bracie. A to ich choroba właśnie uświadomiła mi wartość szaleństwa obnażającego całe nasze okrucieństwo.

osobowości • kariera • pieniądze • seks



SIĘGNIJ PO SUKCES

Teraz SUKCES i PRZEKRÓJ w jednym wydawnictwie

OTWÓRZ
oczy

MURY, KTÓRE NIE CHCĄ RUNĄĆ

DAJMY SPOKÓJ MUROWI BERLIŃSKIEMU. NIE MA GO
PRZECIEŻ OD 20 LAT. W TYM CZASIE NA ŚWIECIE POWSTAŁY
NOWE. WIĘKSZE. I ONE BĘDĄ TRWAŁY. NIESTETY

PODZIAŁY SYLWIA PIECHOWSKA



Fragment muru między Izraelczykami a Palestyńczykami. Ci pierwsi mają z jego powodu święty spokój, ci drudzy – świętą wojnę



Mur, a właściwie wał, oddzielający Maroko i terytorium Sahary Zachodniej. Wygląda niewinnie, ale ma 2700 kilometrów długości. Zbudowany w latach 1981–1987 do dziś rozdziela tysiące rodzin z ludu Sahrawi – rdzennych mieszkańców Sahary

Dlaczego powstają? Niekiedy w obronie własnej. Ale najczęściej dla świętego spokoju; niektórzy nie potrafią zaakceptować tego, że inni są inni. Ci inni zawsze robią więcej zła niż dobrego. Mur berliński – symbol komunistycznych represji, który runął 9 listopada 1989 roku – tak naprawdę był wyrazem strachu. Strachu energetycznego aparatu państwowego przed tym, że obywatele wybiorą zgnili kapitalizm.

Każdy mur wyraża strach. Strach przed napływem imigrantów, przed biedą czy przemocą. Hiszpanie odgradzają murem Ceutę i Melillę – miasta na wybrzeżu Maroka, przez które emigranci z Afryki próbują dostać się do Unii Europejskiej. Władze Rio de Janeiro izolują dzielnice biedoty (piszemy o nich na s. 20). Izraelczycy odcinają od świata Zachodni Brzeg. 10 lat temu władze czeskiego Uścia nad Łabą odgradziły 150-metrowym murem Romów od

Zdaniem ekspertów bariery zaczną zniknąć wraz ze zmniejszaniem się dysproporcji społecznych. Jeśli mają rację, to mury czeka świetlana przyszłość

miejscowej ludności. Ten akurat udało się szybko rozebrać, ale reszta świetnie się trzyma.

– Mury mogą być dobrym tymczasowym rozwiązaniem, gdy dwie społeczności nie są w stanie współżyć pokojowo – mówi Rafał Chwedoruk, politolog. – Jeśli jednak szybko nie znajdzie się rozwiązanie konfliktu, mury będą go tylko pogłębiały.

Tak stało się w Belfaście, gdzie betonowe ściany od lat 70. oddzielają protestantów od katolików. I tak może stać się w Bagdadzie, gdzie dwa lata temu Amerykanie wybudowali mur między sunnitami i szyitami.

Bariery zaczną zniknąć wraz ze zmniejszaniem się społecznych dysproporcji – uważa Chwedoruk. Jeśli ma rację, mury czeka świetlana przyszłość.

1. Bunkry na piasku

Miejsce: Maroko

Długość: 2700 kilometrów

To dziś najdłuższy na świecie „czynny” mur. Oddziela zachodnie Maroko od obszarów, na których działa Front Polisario – separatystyczna organizacja, która od 1973 roku walczy o niepodległość dla Sahary Zachodniej.



Izraelski mur jest rajem dla palestyńskich graffitiarzy, ale reszta ma z jego powodu ograniczony dostęp do szkół, lekarzy, miejsc pracy i terenów uprawnych

Konstrukcja rozbudowywana w latach 80. Jest silnie ufortyfikowana. Mur z piasku i kamienia jest chroniony przez czujniki, bunkry i stanowiska artylerii. Od strony wschodniej mur jest dodatkowo chroniony pasem pola minowego o szerokości pięciu kilometrów.

Mur powstał, by powstrzymać ataki terrorystyczne Polisario na terytorium Maroka. Rebelianci żądają rozpisania referendum na spornym terytorium (gwarantowało to porozumienie pokojowe między stronami), natomiast Maroko zgadza się tylko na autonomię w granicach swojego państwa.

2. Ściana płaczu

Miejsce: Zachodni Brzeg Jordanu

Długość: ok. 500 kilometrów i rośnie

To najbardziej kontrowersyjny mur na świecie. Powstaje, choć i Międzynarodowy Trybu-

nał Sprawiedliwości, i Sąd Najwyższy Izraela uznają go za przynajmniej częściowo nielegalny. Z zamieszkanego przez dwa i pół miliona Palestyńczyków Zachodniego Brzegu Jordanu tworzy odcietą od świata enklawę. Bariera, która ma liczyć nieco ponad 800 kilometrów, to przeważnie zasieki albo betonowa ściana wysokości ośmiu metrów. Budowę muru Izraelczycy tłumaczyli zagrożeniem ze strony palestyńskich terrorystów, wykorzystali ją jednak do zagarnięcia całych połaci (pięć tysięcy hektarów) palestyńskich ziem. Niektóre miejscowości zostały z trzech, a nawet z czterech stron ogrodzone murem. Mimo że budowa muru będzie kosztować Izrael co najmniej miliard dolarów, władze zapewniają, że to tymczasowa konstrukcja, która zniknie, gdy tylko uda się zawrzeć porozumienie z Palestyńczykami.

3. Mur niechęci z parkiem Przyjaźni

Miejsce: Granica Meksyku i USA

Długość: ok. 1000 kilometrów i rośnie

Liczące trzy tysiące kilometrów amerykańsko-meksykańskie pogranicze to w jednej trzeciej betonowe ściany, bariery samochodowe oraz elektroniczny system czujników ruchu. Mur w zasadzie już nie będzie rozbudowywany, ale do 2014 roku cała granica ma być strzeżona elektronicznie. Amerykańskie władze przekonują, że ograniczają w ten sposób przemyt narkotyków oraz liczbę nielegalnych emigrantów.

Wyjątkowym miejscem w tym pasie zasieków i czujników był znajdujący się pomiędzy San Diego w Kalifornii a Tijuana w Meksyku park Przyjaźni. Tu oba kraje oddziela jedynie metalowa siatka, co do niedawna pozwalało ludziom po obu stronach granicy spotkać —>



Rozmowy przez płot, czyli park Przyjaźni na granicy amerykańsko-meksykańskiej. To już przeszłość. Kilka miesięcy temu władze USA zamknęły to miejsce



→ się twarzą w twarz. W parku widywały się rozdzielone rodziny emigrantów, odprawiano msze bożonarodzeniowe (z opłatkiem podawanym przez otwory w siatce), a nawet odbywały się zajęcia jogi. W lutym tego roku mimo protestów władze USA postanowiły odciąć dostęp do tej części granicy i zbudować niedaleko betonowy mur.

4. 38. równoleżnik

Miejsce: Półwysep Koreański
Długość: 238 kilometrów

To najlepiej strzeżona granica na świecie. Prawie milion żołnierzy z obu Korei pilnuje jej dzień i noc. Są w stałej gotowości, bo formalnie od 1950 roku Korea Północna i Południowa znajdują się w stanie wojny – ich władze nigdy nie podpisały porozumienia pokojowego. Granicę wyznacza linia demarkacyjna przebiegająca w pobliżu 38. równo-

leżnika. Jest zbudowana z trzymetrowej siatki, drutów kolczastych i wału przeciwczołgowego. Po obu jej stronach rozciągają się pola minowe. Strefa zdemilitaryzowana wokół granicy ma cztery kilometry szerokości; to teren od 50 lat prawie nietknięty przez cywilizację. Od kilku lat trwają wysiłki na rzecz przynajmniej częściowego otwarcia granicy. Bez efektu. Oba kraje zazdrośnie strzegą swoich zdobyczy. Władze w Seulu boją się exodusu biedaków z Północy. Władze w Phenianie – napływu demokracji z Południa. Z tyleż spektakularnych, ile rzadkich spotkań przywódców na linii demarkacyjnej na razie nic nie wynika.

5. Bieda pod dywan

Miejsce: Rio de Janeiro, Brazylia
Długość: 14 kilometrów (w budowie)
W Rio de Janeiro jeszcze w tym roku mają powstać mury wokół rzą-

Rzadki widok.
Autobus z delegacją oficjeli z Seulu pokonuje granicę między Koreami

dzonych przez mafie dzielnic biedoty (fawele). Oficjalnie ma ona chronić lasy tropikalne przed dalszym zniszczeniem. Z roku na rok fawele powiększają się coraz bardziej, pochłaniając okalającą miasto puszcę. Mury mają też pomóc w chwytaniu gangsterów, odcinając im drogę ucieczki do lasu. Tylko niektórzy mieszkańcy slumsów mają nadzieję, że będzie lepiej. Większość określa projekt mianem społecznego apartheidu. – Przez mury czujemy się jak w getcie – mówią. Uważają też, że urzędnicy chcą ich zamknąć w fawelach, by ukryć prawdziwy problem Rio de Janeiro: brak mieszkań. Coraz więcej ludzi przybywa tu w poszukiwaniu lepszego życia, a ponieważ nie mają gdzie się podziać, wycinają drzewa i budują na podmokłym terenie drewniane baraki, które często spływają w czasie ulew.

Władze stolicy Argentyny Buenos Aires też wpadły na pomysł oddzielenia murem bied-



Mieszkańcy faweli – biednych dzielnic Rio de Janeiro – często narzekają, że ich kontakt z resztą miasta jest coraz bardziej ograniczony

nych od bogatych. Ale po ostrych protestach mieszkańców i prominentnych polityków dały sobie z tym spokój.

6. Irlandzka tama

Miejsce: Belfast, Irlandia Północna
Długość: 20 kilometrów i rośnie
Ściany pokoju – tak nazywają się betonowe mury, które ciągną się przez Belfast. Zaczęły powstawać pod koniec lat 60., by oddzielić zwaśnionych protestantów i katolików. Początkowo władze Irlandii Północnej (tak jak dziś władze Izraela) zarzekały się, że mury są rozwiązaniem tymczasowym i na pewno nie przerodzą się w barierę w stylu muru berlińskiego. Dziś, gdy od podpisania porozumienia pokojowego minęło ponad 10 lat, a IRA nie przeprowadza już zamachów, coraz częściej słychać opinie, że czas spełnić tę obietnicę. Ale zwycięża strach. Część mieszkańców boi się, że gdy znikną mury, starcia między wyznawcami obu religii znów staną się codziennością. – Kiedy przyjedzie tu koparka, to albo ja zabiję operatora, albo on mnie – zagroził jeden z katolików. Więc mury stoją i jest ich coraz więcej. Ostatni zbudowano w zeszłym roku. □

Mury są uniwersalne. Wznoszą je kraje demokratyczne i reżimy, bogate i biedne. Każdy ma swojego „innego”, od którego chce się odgrodzić



„Linie pokoju”
od 40 lat gwarantują spokój katolikom i protestantom w Belfaście. Są również jedną z głównych atrakcji turystycznych

ROZMAITOŚCI

W tym tygodniu:
KRZYŻÓWKA O MARSZU
(KROKODRYL), SZARY
O MARSZU NA CMENTARZ,
A ŁADNE RZECZY O MARSZU
DO SKLEPÓW

KONKURS

Uwaga, konkurs!!! Czytaj, p...
i wygraj! Co nie odpuści...
na dzień? Osoba, która jako...
wyśle prawidłową odpowiedź...
rozrywka@przekroj.pl, otrzyma...
Elsebeth Egholm, Ukryte...
Odpowiedź z zeszłego tygodnia...
entuzjazm do solówki...
wykrzykuje Louis...
Armstrong.

Szary wiruje pył

MARCIN PIESZCZYK

Akcje „Znicz”

JEŚLI KTOŚ UWAŻA, ŻE NAJBARDZIEJ RODZINNYMI ŚWIĘTAMI jest Boże Narodzenie, nie był chyba nigdy „na grobach”. Podczas gdy przy wigilijnym stole widzimy najczęściej wciąż te same twarze, a krzesło dla zbłąkanego wędrowca stoi puste (no, chyba że akurat zajmie je nasz pupil, któremu tego dnia pozwalamy na więcej niż zazwyczaj), to 1 listopada możemy spotkać dawno niewidziane ciotki. Dziwi nas ten widok, albowiem już dawno myśleliśmy, że ich święto przypada właśnie w Dniu Zmarłych; one tymczasem trzymają się całkiem chwacko. Chwacko to mało powiedziane! W ramach własnej akcji „Znicz” na listopadowe święto rozkładały

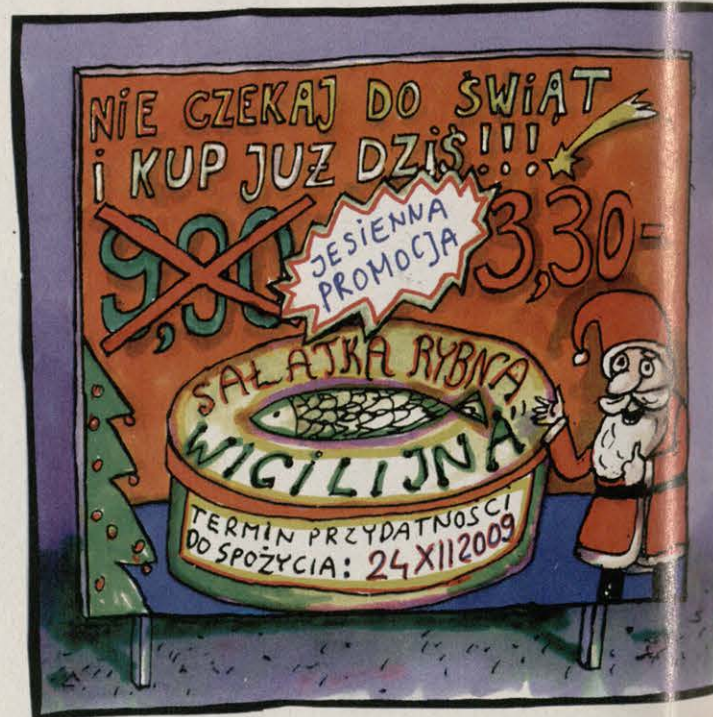
społeczno-materialnej, podczas gdy nasi bliscy, dla których tu teoretycznie przyszliśmy, bezczynnie stacali się po drabinie zapomnienia. Wymarzonymi odbiorcami akcji „Znicz” są zresztą nie tylko członkowie rodziny, ale także ludzie, których Szara nazwała cmentarnymi zбочeńcami. I nie miała na myśli nekrofilów.

To ludzie, którzy znużeni własnym życiem chcieli żyć życiem, a właściwie – o paradoksie! – śmiercią innych. Chcieli się ogrzać nieswoim ciepłem, jakby nie było do tego lepszych miejsc niż cmentarz. Czy nie doświadczycie kiedyś sytuacji, gdy stoicie nad grobem Drogiego Zmarłego, a tu nagle ktoś chwytą was za ramię

niczym Waleśa królową Elżbietę i dalej wyrażać żal, składać kondolencje, wspominać przemyty DZ? Gdy obściskani i obcalowani dochodzicie w końcu do siebie, pytacie go, skąd zna DZ, a ten uświadamia wam, że w 1975 kładł u niego glazurę. Jak po każdym weekendzie zmarłych Szarzy dowiedzieli się z TV, ilu tragediom drogowym zapobiegła akcja „Znicz” (tym razem policyjna), a ilu istnień nie udało się ocalić. Nikt natomiast nie liczył innych strat: zniszczonych zawiejających fryzur, połamanych szpilek i paznokci, pobrudzonych stearyną futer i grobów. Nie należy także pomijać strat ekologicznych: dwutlenku węgla, jaki dostał się do atmosfery, ściętych przed świętem drzew (liście brudzą). Szarzy tylko czekali, aż swoją akcję „Znicz” rozpoczną ekolodzy. A zresztą, każdy ma swój pomysł na AZ...

A wszystko podporządkowane jednemu – prezentacji wewnątrzrodzinnej, jako też sąsiedzkiej: patrzcie, mimo kryzysu nie najgorzej nam się powodzi! Przez ten cały rok, kiedy się widzieliśmy, nie zasypialiśmy gruszek w popiele i wspinaliśmy się po drabinie

Wymyślił i narysował Marek Raczkowski



LEWO
MYŚLNIE

Wolałbym nie... Co mógłbym, a czego nie mógłbym, choćbym nawet chciał

ROMAN KURKIEWICZ



MÓGLBYŚ POUADOWADNIAĆ, ŻE NIE JESTEŚ WIELBŁADEM? Wolałbym nie...

Mógłbyś powiedzieć, że premier, nie mówiąc niczego, coś powiedział? Wolałbym nie...

Mógłbyś poinformować, że jest porozumienie, choć nie wiadomo, co za porozumienie, z kim porozumienie, czego dotyczący? Wolałbym nie...

Mógłbyś robić całe życie to samo? Wolałbym nie...

Mógłbyś chcieć się zamrozić? Wolałbym nie...

Święta za pasem Wyjmujemy węża z kieszeni i lecimy na zakupy

OLA SALWA

MYŚLICIE, ŻE DO ŚWIAT JESZCZE KUPA CZASU? NIC BARDZIEJ MYŚLĘ! Szczególnie czujni muszą być projektanci wystaw sklepowych i nie mogą dać się uprzedzić kolegom po fachu, którzy choinkowe szaleństwo serwują nam zaraz po Święcie Zmarłych.

Zresztą również ci, którzy bożonarodzeniowe drzewko będą ubierać w domu, a nie chcą poprzestać na typowych bombkach i łańcuchach, powinni rozpocząć poszukiwania. Znaleźnienie ciekawych ozdób i sprowadzenie ich w okresie, gdy poczta przeżywa paczkowe obłężenie, wymaga sporo czasu. Tradycjonalistów zaś ostrzegamy – inwestowanie co roku w bombki jest bez sensu, chyba że tłuczenie ich przez dzieci czy psa uznajemy za element świąt. Może to i świetna zabawa, choć trochę kosztowna. Mając na względzie nie tylko globalną, ale i domową ekonomię, warto zainwestować w ozdoby z drewna lub akrylu. Tanie, trwałe, prawie niezniszczalne.



Czerwony nos z marchewki to przeżytek. Muji udowodnia, że cały bałwan może być czerwony



Szopka minimalistyczna: Marię od Józefa (i trzech króli) odróżnia tylko napis

MYŚLNIK

Zer się nie stawia na pierwszym miejscu!

Krzysztof Bilica

Mógłbyś nie czytać nowego wiatelickiego? Wolałbym nie...
Mógłbyś być zupełnie inny? Wolałbym nie...

Mógłbyś być taki sam? Wolałbym nie...

Mógłbyś być taki, jakim chcemy, byś był, ponieważ wiemy, jakim powinniśmy być? Wolałbym nie...

Mógłbyś odpowiadać na wszystkie SMS-y? Wolałbym nie...

Mógłbyś być sprawiedliwy? Wolałbym nie...

Mógłbyś być pracowity? Wolałbym nie...

Mógłbyś rozmawiać tak, żeby nie było słychać tego nieznośnego tonu

wszystkowiedzącego mądrali? Wolałbym nie...

Mógłbyś nie żartować wciąż z tego samego prezydenta, choć on jest wciąż taki sam? Wolałbym nie...

Mógłbyś polubić tych, których polubić nie masz powodu, ale miałbyś interes? Wolałbym nie...

Mógłbyś zrobić to wszystko, co do ciebie należy? Wolałbym nie...

Mógłbyś się zdecydować wreszcie? Wolałbym nie...

Mógłbyś nie być taki niezdeterminowany? Wolałbym nie...

Mógłbyś nie odpowiadać pytaniem na pytanie? Wolałbym nie...

Mógłbyś nie sprawiać wrażenia, że jesteś kimś innym, niż

Mógłbyś pogodzić się z tym, co nie do pogodzenia? Wolałbym nie...

Mógłbyś spoważnieć? Wolałbym nie...

Mógłbyś trochę wyluzować? Wolałbym nie...

Mógłbyś zjeść mięso? Wolałbym nie...

Mógłbyś się z nami napić? Wolałbym nie...

Mógłbyś być łagodniejszy? Wolałbym nie...

Mógłbyś być surowszy? Wolałbym nie...

Mógłbyś pisać te cholerne felietony wreszcie na czas? Wolałbym nie...

Mógłbyś nie sprawiać wrażenia, że jesteś kimś innym, niż

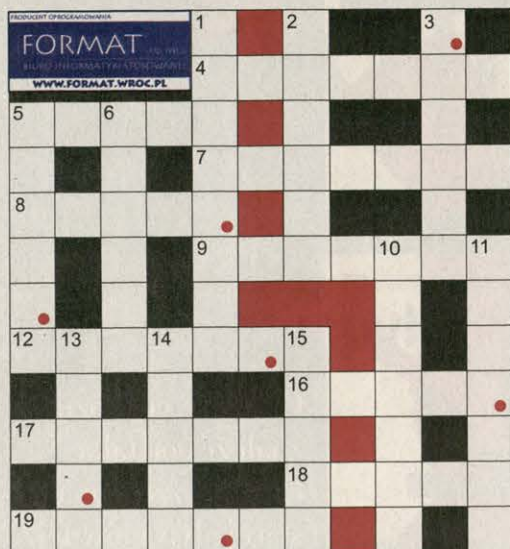
naprawdę jesteś? Wolałbym nie...

Mógłbyś słuchać innej muzyki? Wolałbym nie...

Mógłbyś w ten kretynski, nachalny sposób nie obdarzać wszystkich nazw zawodów żeńskimi końcówkami? Wolałbym nie...

Mógłbyś napisać tekst do antologii „Wolałbym nie”, wydanej właśnie przez Ha!art? Wolałbym nie... Nie, raczej bym nie mógł.

Roman Kurkiewicz
„Klasy polskie”,
Wyd. Iskry,
Warszawa 2009



Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.

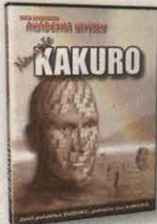
POZIOMO:

4. ZWIĄZANIE ZWIĄZKU
5. KROKODRYL
7. GŁUPI INSTRUMENT
8. NIE WOLNO W OBIE STRONY
9. PIONIER NA ZACHODZIE
12. RAZ W ROKU W SKIROLAWKACH
16. KOŁO DRZWI
17. DYNDALSKI
18. NA PIESKA
19. TOWARZYSZE BRONI

PIONOWO:

1. UROJONA NEKTARYNKA
2. KURCZE BLADE
3. CMA MA
5. CHŁOP Z CHUSTKĄ
6. ALMA PATER
10. PÓŁ KRÓLESTWA
11. STARA ZARYSOWANA LADA
13. GDZIE JEST TA ULICA, GDZIE JEST TEN DOM, GDZIE JEST TA DZIEWCZYNA, CO KOCHAM JA
14. PO KOSTKI W WODZIE
15. Z BRONIA U NOGI

Sponsorem nagród jest FORMAT – producent nowoczesnego oprogramowania edukacyjnego www.akademia-umyslu.edu.pl



JOLKA NR 44

AUTOR: JERZY BUCZEK

WYRAZY 10-LITEROWE:

- NIEJEDEN TURYSTA ZŁAPAŁ JĄ W TAJLANDII
- KREWNI ZJADAJĄ MU POKADANYCH

WYRAZY 8-LITEROWE:

- ŚPI NA KRWAWICY
- ZAPOMNIJ O NIM MIĘDZY ANNASZEM A KAJFASZEM
- BURSZTYNOWY DUBLER
- NIUCHNIE DALEJ NIŻ SZOP PRACZ

WYRAZY 7-LITEROWE:

- CIĘTY NA ZAWODY • TO NIE TYLKO SZEF I ZLEW

WYRAZY 6-LITEROWE:

- LEŻY NA HARMONOGRAMIE
- SPRAWDZAJĄ BILETY ATLANTYCKIM BAŁWANOM

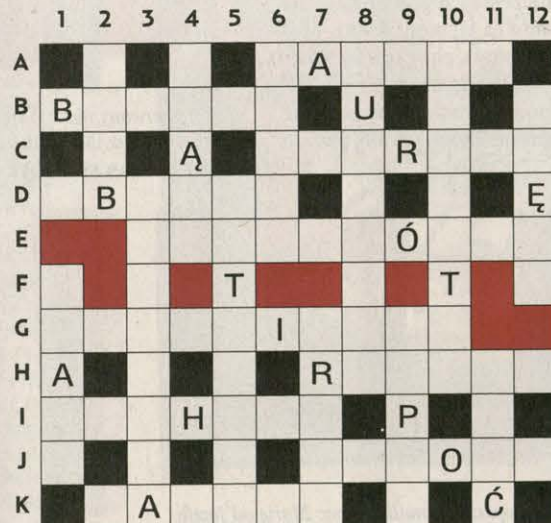
- PRZYMOTNIK DO ZESTRZELENIA • TABU BUBLA • WRACA I WRACA NA EKRANY • URZĘDOWE CZWORONOZI

WYRAZY 5-LITEROWE:

- POLEROWANE NA KONIEC ŚWIATA • PTAKI Z EKSPRESU • CZARNO NA BIAŁYM W LODZIARNI
- ZA MAMUSIĘ, ZA TATUSIA... • NIKT CIĘ W NIEJ OD TYŁU NIE ZAJDZIE • ZIMNE, CIEPŁE I OBCE

WYRAZY 4-LITEROWE:

- WPŁYWA NA SONDĄŻE POPULARNOŚCI KALORYFERÓW
- RZUT BZU



Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

J11_I3_K6_G10_A8_C11_ / E3_A9_J7_C2_ / B3_K4_G9_E4_ / D10_K5_A2_F8_ / H8_I5_F12_B5_D1_G1_I11_A4_B10_.

Uwaga! Jolkę nr 44 i krzyżówkę nr 44 możesz też wydrukować ze strony WWW.PRZEKROJ.PL

JESZCZE RAZ RACZKOWSKI



Wygraj jedną z 10 NOWOCZESNYCH GIER KOMPUTEROWYCH „KAKURO” (Biurowa Informatyka Stosowanej FORMAT). Rozwiąż krzyżówkę lub jolkę i prześlij do nas hasło. Wyślij SMS o treści PRKK.HASLO JOLKI lub PRKK.HASLO KRZYŻÓWKI na numer 72012. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: „Przekrój”, ul. Nowogrodzka 47 A, 00-695 Warszawa, z dopiskiem: „Jolka 44” lub „krzyżówka 44”. Na prawidłowe rozwiązanie czekamy do 9 listopada 2009 roku. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,44 zł brutto.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie imienia i nazwiska, adres zamieszkania, adres e-mailowy, będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Edypresse Polska SA z siedzibą w Warszawie przy ul. Wiejskiej 19, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów lub usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również żądania zaprzestania przetwarzania danych. Podane dane jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu. Realizatorem technologicznym konkursu SMS-owego jest firma Mobile Formats.

ROZWIĄZANIA Z NR. 42

KRZYŻÓWKA: SIKAWKA

Poziomo: 4. LEŻY I PACHNIE – PADLINA 5. GÓWIE DO NABIERANIA – WIDŁY 7. POD PRZESEMEM – CZŁOBIK 8. TABLETA – PROCH 9. LONDYŃSKI KLUB – ARSENAL 12. DOBRY PAŃSTWU – WIECZÓR 16. BAŃSZCZY SE – USZKO 17. NIE W CIEMI BITE – OKŁASKI 18. POPRAWIAJĄ CERĘ – NITKI 19. GACIE NIEBESKIE – RAJTUZY

Pionowo: 1. ODWAŁA ROBOTE – SPYCHĄCZ 2. JAK BUM CYK CYK – ODGŁOS 3. SZUMNIE O LESIE – KNIEJA 5. UJEMNY WPŁYW – WPŁYW 6. NIEWYSOKIE I NIEGRUBE – DROBNE 10. MARZA TEKSTYLNA – NARZUTA 11. MIAŁ CUKROCHY – LAKOCH 13. WYDYMANA PRZES KOWALA – ISKRA 14. PIES ZAKŁADOWY – CHART 15. BANKRUCTWA – RUINY

JOLKA: ROBI NAM SIĘ STRASZNIŁE GŁUPIO, BO TEN LEW JUŻ ZAKATRUPION (z piosenki „Na ryby” Jeremiego Przybory)

Rzędami: BABELK, AGITKA, WIRUS, AHTYTALENT, LAKOCH, WOJSKO, FLAP, ODPREŻENIE, OLCHY, SATURN, ARIZONA Kolumnami: BAWÓŁ, URODZAJ, BURAK, UNIWERSALNA LIST, JEŻYNA, KAKTUS, NOWI, BIBLIOPIL, JECCO, TYRANNA PLYTA

LAUREACI Z NR. 40

KRZYŻÓWKA:

Barbara Hajnowska-Stachowiak, Poznań; Bożenna Kleitka, Jemielnica; Jarosław Pieprzyca, Niepołomice; Wojciech Pohl, Gdynia; Janina Szymczyk, Gorlice

JOLKA:

Michał Bajko, Białystok; Bernard Chmiel, Kargowa; Wiesław Istelski, Kraków; Maria Matyszkiewicz, Sosnowiec; Wojciech Wróblewski, Warszawa



7 Klasyczny język dokumentu wyczerpuje się. Zdjęcia jako takie nie robią już na publiczność wrażenia. Ale z drugiej strony, powołanie do zapisu najbliższej rzeczywistości trwa nieprzerwanie. Fotografowie muszą znaleźć na to nowe sposoby

TOM HUNTER

no do rzeki. Trupa następnego dnia znalazła grupa bawiących się nad wodą chłopców.

Kilka miesięcy później fotograf Tom Hunter zderza te dwa niemające ze sobą nic wspólnego zdarzenia. Łączenie malarstwa z wyczulonym społecznie zapisem rzeczywistości wschodniolondyńskiego Hackney to jego specjalność – od 1997 roku. Teraz, w ramach projektu „Nagłówki”, tworzy oparte na klasycznych obrazach ilustracje do tabloidowych wieści z osiedla. Formę bierze z płótna Constable’a, treść z łamów tabloidu. Chłopców grają dzieci sąsiadów, w trupa wciela się znajomy mieszkaniak squatu. – Sesja trwała prawie dwie godziny. Dzięki ci Boże za pianki dla płetwonurków! – śmieje się fotograf.

– Patrząc na to zdjęcie, widzimy rozproszone światło, ton wody, po prostu urokliwy obrazek – Hunter tłumaczy „Przekroju” swoją twórczość. – Jeżeli przyjrzymy się mu dokładniej, okaże się, że mostek zmienił się w rurę ze ściekami, na drugim brzegu zamiast zagajnika jest jakaś ogrodzona posesja. Wędkę zmienili się w kiję, a w wodzie leży trup. Tak wygląda miejsce, w którym mieszkam. Dopiero kiedy zestawiam ten obraz z dziewiętnastowiecznym płótnem, zdaje sobie sprawę z wagi sytuacji.

Obrazy z osiedla

Tom Hunter zderza obrazy starych mistrzów i współczesne życie okolic Londynu

W 1820 roku JOHN CONSTABLE MALUJE obraz „Młyn w Stratford”. Na romantycznym płótnie chłopcy łowią ryby, ktoś jeździ na koniu, rybacy cumują swoją łódź. Kamienny mostek wiedzie na drugi brzeg rzeki Stour. Oglądamy leniwą idyllę hrabstwa Suffolk. Obraz wystawiany w Royal Academy, nie zbiera pozytywnych recenzji. Krytycy uznają go za zbyt zwyczajny. Codzienna wiejska scena nie jest czymś, czemu warto poświęcać farbę i czas.

W 2003 roku bulwarówka „Hackney Gazette” na pierwszej stronie opisuje morderstwo na nastoletnim dilerze narkotyków. Zastrzelono go, a ciało wrzucono do rzeki.

Wystawę Toma Huntera „A Journey Back” do 25 listopada można oglądać w Centrum Działalności Twórczych „1500 m² do wynajęcia” w Warszawie. Organizatorem wystawy jest fundacja Element 65



KREDYT MIESZKANIOWY



WŁASNY DACH NAD GŁOWĄ – ŁATWO I BEZPIECZNIE.

Najlepszy sposób na własny dach nad głową to kredyt mieszkaniowy w najlepszym banku. W Alior Banku łatwo go uzyskasz i bezpiecznie spłacisz:

- kredytujemy do 100% wartości nieruchomości,
- dajemy możliwość zawieszenia spłaty części raty, łącznie nawet na 5 lat,
- oferujemy najdłuższy na rynku okres kredytowania (do 50 lat),
- obniżamy prowizję nawet do 0%.

RATA 549 ZŁ ZA KAŻDE POŻYCZONE 100 000 ZŁ



**ALIOR
BANK**

www.aliorbank.pl

☎ 19 502

WYŻSZA KULTURA BANKOWOŚCI

Podana wysokość raty dotyczy kredytu w złotych na okres 50 lat, spłacanego w równych ratach, przy zastosowaniu stawki WIBOR 3M w wysokości 4,20 i marży banku 2,10% (kredyt na 100% wartości nieruchomości z ubezpieczeniem na życie płatnym z góry za pierwsze 5 lat).